

50

„AN EKS”

OFICyna
WYDAWNICZA
„POKOŁENIE”

kwartalnik polityczny

ALEKSANDER SMOLAR

ZBIORY ~~OSTROGA KARIA~~ Perspektywy Europy środkowo-wschodniej

ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM BRZEZIŃSKIM

ANTONI POSPIESZALSKI

Argumentacja moralna w polityce

WALDEMAR KUCZYŃSKI

Wspólne przedsięwzięcia polsko-radzieckie

PETER F. SUGAR

Źródła i tradycje nacjonalizmu w Europie wschodniej

"ANEKS"

kwartalnik polityczny

50/1988

spis treści

Aleksander Smolar: Perspektywy Europy środkowo-wschodniej	3
<hr/>	
WYWIAD ANEKSU	
Rozmowa ze Zbigniewem Brzezińskim – Myśl i działanie w polityce międzynarodowej	27
<hr/>	
RELIGIA I POLITYKA	
Antoni Pospieszalski: Argumentacja moralna w polityce ..	55
<hr/>	
POLSKA GOSPODARKA	
Waldemar Kuczyński: Wspólne przedsiębiorstwa polsko-radzieckie 1984-1988 r.	70
<hr/>	
Isaiah Berlin: O Rosji i „pokrzywionym drzewie człowieczeństwa”	87
<hr/>	
Andrzej Ler: Wokół Rewolucji Francuskiej	99
<hr/>	
Tomasz Łubieński: Neoemigranci	116

Peter F. Sugar: Źródła i tradycje nacjonalizmu
w Europie Wschodniej 122

KSIĄŻKI

Stanisław Barańczak: Artysta państwowy 140

Stanisław Nowicki: Markiza de Cusine'a podróż
do brzucha Lewiatana 148

O autorach 159

NAKŁADEM ANEKSU

Jacek Bocheński

STAN PO ZAPAŚCI

Nagroda Kulturalna „Solidarności” za rok 1987

powieść współczesna

Książka – z jednej strony jest realistycznym opisem
warszawskiego szpitala w połowie lat 80-ych, z drugiej –
przedstawia obraz społeczeństwa polskiego

Str. 143

cena: £4,00 – \$10,00

Alicja Iwańska

BAŚŃ AMERYKAŃSKA

nowela satyryczna ukazująca

amerykańskie środowisko akademickie lat siedemdziesiątych

Str. 72

cena: £3,00 – \$7,50

Piotr Sommer

CZYNNIK LIRYCZNY

I INNE WIERSZE

z ilustracjami EWY KURYLUK

Str. 104

cena: £4,00 – \$10,00

Szymon Jakubowicz

BITWA O SAMORZĄD 1980-1981

Str. 200

cena: £5,00 – \$11,00

Aleksander Smoła

PERSPEKTYWY EUROPY ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ *

1. Europa środkowo-wschodnia i Europa

Jak daleko odeszliśmy od Zachodu – w świadomości, w reakcjach, zachowaniach prywatnych i publicznych? Jak bardzo zswietczywała się nasza gospodarka i stosunek do pracy? Na ile komunizm odcisnął na nas piętno? Czy stanowimy ciągle część Europy? Te niespokojne pytania często padają w środkowo-europejskich dyskusjach. Gdy jest lepiej – rzadziej; gdy jest gorzej – częściej. Czasem nawet zdawać się może, że kraje te nie pozostają w tyle, lecz wyprzedzają Zachód, że to one wyznaczają drogi historycznego rozwoju Europy. Tak wydawało się niejednemu Węgrowi w 1956 roku, wielu Czechom i Słowakom podczas Praskiej Wiosny, licznym Polakom współtworzącym „Solidarność”. W tych momentach odzyskiwali na krótko poczucie pełnoprawnego uczestnictwa w historii, zamiast jakżeż częstego uczucia, że są jej ofiarami.

* Referat wygłoszony na konferencji poświęconej możliwościom przetrwania podziału Europy, zorganizowanej przez Woodrow Wilson International Center for Scholars, Dubrownik 20-24 maja 1988 roku.

Dla mieszkańców środkowo-wschodniej Europy owe niespokojne pytania mają znaczenie zasadnicze, dotyczą ich historycznej i kulturowej osobowości. Ich istotność wynika nie tylko (choć przede wszystkim) z tego, co Kundera nazwał – „porwaniem Europy”: część kontynentu geograficznie centralna, duchowo i kulturowo zachodnia – została w następstwie drugiej wojny światowej przytroczona politycznie do Wschodu. Problem ma jednak również głębsze historyczne korzenie. Przyglądając się na mapie granicom królestwa Karolingów z ósmego wieku, trudno nie dostrzec, jak zdumiewająco pokrywają się z linią dzielącą Europę na dwa regiony, podążające siedem wieków później innymi drogami rozwoju: ku kapitalizmowi na zachodzie i drugiemu poddaństwu na wschodzie. Tę samą prawie granicę – nazwijmy ją jaltańską – odnajdujemy po pięciu stuleciach, w wieku dwudziestym. Tymczasem Zachód posuwał się na wschód albo cofał się, pozostawiając ziemie Europy środkowej, niepewne swojej osobowości i przynależności, pod sprzecznymi wpływami Wschodu i Zachodu. Ci, którzy rewindykują zachodniość tych ziem, podkreślają rolę zachodniego chrześcijaństwa, Renesansu, Odrodzenia, prawa rzymskiego... Sceptycy kładą nacisk na wieczne odrębności tej części kontynentu, większe czy mniejsze, zależnie od kraju. Przypominają słabe społeczeństwo cywilne i niedorozwój klasy średniej, brak zakorzenienia instytucji kontraktu, wątpliwość tradycji reprezentacji stanowych i autonomii miast. Jednym słowem, w kulturze, w wierzeniach, w snach region ten był zawsze znacznie bardziej zachodni niż w swoich materialnych podstawach, społecznych instytucjach, politycznej organizacji, nawet jeżeli z czasem dystans ten się poniniejszał.

Czy nie nastąpił więc, z przypadku historii, układu sił, tego, co się symbolicznie nazywa „Jaltą”, powrót do tradycyjnego podziału kontynentu choć w formie tragicznie groteskowej? Jak przez wieki mamy i obecnie bardzo zachodnią kulturę, twórców – Miłosz, Gombrowicz, Kundera, Ionesco, Herbert, Kołakowski – którzy nie tylko dowodzą europejskości swych biednych, małych narodów, ale pobudzają świadomość europejską uprzywilejowanych, zachodnich sąsiadów. Trudno też nie wspomnieć w tym kontekście o roli Jana Pawła II i jego wysiłkach umocnienia duchowej jedności Europy w oparciu o dziedzictwo chrześcijańskie.

wa. Równocześnie – od strony ciała, nie ducha – kraje te zdają się być coraz bardziej przykute do wschodu, reprezentowanego w nowym historycznym wcieleniu przez Związek Radziecki. Prymitywizm opartych na przemocy instytucji politycznych i społecznych, ubóstwo i szpetota tworzonej tu cywilizacji materialnej zdają się coraz bardziej oddalać te kraje od Zachodu. Dusza anielska i czerep rubaszny? Czy nie jest to właśnie dzisiejszy obraz Europy zwanej przez zawodowych mitotwórców – środkową?

Zajmuję się czerepem, nie duszą. Interesuje mnie problem polityki, gospodarki, organizacji społeczeństwa. Chciałbym zarysować zasadnicze tendencje rozwoju oraz wskazać czynniki sprzyjające i utrudniające posuwanie się tych krajów ku Europie, ku jej modelowi polityki, gospodarki, życia społecznego. Nie jest to esej historyczny. Nie chodzi mi też o ukazywanie odmienności – bardzo skądinąd istotnych – występujących między różnymi krajami regionu. Tekst ma bardziej charakter analityczny. Myślę szczególnie o dwóch krajach: Polsce i Węgrzech. Wyprzedzają one pozostałe kraje środkowo-wschodniej Europy w modyfikowaniu tradycyjnych struktur typu sowieckiego, chociaż różne są ich historie i siły sprawcze zmian, inna też obecna sytuacja. Można by powiedzieć, iż przewrotnie, za radą Lenina, szukam najstabszych ogniwi sowieckiego socjalizmu, ponieważ to one decydują o odporności całego łańcucha. Interesuję się głównie Polską i Węgrami również dlatego, iż stanowią one swoiste pole eksperymentowania, tworzą wzorce, które oddziałują później na inne państwa bloku, w tym i na Związek Radziecki.

2. *Dynamika upadku*

Ustanawianie władzy komunistycznej opisuje się często jako proces przelamywania wielorakich barier stojących na jej drodze. Tradycje, wierzenia, moralność, prawo, stowarzyszenia i instytucje państwowe, partie polityczne i związki zawodowe, przedsiębiorstwa prywatne i municypalne – są świadomie niszczone bądź poddane brutalnej presji, aby podporządkować je celom grupy rządzącej. Unicestwia się procesy rynkowe, demokrację polityczną, autonomię jednostek, grup, kultury, religii i nauki.

System ten zdawał się stwarzać nieznaną w historii możliwość mobilizacji zasobów ludzkich i materialnych dla osiągnięcia celów stawianych przez władzę komunistyczną. Z czasem jednak pojawiały się coraz ostrzejsze ograniczenia, będące jego własnym wytworem i powodujące jego postępujący paraliż. Przekształcanie społeczeństwa, przyspieszenie rozwoju gospodarczego i zapewnienie stabilności politycznej stają się coraz trudniejsze do osiągnięcia. W małych krajach środkowo-wschodniej Europy problem przybiera rozmiary bardziej jeszcze dramatyczne niż w ZSRR, większa jest tu zarazem groźba stagnacji i wybuchu.

Przyjrzyjmy się, z konieczności pobieżnie, problemom narastającym w czterech dziedzinach zasadniczych dla globalnej oceny dokonań każdego systemu społeczno-politycznego: *regulacji, produkcji, dystrybucji i uprawomocnienia panującego porządku.*

Mówiąc o *regulatywnych funkcjach* systemu, mam głównie na myśli cały układ instytucji, które wyznaczają cele, kontrolują, mobilizują i integrują społeczeństwo w krajach komunistycznych. Kręgosłupem jest tu oczywiście partia komunistyczna i aparat władzy (*nomenklatura*). Efektywność hierarchicznie zintegrowanego poprzez biurokrację społeczeństwa od początku była ograniczona i dotyczyła tylko priorytetowych celów władzy. Nie raz podziwiano wysoką stopę wzrostu, którą kraje te osiągały nie bacząc na koszty, jakie przyszło ponosić pokoleniom ówczesnym i, jak się okazało, również przyszłym.

Trudności mnożyły się w miarę rozwoju społeczeństwa i gospodarki. Im mniej terrorystyczne były metody rządzenia, tym bardziej system okazywał się niesprawny. Komplikujący się organizm społeczny coraz trudniej było kontrolować i programować. Wzmagala się – przyjmując różne formy i intensywność – presja wydziedziczonych, pozbawionych praw społeczeństw. Ponadto poczucie bezpieczeństwa grup uprzywilejowanych powodowało wzrost ich aspiracji. Pragnęły nie tylko zapewnić sobie i swojej rodzinie komfort materialny, ale także cieszyć się prestiżem społecznym. Innymi słowy, grupa społeczna, która miała spełniać rolę narzędzia kontroli, mobilizacji i transformacji społeczeństwa, w nowych warunkach aspiruje coraz bardziej do roli grupy o charakterze klasowym. We wszystkich krajach regionu występuje tendencja do prywatyzacji zbiorowego przywileju. Mnożą

się zjawiska patologiczne, które w skrajnej postaci pozwalają mówić o kleptokracji. Tak było w Polsce lat siedemdziesiątych. W Rumunii (podobnie jak, poza Europą, w Korei Północnej) widać dążenie do ustanowienia socjalizmu dynastycznego.

W wyniku postępujących zmian w aparacie władzy oraz dezintegracji świata instytucji malała efektywność systemu regulatywnego. Jest on w coraz mniejszym stopniu w stanie spełniać podstawowe funkcje, do których został powołany.

Przez wiele lat przywódcy komunistyczni żyli w błogim przekonaniu, iż w dziedzinie *produkcji* dokonują engelsowskiego skoku „z królestwa konieczności do królestwa wolności”. Wystarczy przypomnieć sławne deklaracje Chruszczowa i plany wyprzedzenia Ameryki. Antoni Novotny, ówczesny dyktator Czechosłowacji, martwił się pod koniec lat 50-ych, co partia zrobi z powiększającym się dynamicznie dochodem narodowym (pisał o tym ostatnio Vasil Bilak, członek Biura Politycznego partii czechosłowackiej). Podróż do królestwa wolności zakończyła się żałością w ekonomicznym królestwie konieczności, gdzie różne cele konkurują o coraz bardziej drastycznie ograniczone środki: konsumpcja z inwestycjami, wydatki zbrojeniowe z budownictwem mieszkaniowym, ochrona środowiska z budową infrastruktury. Marnotrawstwo i wrodzona nieefektywność systemu dramatycznie pogłębiają rozmiary zjawiska.

Problemy narastały od początku lat 60-ych. Mnożyły się ograniczenia, wąskie gardła, trudności. Osiągano wysoką stopę wzrostu jak długo, jak długo dysponowano poważnymi rezerwami siły roboczej, ziemi, jak długo można było zapewnić wysokie przyrosty kapitału spychając w dół poziom konsumpcji. Z czasem jednak zmniejszała się ilość wolnej siły roboczej, ziemi, coraz trudniej było utrzymać wysoką stopę wzrostu inwestycji. Zbiurokratyzowane, nieelastyczne gospodarki okazały się niezdolne do przekształcania się w wyniku procesu, który Józef Schumpeter nazwał kiedyś „twórczym niszczeniem”.

Wraz z upływem czasu pojawiały się nowe ograniczenia, będące następstwem stylu rozwoju. W Polsce, Czechosłowacji, NRD czy Rumunii katastrofa ekologiczna nie należy już niestety do sfery fantastyki naukowej. Czynniki te wpływają dodatkowo na ograniczenie potencjału rozwojowego środkowo-wschodniej Europy. Nie mówiąc o dramatycznych skutkach zdrowotnych.

Zasadniczym czynnikiem ograniczającym tradycyjny komunistyczny styl rozwoju jest postawa narodów środkowo-wschodniej Europy. Zapewnienie minimum stabilności społecznej i politycznej wymaga liczenia się w coraz większym stopniu z potrzebami ludności.

Kraje, których elity rządzące tak niedawno jeszcze aspirowały do zajęcia pierwszego miejsca w biegu ku przyszłości, ustępują dzisiaj nie tylko wysoko rozwiniętym krajom Zachodu i nowym państwom przemysłowym Azji południowo-wschodniej, ale również dynamicznie, choć w konwulsjach zmieniającej się Ameryce Łacińskiej. Środkowo-wschodnia Europa, niezdolna do konkurencji na rynkach światowych, wypada stopniowo z międzynarodowego podziału pracy. W rezultacie coraz bardziej jest skazana na chłonny rynek radziecki. Pogłębiające się gospodarcze uzależnienie od Moskwy jest więc nie tylko następstwem świadomej polityki imperialnej, lecz również skutkiem zacofania, szczególniej implozji gospodarczej bloku.

Coraz ostrzejsze ograniczenia strukturalne pojawiają się również w systemie *dystrybucji*. Podział „dóbr społecznych” – pozycji, dochodów, prestiżu – stanowił po wojnie podstawowe narzędzie zdobywania poparcia społecznego dla władzy komunistycznej. U jej początków dobra te były prawie nieograniczone. Wojna przetrzebiła klasy średnie i wyższe w większości krajów, o których mowa. Przyczyniło się do tego wymordowanie Żydów, wyrzucenie Niemców, polityka eksterminacji elit prowadzona zarówno przez Rzeszę, jak i ZSRR (mord katyński, masowe wywózki na Sybir), emigracja na Zachód, powojenna eliminacja fizyczna, czy tylko społeczna, grup przed wojną uprzywilejowanych etc. Tę pustkę władze zaludniały nowymi elitami, tworzonymi świadomie w myśl kryteriów politycznych. Dynamicznie rozrastająca się, wszechobecna biurokracja, przede wszystkim jednak masowa industrializacja realizowana z sowieckim rozmachem, brutalnością i jednostronnością stwarzała ogromne możliwości awansu dla ludzi z dołów społecznych.

Już jednak od początku lat 60-ych stało się widoczne, że rezerwy się wyczerpują i maleje ilość dóbr, którymi można arbitralnie dysponować. Osłabła mobilność społeczna, którą uważano – wraz z tempem wzrostu gospodarczego – za jedno z zasad-

nicznych osiągnąć socjalizmu, dowód jego społecznego demokratyzmu. Okazało się, że system ten nie jest w stanie zapewnić większych szans awansu społecznego dziecku chłopskiemu czy robotniczemu niż kapitalistyczny Zachód. Raczej przeciwnie. Prowadzi to coraz wyraźniej do odtwarzania się klas społecznych i ich stabilizacji. Warto z tego punktu widzenia przyrzeć się robotniczym elitom przywódczym wyłonionym w okresie legalnej „Solidarności”. Poza nlicznymi robotnikami, należącymi jeszcze do pokolenia „awansu społecznego”, dominuje generacja robotników młodych, dobrze wykształconych, wychowanych w kulturze przemysłowej, którzy mimo niewątpliwie wysokiego poziomu, dynamizmu i zdolności przywódczych pozostali w swojej klasie. „Solidarność” była częściowo następstwem zablokowania perspektyw awansu społecznego. Chociaż oczywiście nie tylko.

Kryzys w sferze dystrybucji ma wiele źródeł. Narastające trudności gospodarcze zmuszają do uwzględnienia w większym stopniu kryteriów racjonalności ekonomicznej kosztem celów czysto politycznych. W tym kierunku oddziałuje też rosnąca presja społeczna. Kryzys prowadzi do uszczuplenia ilości „nagród”, którymi władza może dysponować. Stąd osłabienie zdolności kontroli opartej na kupowaniu lojalności i dyspozycyjności. Wraz z pogłębianiem się społecznej alienacji maleje i tak niezbyt wielka wartość oficjalnych honorów.

Również więc w dziedzinie dystrybucji obserwujemy pogłębiający się paraliż systemu, ograniczenie pola swobody grupy rządzącej.

Na pozór rzecz przedstawia się inaczej w sferze symbolicznej — *uprawomocnienia panującego ustroju*. Wraz z upływem czasu następowało „wychłodzenie” ideologii marksistowsko-leninowskiej. Socjalizm stając się „realnym”, schodzi na ziemię. Wiare zastępuje rytuał i rutyna. Pojawiają się ideologie-protezy, mające wzmocnić czy zmodyfikować nieco bazę normatywną ustroju; eksponuje się interes narodowy, rozwój gospodarczy czy konsumpcję. Nie bardzo to pomaga w stabilizowaniu narzuconej władzy. Wypalanie się marksizmu-leninizmu powodowało jednak demobilizację samej władzy. Bez silnej wiary nie można narzucać społeczeństwu niehumanitarnych ofiar. Narastający cynizm sprzyja łagodzeniu obyczajów grup rządzących, ale też przyczynia się do pogłębienia ich paraliżu.



Malejąca efektywność systemu komunistycznego w czterech wyodrębnionych przez nas dziedzinach wynika między innymi ze zmiany stosunków między władzą a społeczeństwem. Poczynając od 1953 roku, a więc gdy tylko pojawiła się nadzieja na system mniej represyjny, wszystkie narody regionu manifestowały w różnych momentach, formach i z różną częstotliwością swój sprzeciw wobec narzuconego po wojnie systemu władzy. Wola tych narodów przejawiała się w akcji indywidualnej i zbiorowej, w buncie, w ruchu protestu, w rewolucji, w strajkach, w pokojowym ruchu reform lniciowanych w ramach systemu. Przyczyną bezpośrednią były zazwyczaj złe warunki życia. Ale nie zawsze. I nawet tam, gdzie postulaty materialne były zapłonem, natychmiast pojawiały się żądania, wykraczające daleko poza sferę potrzeb materialnych. Domagano się wolności, sprawiedliwości, demokracji, niepodległości. Innymi słowy, gdy tylko opadała bariera strachu, apatii, niewiary, narody te manifestowały swoje przywiązanie do tradycyjnych wartości kultury europejskiej.

Spółeczeństwo wywierało wpływ na władze i na ewolucję systemu nie tylko w momentach rewolucji (węgierskiej) czy wielkiej reformy (podjętej w ramach systemu – w Czechosłowacji w 1968 roku, czy wymuszanej przez społeczeństwo – w Polsce w 1980-1981 roku). W tych trzech krajach, ale również w NRD i w Rumunii, pojawia się w latach 70-ych i uparcie walczy o przetrwanie opozycja demokratyczna. W Polsce opozycja współtworzyła ruch „Solidarności” i do dzisiaj reprezentuje wielki potencjał społeczny i polityczny. We wszystkich tych krajach opozycja odgrywała i odgrywa rolę narodowego sumienia, raz słuchanego z uwagą, innym razem z pewną niechęcią, jako wiecznie obecny głos przypominający o zbiorowym obowiązku. Tworzy ona wzory postaw obywatelskich w systemie, który nie uznaje obywateli – równych w korzystaniu z praw i w ponoszeniu odpowiedzialności za los wspólnoty. Dąży nie tylko do wymuszania na władzach ustępstw poszerzających pole wolności, ale również do odbudowania więzi zbiorowej, społeczeństwa obywatelskiego, ograniczając coraz bardziej obszar kontrolowany przez państwo.

Nacisk społeczeństwa ma dwojakie konsekwencje. Z jednej strony sprzyja poszerzaniu sfer wolności, społecznej autonomii, reformom. Władze muszą coraz bardziej brać pod uwagę interesy całej zbiorowości, a nie tylko grup uprzywilejowanych. Z drugiej strony nacisk społeczny, który w krajach demokratycznych o rynkowej organizacji gospodarki jest źródłem rozwoju i twórczej adaptacji do zmiennych warunków, w systemie komunistycznym pogłębia tendencje rozkładowe. Pozbawione możliwości samorganizacji i publicznego, zbiorowego wyrażania własnych interesów społeczeństwo nieuchronnie manifestuje swą obecność postawą i działaniami wzmagającymi niestabilność systemu i rozkład życia gospodarczego i społecznego.

4. *Przewycięzanie ograniczeń*

Powojenny rozwój Europy środkowo-wschodniej można oglądać przez pryzmat poszukiwania przez władze sposobów przewycięzania, eliminowania, omijania ograniczeń wytwarzanych przez sam proces rozwoju systemu komunistycznego. Chodzi więc w istocie o podejmowane przez grupy rządzące próby zahamowania zjawiska utraty mocy. Nie oznaczało to koniecznie wzrostu autonomii społeczeństwa i spadku represywności systemu. Utrata mocy dotyczy bowiem przede wszystkim zdolności tworzenia faktów pozytywnych, nie zaś możliwości blokowania aspiracji i niezależnych działań społecznych. 13 grudnia 1981 służyć tu może za przykład zdolności do uruchomienia wielkiego potencjału niszczenia, przy równoczesnej niezdolności do mobilizacji pozytywnej energii społecznej.

Najogólniej, podejmowane przez grupy rządzące próby przewycięzania narastających ograniczeń można określić jako: *totalitarne przełamanie, racjonalizację, wycofanie, konstytucjonalizację, administracyjną decentralizację*. W polityce Węgier i Polski dostrzec też można wolę przejścia od administracyjnej do ekonomicznej reformy gospodarczej. Widać tam również dążenie do wbudowania w istniejący system pewnych elementów pluralizmu nie tylko kulturalnego i społecznego, ale również politycznego. Przyjrzyjmy się pobieżnie logice tych zmian i ich konsekwencjom.

Totalitarne przełamanie polega na znoszeniu przemocą ograniczeń stwarzanych przez sam rozwój systemu. W najczystszej postaci zjawisko to da się odnaleźć w chińskiej rewolucji kulturalnej. Mobilizacja mas, ideologiczna indoktrynacja, atak na aparat władzy, masowe czystki – wszystko to miało służyć likwidowaniu tendencji klasy rządzącej do autonomizowania się i osładzania w rutynie codziennego zarządzania. Technika totalitarnego przełamania miała też oczywiście nie dopuścić do poszerzenia marginesu społecznej niezależności i ułatwić zepchnięcie konsumpcji do poziomu minimum. W Europie środkowo-wschodniej nie ma obecnie tego typu prób inżynierii rewolucyjnej. Ostatnie jej ślady pozostawił po sobie w Albanii nieżyjący już Enver Hodża. W Rumunii Ceausescu szuka wyjścia z gromadzących się problemów poprzez wzmocnienie tradycyjnych cech systemu: centralizację, arbitralność, represywność, degradujące materialnie i duchowo wyrzeczenia narzucane społeczeństwu. Metody te prowadzą nie do przewyciężenia ograniczeń systemowych i napięć społecznych, lecz do ich zaostrzenia i wzmocnienia procesów rozkładu. Powszechny system represji blokuje jedynie na pewien czas możliwości ich publicznego ujawniania się.

Racjonalizacja jest najbardziej popularnym wyrazem dążeń władzy komunistycznej do usprawnienia ustroju bez dokonywania istotnych modyfikacji. Przejawia się ona w różnych formach: we wprowadzaniu pewnych reguł weberowskiej biurokracji do zarządzania społeczeństwem (bardzo zresztą niekonsekwentnie ze względu na daleko idącą polityzację całego systemu); w popularności teorii „naukowego zarządzania”; w próbach „podejścia systemowego” (ideologia mająca wzięcie w NRD w latach 60-ych). Racjonalizacja znajduje wyraz w nieustających reorganizacjach gospodarki i innych dziedzin życia społecznego. Czasem przejawia się w dążeniu do odseparowania partii od codziennego zarządzania, kiedy indziej wręcz przeciwnie, w jak najściślejszym integrowaniu, aż po fuzję personalną czy instytucjonalną, różnych pionów aparatu władzy.

Wyrazem poszukiwania racjonalności doskonałej była utopia komputeryzacji gospodarki, popularna na przełomie lat 60-ych i 70-ych. Wielu teoretyków i praktyków gospodarczych wierzyło, iż problemy zarządzania, zarówno informacji, jak i podejmowania

decyzji, w coraz bardziej komplikujących się gospodarkach centralnie zarządzanych, rozstrzygnąć można przy pomocy komputerów i nowoczesnej techniki obliczeniowej (taką utopię w czystej postaci można odnaleźć w jednym z ostatnich artykułów Oskara Langego, skądinąd wybitnego teoretyka socjalizmu rynkowego w latach 30-ych. Pod koniec życia pisał on, iż rynek jest po prostu niedoskonałym komputerem, z którego nie musi się już więcej korzystać).

Jednym z głównych celów podejmowanych usprawnień było znalezienie odpowiedniego systemu kontroli szeroko pojętego aparatu władzy. Próbowano znaleźć różne odpowiedzi na odwieczny problem: „kto będzie stróżem strażników”? Ciągłe ponawiane są wysiłki, by nie dopuścić do nadmiernej stabilizacji i uniezależniania się aparatu władzy, prowadzącego do jego dekompozycji, oraz do prób przekształcania zbiorowego monopolu władzy w prywatne przywileje prominentów. Często stosowanym środkiem jest forsowanie przyśpieszonej rotacji kadr. Próbowano zasadę tę ustanowić w ZSRR w czasach Chruszczowa i Gorbaczowa, w Polsce w okresie „Solidarności” legalnej, w Rumunii – żeby uniknąć zagrożenia dla swej władzy osobistej – wprowadził ją Ceausescu; oblecuje uczynić to Teodor Żiwkow w Bułgarii, mówi się o niej na Węgrzech. Jak dotąd *nomenklaturze* udawało się zawsze unikać wszelkich zagrożeń związanych z tymi przedsięwzięciami.

Bywają również stosowane próby kontroli oddolnej, poprzez różne formy populistycznej mobilizacji. Znow przykład można znaleźć w czasach Chruszczowa i Gorbaczowa, ale również na przykład we wprowadzonych przez Jaruzelskiego po 13 grudnia 1981 roku Komisjach Kontroli Robotniczo-Chłopskiej. Sam pomysł i nawet nazwa pochodzi od Lenina. Skutek zresztą też jest podobny do tego, który Lenin zdołał osiągnąć, to znaczy żaden. Długa, sterylna i wewnętrznie sprzeczna jest historia prób tworzenia oddolnej kontroli aparatu władzy przez „masy” organizowane przez ten aparat.

Bardziej skuteczną formą kontroli jest wzajemne pilnowanie się różnych odgałęzień władzy. Po długiej dominacji aparatu partyjnego, coraz bardziej przez to bezkarnego, widzimy tu i ówdzie próby narzucenia mu kontroli nie tyle od dołu, co z boku, przez

policię polityczną i wojsko. Znow przykład Jaruzelskiego jest tu znamienny. Po 13 grudnia 1981 wojsko zaczęło dość bezceremonialnie poczynać sobie z aparatem partyjnym, publicznie manifestując swoją pogardę dla jego korupcji i nieefektywności. Andropow i, teraz, Gorbaczow usilowali dobrać się do skóry partyjnym zwierzchnikom z pomocą KGB,

Mimo wielorakich prób zwiększenia efektywności systemu, wyeliminowania jego patologii w drodze racjonalizacji, skutki są bardzo mizerne. I choć pozostaje to ulubioną przez władze formułą „odnowy”, to szukać muszą one gdzie indziej środków rozluźniających pętlę nieefektywności i społecznego niezadowolenia, zaciskającą się na ich gardle.

Archetypem strategii *wycofania* jest leninowska Nowa Polityka Ekonomiczna (NEP). Polega ona na opuszczaniu przez władzę komunistyczną pewnych obszarów życia społecznego, albowiem koszty kontroli przewyższają, w jej oczach, pozytywne efekty. Władza przestaje się interesować prywatnym życiem obywateli, opuszcza stopniowo sztukę i naukę (im bliżej polityki i ideologii, tym trudniej i później to następuje). Przede wszystkim poszerza pole niezależnej inicjatywy gospodarczej. Pozwala trochę łatwiej oddychać prywatnemu rolnictwu w Polsce i resztkom prywatnej własności w mieście. Tworzy z czasem nowe dla niej obszary, liberalizuje przepisy o wielkości dopuszczalnych przedsiębiorstw prywatnych, liczbie ludzi, których mogą zatrudniać etc. Skolektywizowane rolnictwo węgierskie otrzymuje tak szeroką autonomię, że można mówić o jego nieformalnej reprzywatywacji. W miarę pogłębiającego się kryzysu wzrasta zainteresowanie dla *joint ventures* i bezpośrednich inwestycji kapitału zachodniego.

Wycofanie przejawia się również w milczącym tolerowaniu „gospodarki równoległej”, operującej nielegalnie bądź półlegalnie, nie placącej podatków i z regały wykorzystującej państwowe czynniki produkcji: czas pracy pracowników, materiały, surowce, maszyny. W ten sposób państwo, przymykając oczy, toleruje proces nieformalnej reprzywatywacji gospodarki państwowej. W procesie tym – dokonującym się na wielką skalę – licznie biorą udział ludzie aparatu władzy. Ogólnie doszrzec można pewne objawy postępującej symbiozy między tymi, których uprzywilejowuje posiadanie władzy i tymi, których szczególna pozycja społeczna

jest wynikiem legalnej i nielegalnej działalności gospodarczej (jeżeli chodzi o Węgry, pisał o tym Elemer Honkiss).

Inny typ zmian mający na celu przezwyciężenie wewnętrznych ograniczeń systemu wyraża się w dążeniu do jego *konstytucjonalizacji*. Wiąże się on ściśle ze strategią racjonalizacji i wycofania. Chodzi tu o zapewnienie większej praworządności, przewidywalności w życiu publicznym i prywatnym. Postęp w tej dziedzinie jest wolny i bardzo nierównomierny. Największy w sferze stosunków między osobami prywatnymi (na tyle, na ile są one obojętne dla państwa), ograniczony w stosunkach między instytucjami, które są podporządkowane logice arbitralności politycznej; najmniejszy w stosunkach między biurokratycznym Lewiatanem a obywatelem. Wyrazem przekonania, iż konieczne jest dalsze ograniczenie arbitralności, jest tworzenie takich instytucji, jak Sąd Konstytucyjny, Najwyższy Sąd Administracyjny, powołanie Rzecznika Praw Obywatelskich. Rzeczywiste modyfikacje sytuacji prawnej są jednak bardziej niż ograniczone. Zasadniczą przeszkodą w procesie konstytucjonalizacji pozostaje rola partii w systemie instytucji krajów komunistycznych; sytuuje się ona bowiem ponad prawem, ponad i poza społeczeństwem.

Dotychczas omawiane zmiany nie podważają logiki systemu. Wyrażają jedynie pragnienie jego usprawnienia i ograniczenia pola, nad którym panuje. Często zresztą zmiany te mają charakter taktycznego wycofania się, „jeden krok wstecz”, aby móc następnie uczynić „dwa kroki naprzód”. Nie inaczej rzecz się przedstawia z *administracyjną decentralizacją gospodarki*, która wzbudzała w swoim czasie wiele nadziei. O reformie gospodarczej mówi się od połowy lat 50-ych. Filozofia reform tego okresu opierała się na wierze, iż da się pogodzić rynek – traktowany instrumentalnie – i z utrzymaniem zasadniczej roli centralnego planowania podporządkowanego władzy politycznej. Likwidacji ulega gospodarka nakazowa, ale nie zastępuje jej koordynacja rynkowa. Tworzy się hybrydalny mechanizm biurokratycznych negocjacji poszerzający pole swobód gospodarczych, ale nie gwarantujący efektywności. Taki właśnie system powstał na Węgrzech w wyniku reform zapoczątkowanych w 1968 roku i w Polsce w następstwie zmian wprowadzonych poczynając od 1982 roku.

Równoległe do decentralizacji widoczne są i inne formy dyspersji władzy. Wzrasta rola korporacyjnej reprezentacji interesów społecznych w granicach przez władzę tolerowanych – i łatwo modyfikowanych – oraz przez instytucje odgórnie powołane. Jest to wynikiem słabnięcia władzy i rosnącego poczucia, iż zróżnicowane interesy muszą znaleźć jakieś kanały ujawniania się dla uniknięcia wybuchów społecznych. W ten sposób różne człony administracji, oficjalnie powołane organizacje i stowarzyszenia dążą do reprezentowania swojej klienteli. Bardziej zresztą poszczególnych odłamów aparatu władzy niż szerszych grup społecznych.

Najbardziej skuteczne w przełamywaniu ograniczeń i eliminowaniu wewnętrznych sprzeczności systemu okazały się wszelkie formy strategii wycofania. Na opuszczonych przez państwo sferach odżywa działalność gospodarza, kultura, aktywność intelektualna, nieskrępowane życie społeczne. Skuteczność wszystkich innych usiłowań – zmagających się ze stagnacją systemu – wydaje się być znacznie bardziej ograniczona. Racjonalizacja, dopuszczenie korporacyjnej reprezentacji interesów, konstytucjonalizacja, reformy gospodarcze o charakterze administracyjnym – wszystko to pozwala łagodzić pewne napięcia zrodzone przez Stary Ustrój, ale kosztem dalszego ograniczenia swobody władzy, dalszego narzucenia ograniczeń, z którymi ten system, bez zasadniczych przekształceń ustrojowych, nie jest w stanie dać sobie rady.

Uwaga w tym tekście skoncentrowana jest na metodach przełamywania ograniczeń i przewycięzania sprzeczności wewnętrznych systemowych, którymi posługiwała się i posługuje władza komunistyczna. Trudno jednak nie wspomnieć o najbardziej radykalnych próbach wyjścia poza ciasne ramy ustroju sowieckiego podjętych przez Węgrów w 1956 roku, Czechów i Słowaków w roku 1968 i Polaków w latach 1980-1981. We wszystkich tych dramatycznych wydarzeniach podejmowane wysiłki na rzecz wyeliminowania negatywnych cech sowietyzmu prowadziły nieuchronnie do podważania samych podstaw tego ustroju.

5. Dzisiejsze problemy i perspektywy

Zgodnie z rozpowszechnionym od dziesiątków lat poglądem na temat możliwej ewolucji krajów komunistycznych, najłatwiejszą zdaje się być „europeizacja” ich gospodarek. Najprościej, wydawało się, odizolować tę dziedzinę od polityki; najłatwiej narzucić tu obiektywne kryteria racjonalności; nie tylko społeczeństwo, ale i kręgi rządzące zainteresowane są żywo w produkcji dóbr, a nie plunistycznego i sprawozdawczego papieru. Wyniki gospodarcze są ważne, chociażby ze względów militarnych, nie mówiąc o wadze wskaźników wzrostu jako dowodu istnienia socjalizmu.

Większe trudności widziano w detotalizacji życia społecznego, największe opory zmianom miała stawiać polityka i ideologia. A jednak doświadczenia ostatnich lat skłaniają do postawienia tej tezy pod znakiem zapytania.

Jeszcze nie tak dawno sądzono, iż ideologia jest kluczowym czynnikiem definiującym system komunistyczny. Wybitni autorzy pisali o *logokracji* czy też *ideokracji*. Trudno było wyobrazić sobie władzę komunistów bez utopii, ideologicznej nadrzęczości, swoistego dla niej języka, który był w większym stopniu narzędziem przemocy niż porozumiewania się.

W dzisiejszych Węgrzech, a tym bardziej Polsce, uderza sekularyzacja oficjalnego języka. Zmniejszył się drastycznie dystans oddzielający rzeczywistość od świata oficjalnie przedstawianego. Kłamstwo w dalszym ciągu zajmuje ważne miejsce w życiu publicznym, ale tradycyjne, zwyczajne, pozbawione patosu i monumentalnych rozmiarów kłamstwa totalitarnego. Władze nie szukają już prawomocności w ideologicznej fikcji. Coraz mniej przekonujące są również w dobie Gorbaczowa odwołania do racji stanu – groźby sowieckiej interwencji, przed którą lokalni komuniści mieliby stanowić jedyną skuteczną, narodową osłonę. W ten sposób panujący ustrój utracił zarazem cechy historycznej, jak i geopolitycznej nieuchronności, nawet w oczach jego pretorian.

Zmiany w tych dwóch krajach są tak istotne, iż można zastanawiać się, czy nie następuje zasadnicza zmiana relacji między *słowem* a *czynem*. Tradycyjnie w krajach komunistycznych słowo *było* *czynem* i z tej racji pozostawało pod czujną, doktrynalną i

policyjną kontrolą. Żadna grupa społeczna nie była zarazona tak hołubioną i pilnowaną, jak intelektualści i artyści – zawodowcy słowa. Teraz można rzeczywistość opisywać dość wiernie, ale nie ma sposobu przekładania słowa na działania społeczne, na mechanizm wymuszania zmian. Przeciwnie: słowo tak niegdyś cenione, ulega obecnie przyśpieszonej erozji. Przystając być czynem, zdaje się być w coraz większym stopniu *substytutem* czynu. W tym jest, jak się zdaje, jedno ze źródeł tolerancji władz. Można oglądać zachodnią telewizję (eksperymenty na Węgrzech, zapowiedź udostępnienia włoskiego programu w Polsce, nie mówiąc o doprowadzaniu kablem zachodnioniemieckiej telewizji tam, gdzie nie można jej w NRD odbierać) i nic z tego nie wynika. Prawda – marzenie pokoleń, coraz łatwiej dzisiaj dostępna – w długim czasie na pewno podminowuje panujący ustrój. Żaden przecież porządek społeczny opierający się na przemoc, pouczają nas filozofowie i historycy, nie może jej się ostać. Ale w krótkiej perspektywie prawda może też być kompensacją, bywa miejscem ucieczki. Wyspy wolności duchowej pozwalają leczyć frustracje, odwracać się od codziennego upokorzenia, udreki i braku nadziei.

W domenie polityki znaczenie mają nie słowa, lecz rzeczywiste działania. Ale i tutaj widać pewne zmiany, które przy odrobinie wyobraźni pozwolić mogą na sformułowanie hipotez co do kierunku przyszłego rozwoju.

Wzrasta presja społeczna na wyeliminowanie parakastowego systemu społecznego różnicowania, opartego na *nomenklaturze* i arbitralnej dystrybucji przywilejów. Publicznie zaczyna się dyskutować problem przyszłości systemu jednopartyjnego; i to nawet w samej partii komunistycznej. O przejściowym charakterze monopartii i nieuchronności pluralizmu politycznego mówił na przykład członek władz węgierskich Imre Pozsgay. Mnożą się koncepcje „normalizacji” partii – znalezienia dla niej określonego prawem miejsca w systemie politycznym tych krajów. Wśród opozycji rodzą się pomysły przekształcenia partii komunistycznej w coś na podobieństwo Izby Lordów czy kasty braminów, odsuniętej od codziennych problemów polityki. Zredukowania jej – w ironicznym języku obrońców *status quo* w Polsce – do roli „czerwonej czapeczki”, dodatku do politycznego ubioru skrojonego w innym zupełnie stylu. Nawet jeżeli nie należy dziś jeszcze przywiązywać

nadmiernej wagi do tych koncepcji, są one symptomatyczne: partia widziana jest wyłącznie jako pasożyt społeczny skazany nieuchronnie na zniknięcie.

Problem pluralizmu politycznego, czy parapolitycznego, pojawia się jednak ze znacznie większą siłą poza partią. „Solidarność” – pomimo zniszczenia jej legalnych struktur 13 grudnia 1981 – wprowadziła zjawisko opozycyjności na trwałe, jak się zdaje, do polskiego życia publicznego. Opozycja dzisiejsza jest w Polsce zjawiskiem masowym i wewnętrznie zróżnicowanym. W znacznie węższym zakresie to samo da się odnaleźć na Węgrzech.

Władze, żeby osłabić opozycję, w tym przede wszystkim „Solidarność”, i stworzyć kanały dla legalnego wyrażania niezgody, próbują wydzielić ograniczoną przestrzeń dla opozycji „prosocjalistycznej”, „lojalnej”, „realistycznej”. Tolerancja dla wysepek elitarnej różnorodności miałaby współgrać z polityką jak najdalej idącej demobilizacji i depolityzacji mas. Grupy rządzące Polską starają się zwłaszcza przyciągnąć do współpracy opozycyjną inteligencję katolicką i bardziej jeszcze sam Kościół. Na Węgrzech władze kokietują opozycję populistyczną.

Próby te mają na celu zapalenie pustki, która istnieje między „światem instytucji” i „światem ludzi”. Służyć temu mają również zmiany zachodzące w sferze życia społecznego. Z jednej strony czynione są próby nadania autentycznego charakteru organizacjom oficjalnym (na przykład związkom zawodowym), z drugiej – dopuszcza się do tworzenia instytucji niezależnych. Polem tolerowanego pluralizmu są samorządy w zakładach. Próbą zapalenia pustki instytucjonalnej były nieudane eksperymenty z pluralizmem kandydatów w wyborach lokalnych, przy politycznej neutralizacji całego procesu wyborczego.

Głębia kryzysu gospodarczego i poczucie niestabilności społecznej i politycznej prowadzi do uchylecia drzwi dla niezależnych inicjatyw społecznych: prywatnych fundacji, stowarzyszeń kulturalnych, i przede wszystkim, dla prywatnej przedsiębiorczości. Instytucji takich nie jest jeszcze wiele, ale można spodziewać się z czasem ich poważnego rozwoju.

Chociaż sygnalizowane zmiany w dziedzinie ideologii, w polityce, w życiu społecznym, a również i w przepisach prawa nie oznaczają radykalnego zerwania z tradycyjnym modelem państwa

komunistycznego, wprowadzają one istotne modyfikacje, których granice trudno przewidzieć. Proces ten jest możliwy między innymi dlatego, iż ustępstwa mogą być wymuszane i wprowadzane stopniowo, poprzez ograniczone za każdym razem reformy, o ile nie budzą w społeczeństwie nadmiernych oczekiwań, a w aparacie władzy lokalnej i w Moskwie przesadnych obaw prowadzących do polaryzacji i konfrontacji. Reformowanie gospodarki stawia pod tym względem, jak się wydaje, znacznie poważniejsze problemy.

Reformy gospodarcze zostały wcześniej uznane za dopuszczalne. Pierwsze projekty (nie licząc Jugostawii) pochodzą sprzed ponad trzydziestu lat. I chociaż, po interwencji w Czechosłowacji, samo słowo *reforma* nie było mile widziane, nigdy nie poniechano zamiarów modyfikowania systemu gospodarczego.

Dzisiaj, po trzydziestu latach reformowania i postępującego rozkładu gospodarki komunistycznej, ekonomiści tych krajów, a częściowo i politycy, zdają sobie coraz lepiej sprawę, że reforma – to znaczy tworzenie systemu gospodarczego, który by był sprawny, dynamiczny, zapewniał wzrost poziomu życia, postęp techniczny i organizacyjny, aktywny udział w międzynarodowym podziale pracy itd, itd – to przedsięwzięcie niezwykle skomplikowane. Znacznie bardziej niż sądzili „natwini reformatorzy” (jak powiada Janos Kornai) poprzedniej generacji. Dzisiaj wiadomo, że nie można ograniczać się do problemów bieżącej produkcji, bazować na utopijnej koncepcji łączenia centralnego planowania z fragmentami tolerowanego rynku. Coraz szerzej podejmuje się problem rynku kapitału i rynku pracy, bez wprowadzenia których racjonalne gospodarowanie nie jest możliwe. To znaczy, stawiane jest na porządku dziennym zagadnienie własności oraz niezależnej reprezentacji pracowniczej. Kwestionowane są w ten sposób zarazem fundamenty doktryny i podstawy systemu komunistycznego.

Najpoważniejszy problem leży jednak, jak sądzę, nie w doktrynie ani też wyłącznie w oporze grupy rządzącej. Prawdziwa reforma, która odebrałaby państwu kuratelę nad gospodarką, otworzyła pole dla spontanicznych procesów dostosowawczych na rynku wewnętrznym i zewnętrznym, pozwoliła na otwarcie granic, wymieniałość pieniądza, wprowadzenie „prawdziwych cen”

etc., musi oznaczać gruntowną przebudowę gospodarki. Ta, która została stworzona, zwłaszcza w Polsce, jest irracjonalna z punktu widzenia potrzeb kraju, jego wyposażenia w czynniki produkcji, popytu i podaży na rynkach międzynarodowych. Radykalną reforma, implikując wysokie koszty, musi wzbudzić masowy opór. Z kilku co najmniej powodów:

Po pierwsze – radykalna reforma gospodarcza jest w zasadzie *niepodzielna*. To znaczy, nie można wprowadzać jej stopniowo, w wyniku odciłkowych zmian. Nie można, jak w starym dowcipie ilustrującym logikę realzowanych kolejno reform, puszczać części samochodów w przeciwnym kierunku niż większość jadących pojazdów. Wynika z tego również, iż *koszty reformy* są w dużym stopniu niepodzielne. Można oczywiście i musi się łagodzić ich skutki, zwłaszcza dla grup najuboższych, ale uniknąć się ich nie da. Problem jest tym bardziej dotkliwy, w im gorszym stanie znajduje się gospodarka, im bardziej pozbawiona jest rezerw. Obecna sytuacja w całym obozie (szczególnie w Polsce i w Rumunii) jest wyjątkowo niekorzystna w porównaniu, powiedzmy, z latami sześćdziesiątymi czy siedemdziesiątymi. Ale wówczas nie było ani dzisiejszego kryzysu, ani też dzisiejszej opozycji. Nie było więc obecnej świadomości ograniczeń systemowych i woli politycznej reformowania systemu. I dzisiaj zresztą, nawet na Węgrzech i w Polsce, istnieje ona w stopniu daleko nie odpowiadającym dramatyzmowi sytuacji.

Po drugie – zasadnicza trudność każdej reformy, tym bardziej w dzisiejszej koniunkturze, polega na *radykalnej asymetrii kosztów i efektów* dokonywanych zmian. Wprowadzanie reform pociąga za sobą natychmiast poważne koszty, których, jak wspomniałem, nie można rozłożyć w czasie. Konieczna jest rezygnacja z tego, co ideologia i praktyka codzienna każą uznać za ważne osiągnięcia socjalizmu: z zabezpieczenia pracy, braku inflacji (jeżeli chodzi o Polskę, ostatnie lata wiele tu zmieniły), względnego spłaszczenia dochodów. Równocześnie pozytywne rezultaty zmian dla szerokich kręgów społecznych mogą się w pełni ujawnić dopiero po wielu latach. Zachodnie sklepy kuszą często klientów napisami: kup dzisiaj, płac jutro! Zachwalanie reform przy pomocy hasła: płac dzisiaj, korzystaj (być może) pojutrze! nie bardzo może zachęcać do popierania reformatorskich przedsięwzięć.

Po trzecie – mechanizm biurokratycznej, pionowej integracji i organizacji społeczeństwa powoduje, iż wszelkie negatywne zjawiska występujące w procesie gospodarczym obciążają, w oczach zbiorowości, władze. Grupy rządzące, wzięwszy kiedyś na siebie pełnię władzy, tracąc nawet z czasem pewne jej atrybuty w wyniku utraty mocy, zachowały w oczach społeczeństwa pełnię odpowiedzialności za to, co się dzieje. W ten sposób, paradoksalnie, nawet ci, którzy przeciwko państwu się buntują, żądając od niego zaspokojenia swoich jak najślusznějších żądań, utrwala ją i pośrednio legitymizują tradycyjną, sowiecką rolę, wszechobecnego państwa, osłabiając zarazem szanse jakiegokolwiek reformy. Dominacja postawy roszczeniowej jest naturalnym wynikiem sytuacji, w której społeczeństwo pozbawione jest prawa inicjatywy.

Po czwarte – nie mają powodu do entuzjazmowania się reformą ci, którzy należą do grup w tym ustroju uprzywilejowanych, ludzie kontrolujący alokację zasobów i dystrybucję dochodów, czerpiący z tego tytułu istotne pozarynkowe korzyści. Nie sprzyjają również reformie elity kontrsystemu, żyjące z „gospodarki równoległej” i oficjalnej gospodarki prywatnej. Ich pozycja i możliwości bogacenia się wynikają z umiejętności wykorzystywania dziur, słabości, niedowładu oficjalnej gospodarki. Żyją oni z nią w stosunkach częściowo symbiotycznych, częściowo pasożytniczych. Reforma, tworząc hipotetycznie znacznie szersze i bardziej normalne pole dla niezależnej działalności gospodarczej, niszczyłaby jednak przede wszystkim świat, którego słabości potrafili oni doskonale wykorzystywać. Stąd wielokrotnie sygnalizowane w badaniach węgierskich i polskich konserwatywne skłonności tej grupy.

Można więc powiedzieć, iż podstawowym problemem radykalnej reformy jest *brak rzeczywistego poparcia społecznego*. W pracach autorów identyfikujących się z liberalną myślą ekonomiczną znaleźć można tezę o szczególnie negatywnym stosunku robotników do wszelkich radykalnych prób przebudowywania gospodarki; klasa będąca w istocie wytworem sowieckiej industrializacji ma być najgłębszymi swymi interesami z ustrojem tym związana (Stefan Kisielewski). Komunista i zarazem konserwatywny liberał (paradoksalne spełnienie postulowanej przez Leszka Koła-

kowskiego syntezy socjalizmu, liberalizmu i konserwatyzmu), Bronisław Łagowski, nie waha się przed straszaniem *pugaczowszczyzną salariatów*. W pewnym sensie problem jest bardziej dramatyczny, albowiem prawie wszyscy są przeciwni radykalnym zmianom, zarazem bolesnym i nieuchronnym. Decydują o tym codzienne interesy, strach przed niepewnością, wysokimi kosztami, to wszystko, co pozwala mówić o *tyrarii status quo*, posługując się w innym kontekście formułą Milтона Friedmanna.

Liczni polscy socjologowie (m.in. Narojek, Rychard, Staniszkis) pokazują, iż trudno jest również spodziewać się masowego ruchu na rzecz reformy gospodarczej *przeciwko* władzy. Społeczeństwo bowiem ma tendencje do integrowania się wokół *wartości* (wolność, sprawiedliwość, niepodległość etc), a nie konkretnych materialnych *interesów*. Interesy materialne (poza na przykład walką strajkową o podwyżkę płac, gdy zagrożony jest poziom życia) skłaniają ludzi raczej do poszukiwania indywidualnych strategii przeżycia – a więc adaptowania się do *danych* warunków – a nie do działań zbiorowych, mających wymusić radykalne reformy. „Solidarność” od swego powstania próbuje wyjść poza antynomię: bezpośrednie roszczenia materialne – głęboka reforma.

Inicjatorzy zasadniczych zmian w systemie gospodarczym krajów komunistycznych stają więc wobec paradoksu, iż to dopiero radykalna reforma może stworzyć dla siebie solidną bazę społeczną, zainteresowaną praktycznie w jej powodzeniu i dalszym rozwoju. Oczywiście, nie jest tak, aby zarysu takich grup nie można było dostrzec już dzisiaj. Napotykamy tu jednak na kolejny paradoks. Badania polskich socjologów (*Polacy 1984*) pokazują, iż grupy, na których najbardziej władza komunistyczna może polegać – a musi ona przecież co najmniej przystać na reformę, jeżeli wręcz nie być jej inicjatorem – są najbardziej konserwatywne: aparat partyjny, niewykwalifikowani robotnicy, niżsi urzędnicy, emeryci. Grupy najbardziej dynamiczne: młodzież, robotnicy wykwalifikowani, inteligencja, są wobec tej władzy najbardziej zrewoltowane. Czy można przeprowadzać reformę mając poparcie grup zdecydowanie jej przeciwnych? Z drugiej zaś strony: czy władza może zmienić swą bazę społeczną, związać się z grupami, które najciszej i najbardziej emocjonalnie identyfikują się z

ruchem „Solidarności” bez radykalnych przekształceń politycznych i społecznych, które zaspokajałyby ich demokratyczne aspiracje?

Jakie są możliwe teoretycznie rozwiązania tego dylematu? Jak zapewnić przejście w dziedzinie gospodarczej ku systemowi, który zerwałby pewowinę łączącą go z tradycyjnym systemem typu sowieckiego? Niewątpliwie potrzebne są bardzo silne bodźce, które pozwoliłyby społeczeństwu zintegrować się wokół haseł reformy mimo kosztów, które ona implikuje. Wymienia się w tym kontekście szereg hipotez, które ledwie tu zasygnalizuję, nie oceniając ich rzetelności intelektualnej ani też politycznego i ekonomicznego realizmu.

Koncepcja, którą nazwę *konsensualną*, opiera się na wizji umowy społecznej, bronionej przez kierownicze kręgi „Solidarności”; zakłada ona możliwość znalezienia porozumienia między władzą a autentyczną reprezentacją społeczną, przy odpowiednio daleko idących ustępstwach władz w dziedzinie ekonomicznej, społecznej i na rzecz demokracji. Takie porozumienie miałoby zapewnić poparcie społeczeństwa dla radykalnego projektu reformy i jego gotowość do ponoszenia daleko idących wyrzeczeń.

Można wyobrazić sobie – ten wariant nazwijmy *nacjonalistycznym* – zgodę społeczeństwa na radykalne zmiany i ponoszenie wysokich kosztów w obliczu zewnętrznego zagrożenia kraju. W istniejącej sytuacji geopolitycznej jedynie hasło obrony przed Związkiem Radzieckim mogłoby zmobilizować naród. Autentyczne zagrożenie sowieckie sprzyjało pierwszym reformom Tity w Jugosławii. Dzisiaj, w dobie Gorbaczowa, na pewno nie jest to hipoteza realistyczna.

Inne rozwiązanie można nazwać *autorytarnym*; opierało się ono na mieszance przemocy i przyzwolenia społecznego. Reformę i drastyczne zmiany dostosowawcze przeprowadzano by pod osłoną karabinów. Pod ich osłoną następowałoby równoczesne przejście od sowytyzmu do dyktatury autorytarnej; powiedzmy, przekształcenie się Jaruzelskiego w Pinocieta czy Franco. Nie brak było w Polsce ludzi, zarówno po stronie władzy, jak i opozycji, którzy mieli takie nadzieje po 13 grudnia 1981 roku.

Hipoteza *liberalna* przyjmuje możliwość stopniowego procesu wycofywania się państwa z rozległych obszarów życia gospodarczego. Powstające przedsiębiorstwa prywatne i reprivatyzowane zakłady państwowe odbudowywałyby gospodarkę niejako od podstaw. Silne państwo zapewniałoby spokój społeczny.

Hipoteza ostatnia, powiedzmy *liberalno-socjalistyczna* (czy też anarcho-syndykalistyczna), zakłada przejęcie przez pracowników tytułów własności przedsiębiorstw państwowych, które zaczynają działać na wolnym rynku tak jak przedsiębiorstwa prywatne, prowadząc do stopniowego przekształcenia pejzażu gospodarczego.

Istnieją na pewno inne jeszcze „czyste” rozwiązania problemów radykalnej przebudowy gospodarki. Jeszcze łatwiej wyobrazić sobie różne kombinacje powyżej zarysowanych koncepcji (np. wariant konsensualny zawiera elementy liberalne i liberalno-socjalistyczne). Wszystkie wersje radykalnej reformy trudno jednak uznać, przy obecnym układzie sił interesów, za realistyczne. Czego więc można oczekiwać? Zapewne, jak dotychczas, częściowych, niekonsekwentnych zmian: kolejnych reform, modyfikujących po trochu obecny system, stopniowo poszerzających pole autonomii jednostek i społeczeństwa, powolnego wycofywania się partii, spadku jej roli w gospodarce i ogólnie w życiu społecznym. Ale ze względu na połowiczny charakter zmian będą one bardziej powiększały obszar „wolności negatywnych”, swobód indywidualnych i grupowych, niż dawały szansę „pozytywnej wolności”, swobody podejmowania twórczych działań indywidualnych i zbiorowych.

Czy ruch ten prowadzi ku Europie, czy też od niej tylko oddala? Czy uda się w dającej się ogarnąć myślą perspektywie odbudować skomplikowany mechanizm, wytworzony przez wieki historii Europy, który pozwala przekształcać ludzką wolność i jej ograniczenia, indywidualne inicjatywy i zbiorowe działania, religijne tęsknoty oraz ambicje i interesy w źródło nieustającej kreatywności i dynamiki?

Wiadomo, iż można łatwo przekształcić akwarium w zupę rybną. Problem polega jednak na tym – powiada rosyjski poeta – czy można zupę rybną przemienić w akwarium? Wartość metafory jest ograniczona, ale czy nie jest tak, że dalsze poszerzanie pola wolności dokonywać się będzie w ramach systemu, pogrążającego

się coraz głębiej w rozkładzie i paraliżu, nie znajdując w sobie energii, by doprowadzić do nowej reintegracji społecznego organizmu, niezbędnej dla podjęcia wyzwań nowoczesnego świata, blokując równocześnie proces spontanicznego, narodowego odrodzenia? Byłby to więc system, którego władze traciłyby zdolność kontroli i determinowania zachowań poddanych na coraz szerszych obszarach życia zbiorowego, w procesie, który Barrington Moor porównywał kiedyś do rozkładu orientalnych despotcji, zaś Timothy Garton Ash określał mianem otomanizacji; mieli oni na myśli równoległy i współzależny proces emancypacji i rozkładu, dokonujący się w łonie Imperium i jego poszczególnych prowincji.

W powyższych rozważaniach skupiłem uwagę na *wewnętrznych* tendencjach sprzyjających i utrudniających zasadnicze przemiany. Jednakże – i to jest podstawowe źródło optymizmu – narody środkowo-wschodniej Europy nie są gotowe zaakceptować degradację swych krajów w milczeniu, nudzie i smutku. Wystarczy pamiętać o kolejnych datach wojen, jedynych wojen, domowych i międzynarodowych, toczonych na terenach Europy po drugiej wojnie światowej, aby głęboko w to wierzyć. Przeciwno pesymistycznej hipotezie przemawia też istnienie Europy, jej historii, tradycji, wartości, dzisiejsze osiągnięcia Zachodu. To żywe świadectwo możliwości ludzi wolnych jest nieustannym wyzwaniem dla dekadencji i niewiary.

Z doświadczeń powojennej historii, z przekonania, że ustrój komunistyczny ma jedynie przeszłość, a nie przyszłość, z europejskiej wreszcie tradycji wynika jeszcze jedna możliwość: *rewolucja*. Rewolucja jako akt zerwania ciągłości, obalenia narzuconego ustroju (niekoniecznie w drodze przemocy), w jednym czy zarazem wielu krajach regionu, ale również w sensie pierwotnym, jako akt *powrotu* do historycznej linii rozwoju, która kraje te ku Europie coraz bardziej przybliżała. Nie tylko w sferze duchowej, również w ich instytucjach, w organizacji życia zbiorowego.

Aleksander Smolar

wywiad aneksu

MYŚL I DZIAŁANIE W POLITYCE MIĘDZYNARODOWEJ

Rozmowa ze Zbigniewem Brzezińskim

ALEKSANDER SMOLAR: *Po opuszczeniu Białego Domu, gdzie spędził pan lata 1977-1981 jako doradca do spraw bezpieczeństwa prezydenta Cartera, mówił pan w jednym z wywiadów o ograniczonych możliwościach działania polityka. Podkreślał pan, że historia nie jest kształtowana w sposób świadomy, ale jest raczej odbiciem nieustannego chaosu, walk osobistych i dwuznaczności.*

*Jest to spojrzenie intelektualisty i Europejczyka świadomego, że cele ludzkie rzadko się realizują, że polityka jest miejscem tragedii, zmagania się z irracjonalizmem, emocjami i przypadkiem. Z drugiej strony, w pana książkach i artykułach, na przykład w ostatniej książce *Plan gry*, czy też publicznych wystąpieniach na temat symbiozy amerykańsko-japońskiej i możliwej przyszłej integracji tych dwóch krajów lub w ostatnio publikowanych rozważaniach o strategii dla Stanów Zjednoczonych dominuje czysto racjonalistyczne podejście do polityki. Widzi pan pewne cele, możliwości, warunki ograniczające... jednym słowem, zadania do rozwiązania. I pan jako specjalistu proponuje rozwiązania.*

ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI: Oba te czynniki oddziałują na rzeczywistość. Owszem, potwierdzam to, co powiedziałem wcześniej na temat chaotycznego i niespójnego charakteru procesu podejmowania decyzji, szczególnie w demokracjach takich jak amerykań-

ska, gdzie elita polityczna podejmująca decyzje w polityce zagranicznej jest często bardzo nieprofesjonalna i działa na zasadzie *ad hoc*. Powiedziałbym, że w rzeczywistości większość decyzji rządu amerykańskiego podejmowanych jest przez znękanych ludzi, działających pod olbrzymią presją czasu, którzy sami nie mają zbyt dużego rozeznania. Opierając się na nieadekwatnych informacjach, muszą nagle podejmować decyzje o fundamentalnym znaczeniu. W takiej sytuacji jednostka czy grupa, która ma poczucie kierunków strategicznych i świadomość priorytetów, może narzucić do pewnego stopnia to, co luźno nazwałbym strategią.

Aby jednak odpowiedzieć na pytanie szczegółowo, powiedziałbym tak: kiedy próbuję sformułować koncepcję amerykańskiego uczestnictwa w świecie w ciągu następnych kilku dziesięcioleci – koncepcję, która opiera się o dotychczasowe doświadczenia związane z ideą atlantycką, ale bazuje na dodatkowym zaangażowaniu w basenie Oceanu Spokojnego – próbuję w istocie natchnąć ten chaotyczny proces, w którym Ameryka uwikłana jest w normalne stosunki, ale i konflikty, spory i walki choćby z Japonią czy Chinami, jakimś wyobrażeniem struktury docelowej, do której polityka winna zmierzać.

Z mojego osobistego doświadczenia wynika, że wiele względnych sukcesów takich ludzi jak Kissinger czy ja w określaniu polityki amerykańskiej stąd właśnie się bierze. Dlaczego inni profesowie urodzeni w Ameryce, którzy zajęli się polityką, nie osiągnęli tego, co my? Myślę, że nam dwóm udało się ująć w ramy bardziej skonceptualizowanego podejścia strategicznego ten pełen zamieszania, wewnętrznie sprzeczny, reaktywny proces podejmowania decyzji. Dało nam to – jak sądzę – pewną przewagę operacyjną.

Podał pan przykład swój i Henry Kissinger'a. Często to zestawienie jest czynione. Obaj panowie przyszliście do polityki z uniwersytetu, od refleksji do praktyki, obaj też wywodzicie się z Europy i przyjechaliście tutaj obciążeni bagażem szczególnych wspomnień i doświadczeń. Czy nie sądzi pan jednak, że w tych sukcesach dużą rolę odgrywał po części przypadek, w jakimś stopniu silna osobowość, a niekoniecznie szczególność widzenia świata i polityki?

Oczywiście, że przypadek mój w tym swój udział. Jednakże nadanie temu przypadkowi jakiegoś głębszego znaczenia, pewnego historycznego wymiaru, jest rzeczą bardzo ważną we wpływności na kierunek polityki. Weźmy przykład sowieckiej inwazji Afganistanu. Z formalno-prawnego punktu widzenia można ją było potraktować jako dwuznaczną operację dokonaną w trakcie trwania wojny domowej. Taka była interpretacja Departamentu Stanu. Mój pogląd był całkowicie odmienny. Sądziłem, że niezależnie od tego, jakie były subiektywne motywy sowieckich przywódców, obiektywnie sowiecka inwazja Afganistanu jest strategicznym zagrożeniem dla Azji zachodniej i daje możliwość przedarcia się Sowietów aż do Zatoki Perskiej i Oceanu Indyjskiego. Tak więc, abstrahując od prawnej strony całego zagadnienia i motywów Kremla, konsekwencje inwazji mają wielki wymiar historyczny i strategiczny i to musi spowodować zasadnicze i twarde stanowisko Ameryki. I tak się stało. Ameryka zastosowała sankcje na wielką skalę, co być może odbiło się również na kalkulacjach Moskwy w sprawie Polski. Sowietci, po tak ostrej reakcji amerykańskiej, musieli się zastanawiać – jak sądzę – jaka może być reakcja Białego Domu, dopóki był tam Carter i ja, w przypadku wkroczenia wojsk sowieckich do Polski i rozlewu krwi. Nie byli więc pewni, czego się mogą po tych „wariatach” spodziewać. Przyjęcie twardej linii było możliwe dzięki przekonaniu prezydenta o konieczności widzenia sowieckiej inicjatywy jako czegoś większego i poważniejszego, niż gdyby inwazję Afganistanu analizować w sposób wyizolowany, bez perspektywy strategicznej.

To jest silny argument. Przyznaję, iż miałem skłonność przypisywać szczególną rolę pana i Kissingera w formowaniu amerykańskiej strategii przynajmniej częściowo umiejętność konstruowania wielkich wizji i narzucaniu ich klasie politycznej i całemu społeczeństwu; ukazywania, często post factum, pewnej logiki globalnej, która niekoniecznie w rzeczywistości inspirowała decyzje polityczne.

Tak w istocie być może w praktycznych warunkach podejmowania decyzji politycznych. Możliwe, że moja interpretacja przypadku Afganistanu była przerysowana. Ja jednak nie jestem

skłonny tak myśleć, ponieważ gdyby Sowieci w pełni zapanowali nad Afganistanem, mogliby skutecznie destabilizować Pakistan, a może nawet interweniować w Iranie. Być może jednak nie mam racji. Ale moja interpretacja stanowiła logiczną część szerszej wizji, którą historia i geografia zdawały się wzmacniać, a która jednocześnie psychologicznie współgrała ze stanem szoku, jaki zapanował. Dzięki temu łatwo było ją narzucić. Myślę, że ten sposób rozumowania był skutkiem europejskiej formacji myślowej, która ma znacznie głębsze niż typowo amerykańskie poczucie wagi historii i geografii.

Doszliśmy do problemu dwóch kultur, między którymi pan żyje. Czytałem kiedyś surowe pana słowa o amerykańskiej „szeregowej historycznej amnezji”, którą tłumaczy pan częściowo krótką historią tego kraju i związaną z tym skłonnością do spojrzenia perspektywnego, a nie retrospektywnego. Pisał pan, iż owa amnezja „...pozwala również zrozumieć, dluzczego czasami Ameryku przerzuca się od apokaliptycznej trwogi do swego rodzaju utopijnego eskapizmu, którego przykładem jest szczyt w Reykjaviku”. Pewną cykliczność w polityce amerykańskiej tłumaczy więc pan brakiem tradycji, osadzenia w historii, długofalowej wizji, nieopstrzeganiem uwarunkowań; myśleć bowiem historycznie to uprzewilejowywać ograniczenia.

Tak jest w istocie. Amerykańskiej polityce brak jest poczucia, że istnieją pewne powszechnie uznane i głęboko ugruntowane fundamentalne punkty stałe w określaniu amerykańskiej racji stanu. Myślę, że znowu jest to funkcją tych dwóch elementów, które nieustannie podkreślam: historii i geografii. Nasza geografia utrwała ów brak automatyzmu w definiowaniu amerykańskiej racji stanu, ponieważ nie posiadamy rzeczywistych granic geograficznych. Granica północna jest przyjaźnie otwarta; granica południowa – przynajmniej dotychczas – daje się, można powiedzieć, rozsądnie kontrolować; na wschodzie i na zachodzie mamy ocean. Tak więc geografia nie określa naszej sytuacji, może wpływa tylko na poczucie ekspansywnego braku ograniczeń. Tymczasem polskie czy francuskie podejście do spraw zagranicznych jest kształtowane przez geografii. Podobnie rzecz się ma z historią,

historią odwiecznych wrogów, traumatycznych doświadczeń, które powodują niejako automatyczne reakcje zbiorowe. Tego wszystkiego Amerykanie nie posiadają. Jeżeli Jung miał rację, mówiąc o historycznej podświadomości, to amerykańska historyczna podświadomość jest amalgamatem sprzecznych podświadomości historycznych Polaków, Żydów, Niemców, Francuzów zakorzenionych w warunkach geograficznych. Tak więc Amerykanie muszą się koncentrować na przyszłości, która ich łączy, a ponieważ przyszłość jest zmienna i dynamiczna, łatwo przeskakują od jednej skrajności do drugiej. Jednego dnia Rosja może być „imperium zła”, a drugiego takim samym krajem jak nasz.

Pisał pan, „iż łatwiej i bardziej «amerykańsko» jest opierać politykę zagraniczną na idealistycznych zasadach, uniwersalistycznych w swoim zasięgu i moralistycznych w treści”. Jak pogodzić tę ocenę z faktem, iż przecież w tym kraju dominuje kultura chrześcijańska, która ma zakodowany w sobie pewien pesymizm co do natury ludzkiej, co do możliwości jej doskonalenia?

To jest ciekawe zagadnienie, którego nie miałem okazji przemyśleć. Istnieją tu bardzo interesujące paradoksy i kontrasty. Chrześcijaństwo w kontekście europejskim jest pewnym podejściem do życia, które jest częścią skomplikowanej i wysublimowanej cywilizacji europejskiej. Tak więc chrześcijaństwo europejskie – pomijawszy szczególne polskie doświadczenie, które wzmocniło chrześcijaństwo i połączyło je z polską symboliką narodową – ma tendencje do przekształcania się w niedosłowne, wysublimowane źródło prawdy. Tymczasem amerykańskie podejście jest całkowicie odmienne. Nie wiem, czy w czasie swego pobytu w Ameryce miał pan okazję oglądać występy kaznodziei telewizyjnych. Sposób, w jaki oni interpretują Biblię, jest całkowicie dosłowny, tak jakby była ona literalnie objawieniem Słowa Bożego. Może pan zobaczyć w amerykańskiej telewizji kaznodzieję używającego mikrofon, przemawiającego do 20 tysięcy ludzi, przybyłych samochodami, to znaczy obywateli używających nowoczesnych technologii, i opowiadającego o rozmowie, jaką miał on osobiście w ten czwartek z Bogiem. Mam na myśli program Jimmy Swaggarta, który drobiazgowo wręcz opowiadał o

tym, jak on i Bóg rozmawiali ze sobą. Ujawniał nawet szczegóły tej rozmowy, w której Bóg nazywał go po imieniu – Jiminy, a on zwracał się do Boga „panie Boże” przypuszczalnie przez duże „B”.

Przy innej okazji zaś opowiadał publiczności o tym, jak jechał samochodem z lotniska w Los Angeles, aby wygłosić kazanie i Bóg usiadł obok niego na przednim siedzeniu i odbył z nim rozmowę. Myślę, że każdemu opowiadającemu takie rzeczy w Europie pokazano by po prostu drzwi. W Ameryce natomiast są tysiące, setki tysięcy, a nawet miliony ludzi, którzy polykają te klamstwa. Sądzę, że ma to duży związek z tym, że w Ameryce religia, jak wiele innych rzeczy, jest bardzo prosta. Jeśli ktoś wierzy, to w sposób prosty i dosłowny. Chrześcijaństwo w Europie i tutaj, to dwie różne rzeczy. W Europie chrześcijaństwo jest częścią licznych pokładów cywilizacji, fragmentów mozaiki, która określa kulturę narodową. W Ameryce natomiast stosunek do chrześcijaństwa wśród wierzących jest surowy, dosłowny i fundamentalistyczny.

Kissinger był często krytykowany za to, iż pozostawał pod głębokim wpływem Metternicha, któremu poświęcił swoją książkę. Zarzucano mu, że przejmował wzory uprawiania polityki nie dostosowane do warunków współczesnej masowej demokracji amerykańskiej. Winiono go o elitarność, pewną pogardę dla mas, skłonność do tajnej dyplomacji. To było jednym ze źródeł rewolty przeciwko polityce Nixona i Kissingera. Z drugiej strony, w myśleniu o polityce Kissingera dostrzec można wpływ pesymistycznej, Spenglerowskiej filozofii historii. Stany Zjednoczone znajdują się – wedle niego – w fazie schyłkowej i jako polityk i patriota amerykański dążył do zatrzymania, opóźnienia tego procesu. Widziano w tym konserwatywną tendencję do utrwalania status quo. Między innymi w stosunkach ze Związkiem Radzieckim. Pan przeciwko temu występował. Czy mógłby pan scharakteryzować w paru słowach to, co stanowi fundament pańskiego myślenia o polityce i historii? Do jakiego stopnia pozostaje pan pod wpływem europejskiego dziedzictwa?

Chciałbym najpierw powiedzieć, że – jak sądzą – jestem bardziej amerykański niż Kissinger. Ma to prawdopodobnie związek

z tym, że przybyłem do Stanów Zjednoczonych w młodszym wieku niż on. Choć być może różnica jest sprawą temperamentu. W każdym razie nie podzielam jego „europesymizmu” i nie jestem wyznawcą Spenglera. Myślę, że jestem przesiąknięty typowym amerykańskim optymizmem. Podejrzewam, że ten amerykański optymizm, który podzielam i popieram, jest u mnie do pewnego stopnia rezultatem polskiej niedoli, której doświadczyłem jako małe dziecko. Przejęcie wizji optymistycznego, dynamicznego i potężnego społeczeństwa, z którego ideami mogłem się utożsamić, którego witalność, kreatywność i historyczny dynamizm mogłem propagować, było sposobem kompensowania totalności polskiej klęski, której co prawda nie doznałem na własnej skórze, ale w którą mogłem wczuć się jako małe dziecko. Zajnuję się tu analizą źródeł psychologicznych mojej postawy, bowiem sądzę, że to również tłumaczy, dlaczego nie tylko intelektualnie, ale i emocjonalnie, bliski był mi amerykański optymizm i dlaczego pogląd, iż Ameryka upada i jedyną misją jej rządów i intelektualistów jest zapobieżenie temu upadkowi, jest dla mnie szczególnie odrażający. Dla mnie Ameryka jest ciągle krajem przyszłości. Zresztą wiele z tego, co się dzieje obecnie w Związku Sowieckim, interpretuję jako początek uświadomienia sobie przez Rosjan, że przegrali zimną wojnę z Ameryką. Ale przypuszczam, że poza tym racjonalnym wymiarem moich myśli mogą kryć się bardzo osobiste impulsy, które próbowałem tu ukazać.

Hannah Arendt przeciwstawiała działanie kontemplacji, Gramsci mówił o „pesymizmie wiedzy i optymizmie woli”. Jak można łączyć organicznie dwie tak przeciwne postawy wobec rzeczywistości? Przecież sam pan mówił i pisał o „chaosie”, o „amnezji”, o irracjonalizmie w amerykańskiej polityce prowadzącej do swoistej cykliczności...

Tak, ale w dziedzinie władzy, na obszarach polityki, pesymizm brzmi jak rodzaj przepowiedni. W polityce, jeśli się chce odnieść sukces, musi się w ten sukces wierzyć. Oto dlaczego optymizm jest w tym względzie funkcjonalny. Jako naukowiec, intelektualista mogłem być innego zdania, ale dla mnie większość mojego akademickiego życia była integralnie związana z próbą wpływania na

bieg wydarzeń. Próbuję być obiektywny w moich badaniach, stosując w nich pełnię mojej wledzy i rozumu, ale nie ukrywam, że prawdziwym celem moich badań jest zawsze polityka.

Ogólnie można powiedzieć, że pana wizja historii jest optymistyczna, że – mimo załamania i cofnięć – historia jest procesem postępu demokracji.

Tak jest, zdecydowanie. Widzę przed światem tylko dwie drogi: albo zwycięstwo demokracji w jej ogólnym sensie, co oczywiście nie wyklucza jakichś tam wysepek totalitaryzmu, dyktatury czy despotcji, albo ogólna anarchia światowa. Natomiast wizję świata opanowanego przez totalitaryzm w stylu 1984 uważam za wykluczoną. To, co się obecnie dzieje w krajach komunistycznych, jest dla mnie dowodem na to, że proces rozpadania się systemów totalitarnych jest już bardzo zaawansowany. Jediną alternatywą stojącą przed światem jest albo jakiś – powiedzmy – dynamiczny, pluralistyczny system światowy, który nie wyklucza – rzecz jasna – kryzysów lokalnych dyktatur, albo anarchia na skalę światową. W ramach tej anarchii mogą istnieć pewne wyspy ładu i porządku, ale całokształt układu światowego byłby anarchistyczny. Jest to jedyna alternatywa.

Na początku lat siedemdziesiątych, w odpowiedzi na politykę Nixona-Kissingera porozumiewania się na szczycie dwóch wielkich mocarstw, broni pan polityki opartej na bardziej skomplikowanej wizji świata, dynamicznej, wielocentrycznej. Jest to okres powołania do życia Komisji Trójstronnej, w ramach której głosi pan tezę o koniecznej bliskiej współpracy Stanów z Japonią i Europą. (W trakcie prac Komisji poznał pan przyszłego prezydenta Cartera i niektórzy obserwatorzy mówią, iż to bardziej pan wybrał wówczas nieznanego nikomu gubernatora, niż że to on wybrał pana.) Dzisiaj zafascynowany pan jest perspektywą zbliżenia amerykańsko-japońskiego. Mówi pan nawet – zapewne to żart – o perspektywach zjednoczenia, temu wyimaginowanemu krajowi nudażąc nazwę Amerippon, złożoną z połączenia nazw America i Nippon. Wyprowadza pan te koncepcje z obiektywnego układu interesów ekonomicznych i strategicznych i z roli globalnej, jaką Stany

Zjednoczone odgrywają i na jaką Japonia jest skazana ze względu na potencjał, którym dysponuje. Jak pan tłumaczy tę ewolucję?

Myślę, że ma pan rację, podkreślając z jednej strony mój krytycyzm w stosunku do nixonowskiej polityki odprężenia i z drugiej – wagę, jaką przywiązywałem do trójstronnych związków między Stanami Zjednoczonymi, Europą i Japonią.

Nie chciałem, aby polityka amerykańska w stosunku do Związku Sowieckiego prowadziła do statycznego podziału świata. Wynikało to z mojej wizji strategicznej i być może również z mojego głębokiego zaangażowania politycznego. Byłem zdania, że takie zamrożone, statyczne i konserwatywne odprężenie doprowadzi do utrwalenia, by tak rzec, świata jaltańskiego. Jednocześnie, poza kwestią stosunków między Wschodem i Zachodem – i przypisuję sobie pewne zasługi w popularyzowaniu tej idei – byłem przekonany, że obszar Pacyfiku będzie zyskiwał rosnącą rangę i skutecznie konkurował z regionem atlantyckim i że w ten właśnie sposób będą wykuwały się nowe zwłazki między Stanami Zjednoczonymi, Japonią i Europą zachodnią. Ten drugi kierunek myślenia był niezależny od pierwszego i był związany z pytaniem: jaką rolę Ameryka powinna odgrywać, w jaki sposób powinna dbać o utrzymanie swojego miejsca w świecie i adaptować się do zmian w układzie globalnym? Krytyczne podejście do nixonowskiej formuły odprężenia polegało na zapobieganiu temu, co nazwałem utrwaleniem podziału jaltańskiego.

Moje obecne spojrzenie na sprawy dotyczące regionów Atlantyku i Pacyfiku jest, w zasadzie, kontynuacją i poszerzeniem ówczesnych analiz. We wcześniejszej fazie trójstronnych powiązań widziałem potrzebę szerszego włączenia Japonii, tak żeby dać jej większą pewność siebie, zaufanie i wielostronność kontaktów oraz odmienić sytuację pełnego podporządkowania w ramach bilateralnych stosunków z Ameryką. Waga Japonii wzrosła do tego stopnia, że konsolidacja pozycji amerykańskiej w rejonie Pacyfiku wymagała budowy specjalnych powiązań między Ameryką a Japonią, podobnych do stosunków amerykańsko-brytyjskich w rejonie Atlantyku. Wynikałaby z tego oś Ameryka-Japonia i oś Ameryka-Wielka Brytania jako element szerszych związków z Europą zachodnią i z innymi krajami Pacyfiku.

Jeśli chodzi o stosunki Wschód-Zachód, których wagę w dalszym ciągu podkreślam, to widzę obecnie historyczną szansę prowadzenia znacznie bardziej aktywnej polityki w stosunku do Wschodu, tym bardziej że Wschód wchodzi w okres głębokiego kryzysu nie wykraczającego poza granice narodowe. Istnieje więc teraz prawdziwa historyczna okazja, by przezwyciężyć jałtański podział Europy. Tak więc, o ile dawniej obawiałem się, że podział Europy może zostać utrwalony, teraz sądzę, że rodzi się szansa odwrócenia całego procesu.

Chyba nie myłę się, że pana nazwisko stało się znane po opublikowaniu przez pana, wraz z profesorem Friedrichem, w 1956 roku książki Totalitarianism: Dictatorship and Autocracy. Podjęta została w niej próba precyzyjnego określenia cech systemu totalitarnego. Później rozwijał pan swoje poglądy na ten temat w książce Ideology and Power in Soviet Politics (1962). Uderza mnie, iż porzucił pan koncepcję totalitarną, nie odczuwając intelektualnej potrzeby uzasadnienia zmiany swojego stanowiska. Od dawna przestał pan posługiwać się pojęciem totalitaryzmu przy opisywaniu Związku Radzieckiego, Polski czy innych krajów rządzonych przez komunistów. Jaki jest pana obecny pogląd w tej sprawie? Czy odgrywała tu rolę presja amerykańskiej opinii publicznej, szczególnie politycznej i intelektualnej, w której pojęcie totalitaryzmu, identyfikowane z „zimną wojną”, wywołuje alergię? Czy też zmieniła się pana wizja systemu, jego dynamiki, przyszłości?

W ostatnich latach nie zajmowałem specjalnie tym problemem, a więc i nie używałem za często pojęcia „totalitaryzm”. Moja uwaga przesunęła się od spraw stosunków wewnętrznych w Związku Sowieckim w kierunku spraw zewnętrznych, geopolitycznych i strategicznych. Obecnie piszę książkę, w której ponownie zajmuję się trochę kwestią totalitaryzmu. Jeżeli chodzi konkretnie o sprawę pojęcia, to definicja totalitaryzmu sformułowana przez Friedricha i zawarta w naszej książce, była wystarczająca dla ery Hitlera i Stalina, ale nie dla analiz dalszego rozwoju Związku Sowieckiego. W kolejnych moich pracach próbowałem więc zdefiniować pojęcie „totalitaryzmu racjonalnego”. Obecnie zastanawiam się nad pytaniem, czy totalitaryzm może ewoluować, czy też

jego jedyną alternatywą jest fragmentacja, rozpad. Czy Związek Sowiecki przechodzi rzeczywiście proces postępującej transformacji, czy też obserwujemy tam początek kryzysu strukturalnego? Osobiście przychylam się do tej drugiej hipotezy, ale – rzecz jasna – żadnej konkluzji nie można jeszcze dzisiaj sformułować. Tak więc w pewnym sensie powracam do problematyki totalitaryzmu, bowiem wszedłszy w politykę, właściwie od połowy lat sześćdziesiątych, nie miałem okazji zajmować się tym zagadnieniem.

Ma pan całkowicie rację mówiąc, że w amerykańskich kręgach akademickich w ostatnim czasie pojęcie „totalitaryzm” odbierane jest bardziej pejoratywnie niż naukowo. Jednakże ten fakt nie zniechęciłby mnie do używania tego terminu, ale nie chciałem dać się wciągnąć w dyskusję terminologiczną nad tematyką, którą się dłuższy czas nie zajmowałem.

Nie chodzi tu wyłącznie o problem definicji. Rzecz idzie w istocie o ocenę możliwości zmian. Jeżeli definiuje się system sowiecki jako system autorytarny – podejście najbardziej popularne w sowietologii amerykańskiej po szalonej kreatywności koncepcyjnej lat sześćdziesiątych, kiedy co dzień wymyślano jakąś nową nazwę dla Związku Radzieckiego, żeby tylko uniknąć totalitaryzmu – to wrzuca się do jednego worka takie kraje, jak Związek Radziecki i tradycyjne dyktatury. Prowadzi to nieuchronnie do sformułowanego często wniosku, iż tak jak autorytarne systemy mogą ewoluować od form najbardziej nawet brutalnych do demokracji, tak i kraje komunistyczne mogą bez przeszkód rozwijać się ku jakimś formom demokracji. Natomiast widzenie specyfiki totalitaryzmu, a więc określanie tego systemu jako sui generis, stawia natychmiast problem nieciągłości, granic zmian możliwych w jego ramach i zmian umożliwiających wyjście poza nie.

Tak, w definicji amerykańskiej jest pewne założenie stabilności. Do tego jeszcze systemy autorytarne są jednocześnie systemami bardzo tradycyjnymi. Powstaje w związku z tym pytanie: czy można nazwać system, który obecnie istnieje w Rosji, systemem autorytarnym, kiedy jest całkiem jasne, że system ten nie jest stabilny, że sytuacja jest niezwykle dynamiczna i nie wiadomo, w jakim kierunku to jeszcze pójdzie. Dlatego ja osobiście

nie jestem skłonny przyjąć założenia, że dzisiejszy system sowiecki jest systemem autorytarnym. Myślę, że jest to system totalitarny, który przeżywa głęboki kryzys. I pozostaje otwarte pytanie, do czego on doprowadzi? Instynktownie skłaniam się do tezy, iż Związek Sowiecki będzie musiał cofnąć się albo ulec fragmentacji.

Jak w tym wszystkim widzieć Polskę?

Oczywiście Polska w okresie Bieruta była krajem totalitarnym. Natomiast całkowicie nie trafnym byłoby użycie tego terminu dla Polski Jaruzelskiego. System ten znacznie ewoluował od lat pięćdziesiątych. Jediną racją istnienia Jaruzelskiego było powszechne do niedawna przekonanie, że jego usunięcie byłoby równoznaczne z przyjsciem Sowietów. Nie jest to więc reżim istniejący autonomicznie. Jest to system mniej totalitarny niż za Bieruta, ale jest on utrzymywany przez siłę zewnętrzną. Prawdziwym testem dla tej władzy będzie sytuacja, w której dla wszystkich stanie się oczywiste, że Rosjanie mogą nie interweniować dla jego ratowania. Zmierzany szybko w tym kierunku. Wówczas okaże się, że reżim tego typu nie może utrzymać się przy władzy samodzielnie przy tym sposobie rządzenia, jaki stosowano w ciągu ostatnich siedmiu lat.

Powróć za chwilę do Polski, ale chciałbym jeszcze zatrzymać się na moment przy Związku Radzieckim. Oczywiście, jako czytelnik pana prac, widziałem ewolucję pana zainteresowań. W coraz mniejszym stopniu interesowała pana organizacja wewnętrzna tego kraju, w coraz większym zaś rola i miejsce Moskwy w polityce międzynarodowej. Ale również w sferze spraw zagranicznych dostrzegam ewolucję pana myślenia i dlatego odpowiedzi powyższe nie zadowolają mnie w pełni. W pana ostatnich pracach pojawia się wizja Związku Radzieckiego jako naturalnego przedłużenia starej Rusi. Jego ekspansjonizm zdaje się być jedynie kontynuacją historycznej, trzystuletniej rosyjskiej polityki ekspansji, określonej położeniem geograficznym (brakiem granic naturalnych), historycznie uzasadnionym strachem przed zagrożeniem zewnętrznym, wynikającą stąd, historyczną – rzecz można – potrzebą bezpieczeństwa, która paradoksalnie realizuje się w nie-

ustającej ekspansji. Znika więc specyfika totalitarna, szczególne, ideologiczne źródła sowieckiego ekspansjonizmu.

To jest bardzo słuszna uwaga, ma pan rację. Był okres, w którym rzeczywiście podkreślałem znacznie mocniej ideologiczne cechy tego ustroju, traktowałem je niemal jako cechy autonomiczne. Moim zdaniem, gdy ideologia zanika i rozplywa się w społeczeństwie, które powoli zaczyna się budzić, to nieuchronnie odżywają stare, bardziej trwałe narodowe impulsy i odruchy. Wydaje mi się, że zasadnicze cechy postępowania imperium rosyjskiego zaczynają powoli odzywać. Notabene uderzyło mnie, że gdy zapytano kiedyś Gromykę, co lubi robić dla rozrywki w czasie wolnym, odpowiedział, że najbardziej lubi czytać pamflety Golicyna, najbardziej rosyjskiego z carskich ministrów spraw zagranicznych w XIX wieku. W polityce zagranicznej każdego państwa odnaleźć można elementy trwałości, które są wynikiem czynników historycznych i geograficznych.

Spójrzmy na całokształt zachowania się poszczególnych ekip w krajach komunistycznych w tym właśnie kontekście rozplywania się ideologii. Spójrzmy na Chiny, w których rozpoczyna się interesujący proces. Przywódca chiński Zhao-Zijang mówił na ostatnim zjeździe partyjnym o konieczności stworzenia nowej warstwy urzędniczej. Chodzi o urzędników, którzy będą uparci i będą działać w sposób bardzo profesjonalny; będą systematycznie oceniani, a ich celem będzie służyć społeczeństwu na zasadzie cnoty i poświęcenia. Jest to powrót do cech mandarynatu.

Spójrzmy na to, co się dzieje w Jugosławii, czy też w Węgrzech. Co objawia się teraz w Armenii? Czy miał pan okazję czytać książkę de Custine'a *Listy z Rosji*? To świetna książka. Przeglądałem niedawno wydanie polskie. Kupiłem również jej wydanie angielskie, żeby moja żona mogła przeczytać. Przecież to jest doskonały opis dzisiejszej Rosji. Wydaje mi się więc, że jest czymś całkowicie normalnym, iż w obliczu erozji ideologii, ujawnia się to, co jest najbardziej trwałe i co wynika z narodowej historii i narodowej geografii.

W polityce amerykańskiej po wojnie rzadko traktowano kwestię europejską w całości. Przeważnie widziano, mówiąc o Europie,

zagadnienie Europy zachodniej, często sprowadzono je do problemu podzielonych Niemiec; czasami, zwłaszcza w okresie kolejnych kryzysów wybuchających w naszej Europie, rozważano kwestię polityki wobec tego regionu. Pan należy niewątpliwie do niewielu strategów, którzy widzą nasz kontynent jako całość i jako jeden problem.

Historię polityki Stanów Zjednoczonych wobec Europy wschodniej można podzielić na parę etapów. Pierwszy etap, pokrywający się z latami „zimnej wojny”, wiązał się z doktryną „wyzwolenia”, „odepchnięcia”. Była to polityka czystej retoryki, nic za nią nie stało. Najlepszym dowodem była postawa USA wobec rewolucji węgierskiej 1956 roku. To był moment, można powiedzieć, ostatecznej confirmacji Jalty. Swoim bezruchem Zachód uznał prawomocność wewnątrz europejskiej granicy.

Od tego czasu różne koncepcje polityki amerykańskiej wobec Europy środkowo-wschodniej są w dużym stopniu wynikiem pana myślenia. W latach sześćdziesiątych, w ramach administracji Kennedy'ego i Johnsona, sformułował pan strategię „budowania mostów”, „pokojowego zaangażowania”. Wówczas również zaczyna się wykuwać koncepcja „różnicowania”. Przy generalnej ciągłości, można jednak dostrzec wyraźne zmiany w pana poglądach. Powiedziałbym najogólniej, iż pana koncepcje z lat sześćdziesiątych są znacznie bardziej optymistyczne i ofensywne, jeżeli chodzi o wizję możliwości bezpośredniego oddziaływania Stanów Zjednoczonych na los Europy środkowo-wschodniej, niż w latach siedemdziesiątych i tym bardziej osiemdziesiątych. W jakim sensie ta ewolucja, jeżeli słusznie ją postrzegam, odpowiada panu intelektualnemu rozwojowi, na ile zaś wynika ze zmiany sytuacji w Europie?

No cóż, jest mi bardzo trudno osądzić zakres zmian i do jakiego stopnia zmiana – ma pan rację czyniąc to rozróżnienie – jest produktem subiektywnej ewolucji, a do jakiego stopnia wynika z dostosowania się do zmieniających się okoliczności zewnętrznych. W latach sześćdziesiątych, na przykład, sądziłem, że zachodnia polityka powinna być inicjowana przez Stany Zjednoczone, ponieważ taka była ówczesna rzeczywistość. Sojusz Atlantycki złominywany był przez Stany Zjednoczone do tego stopnia, że

jakikolwiek postęp w polityce Zachodu w stosunku do Wschodu musiał być inicjowany przez Amerykę. Na pewno nie mogli robić tego Niemcy. Proszę nie zapominać, że do późnych lat sześćdziesiątych Republika Federalna nie była gotowa zaakceptować granicy na Odrze i Nysie. Aby przekonać Niemców, by się z nią pogodzili, przywództwo w stosunkach ze Wschodem musiała sprawować Ameryka. Ale żeby Ameryka przyjęła tę rolę, musiał ktoś przekonać Amerykę, że posiada ona swoje interesy w Europie wschodniej. I to jest właściwie to, co ja robiłem za prezydentury Kennedy'ego i Johnsona. I rzeczywiście w 1966 roku udało mi się zmienić amerykańskie powojenne priorytety w Europie. Do 1966 roku priorytetem było zjednoczenie Niemiec, a dopiero w jego wyniku zmiana w stosunkach między Wschodem i Zachodem. Prezydent Johnson *explicite* przyjął formułę, którą zaproponowałem, że zmiana w stosunkach Wschód-Zachód musi poprzedzić ewentualne zjednoczenie Niemiec. Publiczne sformułowanie przez Prezydenta tej nowej doktryny w październiku 1966 roku doprowadziło do upadku rządu kanclerza Erhardta. Wielu z moich przyjaciół żartowało wówczas, że rozpocząłem moją karierę polityczną od obalenia rządu zachodniemieckiego.

Dzisiaj jestem znacznie mniej optymistyczny co do możliwości sprawowania przez Amerykę takiego przywództwa, a to z tego prostego powodu, że kraje Europy zachodniej nie pójdą za nią, ponieważ są znacznie bardziej niezależne. Ponadto sądzę, że na obecnym etapie obie wielkie potęgi są coraz bardziej zajęte problemami pozaeuropejskimi. W przypadku Związku Sowieckiego – problemami wewnętrznymi. W naszym przypadku – Ameryką Środkową, Zatoką Perską etc. W tym układzie wygląda na to, że popieranie pewnych bardzo subtelnych i ostrożnie wyważonych działań na rzecz ograniczenia obecności supermocarstw w Europie jest innym sposobem wspierania tego samego celu. Nazywając rzeczy po imieniu, idzie o uniemożliwienie bezpośredniej konfrontacji obydwu potęg pozaeuropejskich w Europie środkowej, a groźba ta utrzymywała dotąd pojaltański podział Europy. Jestem całkowicie oddany pogładowi, że stopniowe zmniejszanie zaangażowania obydwu stron w Europie pozwoli na odrodzenie tego, co kiedyś nazywano Europą środkową. Wierzę bowiem, że w tym kierunku działać będzie zarówno organiczna vitalność Europy

zachodniej i autentyczność jej demokratycznych instytucji, jak i nieautentyczność komunistycznych reżimów Europy wschodniej. Być może ta środkowa Europa będzie związana z Paktem Warszawskim, ale wewnętrznie będzie w istocie autonomiczna. Taka środkowa Europa będzie więc w pewnym sensie „sfinlandyzowana” wewnętrznie, jeśli nawet nie zewnętrznie. W moim mniemaniu będzie to znaczne polepszenie sytuacji w stosunku do stanu obecnego.

Tak więc moje rozumowanie strategiczne zdecydowanie się zmieniło. Ale jak widać, są określony przyczyny, dla których ono się zmienia.

Artykuł pana, który w ostatnich latach wzbudził największe zainteresowanie i najpoważniejsze polemiki, poświęcony był Jaltce i sposobom przewyciężenia podziału Europy (wersja polska w: Kultura, nr 1-2, 1985). Poglądy tam wyłożone wywołały wiele oporów i to z różnych stron. Podam jeden przykład. Lincoln Gordon (w książce Western Relations with Eastern Europe Washington, 1987) pisał: „Do pewnego stopnia zaskakująco zmodyfikowaną wersję wycofania, przewidującą jednostronną ewakuację amerykańskich sił lądowych (choć nie sił powietrznych czy strategicznych) i ich stopniowe zastąpienie przez Europejczyków, przedstawił Zbigniew Brzeziński pod koniec 1984 roku (...) Te poglądy są zaskakujące, albowiem dwadzieścia lat wcześniej Brzeziński był najbardziej zdecydowanym i przekonującym przeciwnikiem pozycji gaullistowskich. Twierdził wówczas – i moim zdaniem jest to równie prawdziwe dzisiaj co wówczas – że amerykańska pasywność może spowodować izolowane zachodnioeuropejskie przedsięwzięcia... że Europa zachodnia nie może o własnych siłach stymulować klimatu zmian, zapewnić odpowiedniej presji na rzecz jedności, i w końcu stworzyć poczucia bezpieczeństwa, niezbędnego dla przyciągnięcia Europy wschodniej i Rosji”.

Wyrażany jest niepokój, że skutki zalecanej przez pana polityki mogą być przeciwne do przewidywanych. Pan sugeruje, że Kreml nie będzie rozmawiał z Ameryką na temat przewyciężenia podziału Europy, ponieważ Ameryka jest głównym wrogiem i konkurentem ZSRR, natomiast, że może być skłonny do poszukiwania pewnego modus vivendi z Europą, w ramach Europy.

Istnieje jednak obawa, że taka koncepcja może stanowić uzasadnienie dla stopniowego wycofywania się Stanów z Europy, nawet w większym zakresie niż pan to przewiduje (ze względów strategicznych i coraz bardziej ze względów ekonomicznych), nie dając pozytywnych efektów w postaci mobilizacji energii Europy, wzrostu jej aspiracji i autonomii; że skutkiem może być wzrost uzależnienia osłabionej militarnie i podzielonej Europy od dominującego sąsiada ze wschodu.

Do tego dochodzi podjęcie tematu jedności Europy przez Gorbaczowa. Mówi on o Europie jako „wspólnym domu”, próbując eksmitować z niej Stany Zjednoczone i wprowadzić Rosję.

Może odpowiem po kolei panom G. Najpierw pan Gordon. Po pierwsze, pragnę podkreślić, że ja nigdy nie sugerowałem wycofania się Ameryki z Europy. Mówiłem jedynie o redukcji poziomu amerykańskich sił w Europie. A to jest zasadnicza różnica. W przeszłości amerykańskie siły w różnych okresach czasu były na wyższym lub na niższym poziomie niż dzisiaj ze względu na inne, pozaeuropejskie zaangażowania Ameryki. Sądzę również, że takie obniżenie amerykańskiego zaangażowania zwiększyłoby centralną rolę Europy i wzmacniło jej autonomię i samowystarczalność; zwiększyłoby również presję na Związek Sowiecki w kierunku ograniczenia jego panowania nad Europą środkową. Cały ten proces wzmacnia więc atrakcyjność Europy zachodniej dla Europy wschodniej i wspomaga w ten sposób transformację tej ostatniej w Europę środkową. Niech mi będzie wolno dodać, że pan Gordon, podobnie jak wielu innych Amerykanów, jest zdeklarowanym zwolennikiem orientacji atlantyckiej, co oznacza, że związki między Ameryką a Europą zachodnią traktuje on jako dobro samo w sobie. Ja tymczasem myślę o tych związkach jako o instrumencie, a nie celu samym w sobie. Trzeba pamiętać, że jeśliby zwolennicy orientacji atlantyckiej zostali postawieni przed wyborem rozluźnienia stosunków z Europą zachodnią przy swego rodzaju finlandyzacji Europy środkowej, albo też utrzymania organicznych związków z zachodnią Europą i kontynuacją sowieckiej obecności nad Łabą, wybraliby bez wahania tę drugą możliwość. Mam tu zasadniczo odmienny pogląd. Nigdy nie myślałem o orientacji atlantyckiej jako o celu samym w sobie, a ra-

czej jako o środku dla osiągnięcia bardziej pluralistycznego i bardziej stabilnego świata, w którym ten rodzaj hegemonii, jaki ustanowił Związek Sowiecki nad Europą środkową nie mógłby być utrzymany.

Co do pana Gorbaczowa i jego uwag o „wspólnym europejskim domu”, nie niepokoi mnie ani użycie przez niego tego pojęcia, ani też jego mówienie o demokratyzacji. Niech mówi na ten temat tak dużo, jak tylko sobie życzy, ponieważ tymi słowami kopie sam sobie grób. Im bardziej uruchamia on w Związku Sowieckim siły demokratyczne i im więcej ludzi przekona, że traktuje tę demokratyzację poważnie, tym trudniej będzie mu rządzić tym krajem. Już są tego rezultaty w postaci niepokojów w Erywanii, demonstracji w Rydze i myślę, że poczekamy jeszcze kilka miesięcy, a pojawią się problemy Europy środkowej, a może i rozruchy w Kijowie.

Nie mam nic przeciwko posługiwaniu się pojęciem „europejskiego wspólnego domu” przez Gorbaczowa, albowiem ludzie, którzy naprawdę chcą mieszkać w tym domu, żyją w Budapeszcie, Krakowie, Warszawie, Pradze i Bratysławie; również w Wilnie, Lwowie i Kijowie i to w znacznie większym stopniu niż na przykład w Kałudze czy Krasnodarsku. I dlatego słowa Gorbaczowa o „wspólnym europejskim domu” nie napawają mnie strachem. Słyszysz się pogląd, że zachodni Europejczycy mogą zostać uwiedzeni, ulec pokusie hasel o neutralizacji i zostać sfinlandyzowani. Oczywiście, ich wysoki standard życiowy wynika po części z niskich wydatków zbrojeniowych i potężnej amerykańskiej osłony, na którą przeciętny Amerykanin wydaje dwa razy tyle co przeciętny zachodni Europejczyk. W tej chwili dla utrzymania amerykańskiej tarczy i niskiego poziomu wydatków wojskowych wystarczy tylko mówić: „jeśli nas nie będziecie chronić, to wybierzemy neutralność”. Jednak nie sądzę, aby Europejczycy pragnęli popełnić polityczne samobójstwo i podporządkować się tonącemu imperium sowieckiemu. Tak więc nie akceptuję europejskiego szantażu w sprawach militarno-obronnych – pewne zmiany są tu nieuchronne – i nie przerażają mnie gorbaczowowskie slogany, albowiem sądzę, że uruchamia on siły, które już dzisiaj jest mu trudno kontrolować. I nie podzielam orientacji atlantyckiej Gordona, ponieważ była ona tylko odpowiedzią na sowieckie zagrożenie Europy zachodniej, a nie receptą na stały podział Europy.

Optymizm, który przebija z pana słów, zdaje się pozostawać w sprzeczności z pana licznymi, bardzo krytycznymi uwagami pod adresem obecnego stanu Europy. Pisał pan wielokrotnie o „historycznym zmęczeniu” Europy, o jej fragmentacji i „kulturalnym hedonizmie”.

To jest stan, którego ja nie lubię i z którego chciałbym Europejczyków wytrącić.

Czy nie chodzi tu jednak bardziej o procesy polityczne, społeczne, nad którymi nikt nie może zapanować, niż o racjonalne wybory dokonane przez świadome jednostki? Znany cywilizacje, które popelnily samobójstwo...

Nie uważam, iż to co piszę o Europie, jest jakąś koniecznością historyczną. Negatywne cechy obecnej sytuacji można zmienić celowym postępowaniem. Ważną rolę może odegrać powolna integracja Europy zachodniej nie tylko w wymiarze gospodarczym, ale również jako całości polityczno-wojskowej. Bódcem do tego może być stopniowe i warunkowe zmniejszanie amerykańskiego zaangażowania wojskowego w zapewnienie bezpieczeństwa Europy. Idzie o to, aby Europejczycy stanęli świadomie wobec tego faktu. Amerykanin wydaje przeciętnie 7.5% dochodu narodowego na obronę, z czego 40% idzie na Europę. Europejczycy wydają przeciętnie 3.5% dochodu. To nie jest sytuacja normalna.

Ale pan nie stawia takich wymagań, powiedzmy, Japonii...

Nie uważam za konieczne, byśmy pchali Japonię w tym samym kierunku. Często podkreślałem, również i w rozmowach z premierem Japonii, konieczność poważnego zwiększenia jej pomocy gospodarczej dla krajów o wspólnym z Ameryką i Japonią interesie strategicznym. Zamiast zmuszać Japonię do podjęcia dużych wydatków obronnych, które byłyby szkodliwe z innych powodów, chciałbym ją pchnąć w kierunku wysokiego samoopodatkowania na rzecz stabilności na Filipinach, w Syjamie i Pakistanie, odbudowy Afganistanu, pomocy w Egipcie i Ameryce Środko-

wej. Są to kraje, w których Ameryka i Japonia mają wspólne interesy strategiczne. W tym więc kierunku powinno pójść zwiększenie udziału Japonii w zapewnianiu światowego bezpieczeństwa.

W przypadku Europy rzecz jest całkowicie odmienna, dlatego że pewien wysiłek wojskowy Europy, który bezpośrednio ma za cel wzmocnienie jej obronności, pociąga za sobą, jak sądzę, pozytywne konsekwencje polityczne dla pobudzenia pewnej świadomości wspólnoty europejskiej jako całości politycznej.

Pisał pan, iż „rywalizacja o przyszłość Europy zmieniła charakter. Z politycznej obrony Zachodu przed możliwą sowiecką dominacją, przerodziła się w problem przerwania sowieckiego panowania na Wschodzie”. Pana koncepcja stopniowego, ograniczonego wycofywania się Stanów z Europy wiąże się z wizją historycznej zmiany układu sił.

I polityczną ofensywą Zachodu. Moim zdaniem, szala historii przechyliła się w sensie politycznym na rzecz Zachodu.

Można powiedzieć, że mamy do czynienia z grą (słowo, którym posłużył się pan w tytule swojej ostatniej książki) o finlandyzację: kto sfinlandyzuje kogo. Czy nie jest tak jednak, że niepewność – jeszcze jedno z pana ulubionych słów – jest tak duża, że jest rzeczą ryzykowną stawiać na jedną hipotezę?

To jest słuszne, ale ja nie stawiam na jedną hipotezę: mamy do czynienia z bardzo skomplikowaną sytuacją dużego regionu, w którym może pojawić się szereg możliwości. Mówiąc jednak ogólnie, moim zdaniem, z punktu widzenia Zachodu finlandyzacja Europy zachodniej przy jednoczesnej finlandyzacji Europy wschodniej oznacza koniec imperium sowieckiego, a w wypadku Europy wschodniej głębszą pluralizację systemu już i tak „pluralizującego się”. W bilansie historycznym byłoby to więc bardziej szkodliwe dla Sowietów niż dla Ameryki czy, ogólnie mówiąc, dla Zachodu.

Jaką rolę odegrały różne koncepcje w polityce amerykańskiej, do których sformułowania pan się przyczynił: „budowanie mostów”, „pokojuwe zaangażowanie”, „różnicowanie”? Na przy-

klud polityka „różnicowania”. Formalnie obowiązująca do dzisiaj, oznaczała, że Stany Zjednoczone faworyzują te kraje komunistyczne, które są najbardziej otwarte dla interesów i wartości Zachodu. Stąd uprzywilejowanie w latach siedemdziesiątych, z różnych powodów, Polski, Rumunii i Węgier. Jeżeli weźmiemy dzisiaj pod uwagę na przykład kryterium oddalania się od Związku Radzieckiego, a więc pewien margines autonomii, to należałoby nagradzać pomocą Zachodu takie najbardziej konserwatywne kraje obozu jak NRD, gdzie Honnecker obawia się destabilizującego wpływu głośności i pieriestrojki. Równocześnie najbardziej wlerne Związkowi Radzieckiemu są dzisiaj Węgry i Polska, najbardziej otwarte w Europie wschodniej. Pokazuje to słabości polityki „różnicowania” w okresie przyspieszonych zmian, z którymi mamy dzisiaj, i w większym zapewne jeszcze stopniu będziemy mieli jutro, do czynienia.

Można jednak powiedzieć, że z tą polityką zawsze były kłopoty. Polska jest pozornie pozytywnym przykładem efektywności polityki Zachodu. Pewien liberalizm władz w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, który przyczynił się do powstania opozycji demokratycznej, wynikał niewątpliwie między innymi z troski Gierka o reputację i o coraz bardziej dramatycznie potrzebne zachodnie pożyczki. Można również powiedzieć, że ta pomoc Zachodu, nie obwarowana żadnymi warunkami ekonomicznymi, przyczyniła się wcale do dramatycznego rozkładu polskiej gospodarki. Ale w kategoriach politycznych odegrała ona niewątpliwie pozytywną rolę.

Mamy jednak i inny przykład: czysto negatywnej roli polityki dyferencjacji. Rumunia nie tylko, tak jak Polska, dzięki pomocy Zachodu mogła obejść się bez reform gospodarczych, nie tylko jak Polska prowadziła obłąkaną politykę gospodarczą, ale na dodatek nie było tam nigdy mowy o jakimkolwiek liberalizmie. Jest to zapewne najbardziej policyjne państwo sowieckiego obozu.

Te dwa przykłady mogłyby sugerować wniosek o co najwyżej bardzo ograniczonej skuteczności polityki Stanów Zjednoczonych wobec Europy wschodniej. Z drugiej strony polityka Niemiec Zachodnich od końca lat sześćdziesiątych oparta jest na dokładnie przeciwnych przesłankach: nie różnicowania. Albowiem różnicowanie musi prowadzić do antagonizowania Rosji, a z perspektywy

Bonn każda droga do Europy środkowo-wschodniej prowadzi nieuchronnie przez Moskwę. Trzecia polityka – francuska – to polityka czystej retoryki: dużo mówić i nic nie robić. Można powiedzieć, że każda z tych polityk odniosła pewne sukcesy, ale często bardzo dwuznaczne i ograniczone.

Każda koncepcja polityczna jest w pewnym sensie uproszczeniem sytuacji. Jest ona bowiem formułą, która ma być punktem wyjścia do działania biurokracji mającej tę politykę wprowadzać w życie. Dlatego musi być bardzo prosta. Formuła, która była stosowana wobec Polski i Węgier z jednej strony, i wobec Rumunii z drugiej, była uproszczona, ale – moim zdaniem – w okresie lat siedemdziesiątych nie była nieuzasadniona. Chodziło o to, żeby rozszerzyć margines wolności wewnętrznej w Polsce i na Węgrzech i to w jakimś sensie się udało. Z drugiej strony chodziło o to, aby umocnić margines samodzielności Rumunii w stosunku do Paktu Warszawskiego i to również, w pewnym sensie, zostało osiągnięte, a nawet – co nie jest dotąd szerzej dyskutowane – miało bardzo konkretne i pozytywne konsekwencje w poznawaniu sytuacji w Pakcie Warszawskim.

Z czasem wszystkie formuły muszą ulec zmianie. To jednak nie znaczy, że gdyby na przykład Niemcy prowadziły politykę amerykańską, Ameryka – francuską, a Francuzi – niemiecką albo amerykańską, to sytuacja byłaby lepsza. To co robiliśmy, było po prostu tym, co mogliśmy robić. To co robią Niemcy, jest w pewnym sensie ich jedyną możliwą polityką, ponieważ ich głównym obiektem zainteresowania są Niemcy Wschodnie. To, co robią Francuzi – głośne pokrzykiwanie bez istotnych działań, aczkolwiek w stosunku do Polski byli bardzo pomocni, przynajmniej w aspekcie „Solidarności” – to również mieściło się w zakresie możliwości Francji. Wydaje mi się, że ważniejszym jest pytanie, czy polityka Zachodu w stosunku do Europy wschodniej, powiedzmy w ciągu ostatnich piętnastu czy osiemnastu lat, przyspieszyła czy też opóźniła proces dezintegracji kontroli sowieckiej nad tym regionem. Mnie się wydaje, że mimo wszystkich niedociągnięć, ta polityka odegrała rolę pozytywną. Nie znaczy to, że te same zasady powinny być nadal punktem wyjścia dla polityki amerykańskiej. Osobiscie uważam, że jeśli chodzi o Europę wschodnią, to powin-

niśmy teraz zająć twardsze stanowisko w dziedzinie pomocy gospodarczej i bezpośrednio uzależnić ją od poważnych reform instytucjonalnych w dziedzinie politycznej. Pomoc gospodarcza nie da żadnego rezultatu bez głębokich zmian politycznych. Nie powiedziałbym tego dziesięć lat temu. Dotychczasowa polityka angażowania się w Polskę stworzyła obiektywne warunki wyłonienia się tego, co nazywa się „Solidarnością”. „Solidarność” przegrała rozgrywkę taktyczną w grudniu 1981 roku, ale wygrała rozgrywkę strategiczną o świadomość narodową. To dało punkt wyjścia do dalszego działania ku celom bardziej ambitnym, to znaczy celom zamierzającym w kierunku osiągnięcia zasadniczych przemian politycznych.

Czy nie uważa pan, że RFN jest krajem o najbardziej oczywistych interesach w Europie wschodniej, o najbardziej konsekwentnej polityce, zdeterminowanej szczególnym problemem Niemiec Wschodnich? Czy nie sądzi pan, że przy spadku znaczenia i zainteresowania naszym regionem ze strony Anglii i Francji, przy pewnych wahaniach i niekonsekwencjach polityki amerykańskiej, Niemcy w coraz większym stopniu będą określały politykę Zachodu wobec Europy środkowo-wschodniej?

Nie sądzę, ponieważ wydaje mi się, że pozostałe kraje Europy zachodniej nie pójdą za Niemcami. Raczej będą się obawiać, a nawet sprzeciwiać polityce niemieckiej, jeżeli będzie ona zbyt jaskrawo prowadzona w celach wyłącznie niemieckich. To się już bardzo głęboko odczuwa na przykład we Francji. Obawiam się jednak, szczególnie w przypadku Polski, czegoś innego. Wydaje mi się, że w tym roku Polska miała wyjątkową okazję, w tym sensie, że koniunktura zagraniczna, i w Moskwie i Waszyngtonie, była wyjątkowo przychylna. Gdyby Jaruzelski miał zamiar polityczny na skalę Piłsudskiego, byłby przeprowadził wielki kompromis wewnętrzny, o pewnym zewnętrznym dramatycznym wyrazie: powiedzmy spotykając się z Wałęsą. To mogłoby doprowadzić, szczególnie w okresie gdy Moskwa zajęta jest swoimi własnymi sprawami, do wizyty Reagana w Warszawie zaraz po podróży do Moskwy. Po czym możliwa byłaby, jesienią tego roku, czyli jeszcze przed wyborami amerykańskimi, wizyta Jaruzel-

skiego w Waszyngtonie, nawet w Białym Domu, i otwarcie bram dla większej pomocy gospodarczej dla Polski. Brak iniejiatywy wewnętrznej w Polsce przekreślił te szanse, natomiast wylania się coraz większa możliwość współpracy niemiecko-sowieckiej. To może dla Polski skończyć się w sposób fatalny. Innymi słowy, obawiam się, że brak rozmachu, polityczne kunktatorstwo – zawsze za mało i zbyt późno – zniweczyło tę wielką okazję, która była prawdopodobnie przejściowa, ponieważ wiązała się z osobistą fascynacją Reagana Polską. Bush będzie reprezentował prawdopodobnie tę samą politykę i jeśli on zostanie prezydentem, te możliwości nie znikną. Jeśli natomiast wybory wygra Dukakis, to prawdopodobnie, przynajmniej w pierwszym okresie, nastąpi zanik zainteresowania Polską w Białym Domu.

W wykładzie wygłoszonym przed paru laty na konferencji w Yale (Aneks, nr 36) zadał pan retoryczne pytanie: czy Jaruzelski jest janczarem czy Konradem Wallenrodem? I przypomniał pan, że by zostać Konradem Wallenrodem, trzeba być najpierw janczarem. Mówił pan również – w związku z zamachem 13 grudnia 1981 – o „instytucjonalizacji Targowicy” jako o zjawisku bez precedensu w Polskiej historii. Jak dzisiaj odpowiedziałby pan na ówczesne pytania?

To co miało miejsce w Polsce, w pewnym sensie było rzeczywistością Targowicą. Wydaje mi się jednak, że ta Targowica przemienia się ze względów obiektywnych w coś bardziej polskiego. Jest ona zbyt słaba, żeby trwać jako Targowica bez bezpośredniej ingerencji rosyjskiej, zaś ze względu na wewnętrzny kryzys sowieckiej ingerencja ta obiektywnie się zmniejsza. Przez to właśnie owa Targowica się rozplywa. Nie mam zamiaru sugerować, że – powiedzmy – Rakowski przemienia się z Branickiego w Czartoryskiego. Chodzi mi o znaczenie procesu zanikania bezpośredniego wpływu sowieckiego i sowieckiego poparcia dla tej ekipy, która odegrała obiektywnie rolę Targowicy, ale będąc przy władzy przemienia się w coś bardziej polskiego.

Jeśli idzie o samego Jaruzelskiego, to bezwzględnie był on janczarem. To wiemy. W roku 1956 był ponoć jedynym oficerem na szczeblu generalskim, który protestował przeciwko usunięciu z

polskiego wojska Rokossowskiego – mordercy wielu autentycznie polskich oficerów. Ale czy był to etap, czy manewr zmierzający do wallenrodyzmu? Czy też była to głęboko zakorzeniona postawa janczarska? Czy w dalszym ciągu jest on janczarem, czy przemienił się w Wallenroda? Myślę, że za wcześnie jest dzisiaj odpowiadać na te pytania. Sądzę, że w Belwederze musi on czasami czuć obecność Piłsudskiego. Musi też czasami pragnąć, by nie pozostać w pamięci następnych pokoleń jako człowiek idący śladami wielkiego księcia Konstantego, którego wypędzili stanął podchorążowie. Sądzę, że musi mu przychodzić do głowy, że jego rola w historii Polski zależy będzie od tego, czy zdoła przekonać przyszłe pokolenia, iż grał rolę Wallenroda.

Problemy psychologii jednostki są na pewno istotne. Nie sądzi pan jednak, że ważniejsze są problemy strukturalne? Polska znajduje się w sytuacji, którą można by określić jako wyścig rozkładu: z jednej strony w zastraszającym tempie następuje rozpad podstaw ekonomicznych, cywilizacyjnych, z drugiej strony ma miejsce erozja tradycyjnego systemu komunistycznego. Opozycja, mimo 13 grudnia, istnieje dzisiaj nie tylko w działaniach nielegalnych, ale podejmuje akcje publiczne, istnieje otwarcie. Nie wiadomo, kto wygra ten wyścig: czy system komunistyczny rozpadnie się zanim zniszczy podstawy cywilizacyjne kraju, otwierając w ten sposób drogę do jego odbudowy, czy też przeciwnie.

To jest wielki znak zapytania i na pewno źródło szalonego niepokoju dla tych, którzy w Polsce mieszkają jak i dla tych, którzy z Polską sympatyzują tak jak ja. Myślę też, że trzeba tu dodać do kryzysu polityczno-gospodarczego kryzys ekologiczny oraz kryzys psychologiczny. To wszystko może doprowadzić do załamania się kraju jako społeczności. Przedstawia to wielkie niebezpieczeństwo, którego uniknięcie wymaga wielkiego zrywu narodowego. Ten zryw może spowodować jedynie jakiś wielki akt o wymiarach dramatu, bo tylko taki może pobudzić naród. Nasuwa się oczywiście pytanie, czy człowiek pokroju Jaruzelskiego może się na to zdobyć. To nie jest tylko kwestia wallenrodyzmu czy janczarstwa, jest to sprawa formatu człowieka.

Można tu znowu powiedzieć, że jest wyjątkowa koniunktura. Związek Radziecki, osłabiony wewnętrznie, ma znacznie mniejsze możliwości interwencji niż w przeszłości. Nadto Gorbaczow wielokrotnie deklarował równość praw w „obozie”, większą tolerancję dla odmienności. Nawet jeżeli nie wierzy się, iż Związek Radziecki gotów byłby tolerować dzisiaj radykalne zmiany instytucjonalne podważające system typu sowieckiego, stwarza to klimat dla znacznie większej niż dotychczas autonomii wewnętrznej Polski.

Tak, aczkolwiek niebezpieczeństwem jest to, że w rezultacie kryzysu wewnątrzsowieckiego, który się bezwzględnie i w dramatyczny sposób pogłębia, Sowiety ponownie mogą pójść – nie mając innego wyboru – na jakieś większe porozumienie z Niemcami. Odpowiedź na pytanie, czym to może być kosztem, jest jasna.

Chciałbym na zakończenie powrócić do pana dylematów jako polityka amerykańskiego związanego emocjonalnie z Polską. Czy nie czuł pan w swojej karierze publicznej dwojakiego typu nacisków: z jednej strony – urodzeni Amerykanie byli skłonni podejrzewać, iż chce pan posłużyć się polityką amerykańską dla realizowania polskiego interesu narodowego; oskarżano pana o kierowanie się polskimi fobiami (na przykład znany dziennikarz Joseph Kraft zarzucał panu polską, antyrosyjską fobię), z drugiej strony – mogą sobie wyobrazić psychiczną presję, jaką wywierała na pana Polonia, polska emigracja nieufna wobec tego co postrzegano jako „zdradę” Polski, polskiej polityki, polskich celów.

Czy wpłacając często pieniądze na fundusz Kultury nie tylko oddaje pan hołd zasłużonej i godnej podziwu instytucji, ale również, w kategoriach symbolicznych, splaca pan dług polskości, uczesniczy w niej, mimo statusu amerykańskiego polityka?

Nigdy się nad tym specjalnie nie zastanawiałem. Ma pan rację, jeśli idzie o stosunek Amerykanów do mnie, chociaż ostatnio ta podejrzliwość zanikła – może się przyzwyczaili do mojego nazwiska i do mojej roli na arenie publicznej. Na początku, kiedy przepagowałem giętką linię wobec krajów komunistycznych, krytyko-

wany byłem z racji mojego polskiego pochodzenia. Potem, gdy w Białym Domu byłem raczej adwokatem linii twardej w polityce zewnętrznej, to jak pan słusznie cytuje Krafca, potępiany byłem – dokładnie na podstawie tej samej argumentacji – jako rusofob. Jeśli idzie o stronę polską, to również ma pan rację. Na emigracji stykałem się z głosami, że się zbyt odciąłem od spraw polskich. Oczywiście, prasa reżimowa potępiała mnie jako wroga Polski Ludowej. A ja się do tego w pewnym stopniu przyzwyczaiłem. To co robię, robię na podstawie dawno już przyjętej zasady, że jako Amerykanin, jestem politycznie stuprocentowo zaangażowany w rzeczywistość amerykańską i jestem faktycznie aprobowany jako autentyczny głos Ameryki w dziedzinie międzynarodowej. To zresztą odczuwam na każdym szczeblu, włącznie z obecnym Prezydentem i jego wiceprezydentem, którzy są przecież z przeciwnej mi partii. Fakt ten nie wyklucza jednak głębokiego powiązania kulturowo-historycznego z krajem pochodzenia, szczególnie że Polska jest ofiarą ekspansji rosyjsko-sowieckiej. Bo przecież Sowiety są właśnie głównym wrogiem Ameryki. Fakt ten osłabia potencjalną dwoistość i rozwiązuje ewentualne konflikty. Sytuacja byłaby zupełnie odmienna, gdyby Polska była autentycznie i głęboko powiązana z celami rosyjskimi i działała całkowicie przeciwko Ameryce. Tak na szczęście nie jest i to bardzo ułatwia łączenie przywiązania do polskiej tradycji z działalnością polityczną jako Amerykanina. Co do *Kultury* – jest to prosty objaw szacunku dla działalności wyjątkowego zespołu i mój zewnętrzny wkład do walki, jaka rozpoczęła się w 1939 roku i która zasadniczo zmieniła kurs mojego życia: przyczyniła się do tego, że zostałem Amerykaninem. Nie zostałem kimś, kto przeżył II wojnę światową w Polsce i starałby się brać udział w życiu politycznym kraju. Jest to więc mój wkład do dalszej walki o tworzenie autentycznej i niezależnej Polski, której organiczną częścią nie będę już nigdy, ponieważ jestem Amerykaninem. Nie będę mógł więc brać udziału w życiu politycznym Polski, pomimo że czuję się z nią głęboko związany. Zdaję sobie doskonale sprawę, że gdybym był w Polsce w czasie II wojny światowej, to byłbym pewnie w Szarych Szeregach; gdybym przeżył, to byłbym zapewne w AK i prawdopodobnie w nagrodę za to siedziałbym po wojnie w więzieniu UB. To jest rozdział mego życia, który nigdy nie został napisany, ale

też nie mogę tej możliwości w sobie po prostu przekreślić. Na szczęście, jako Amerykanin – i to jest właśnie wielka atrakcyjność Ameryki – nie widzę konieczności przekreślania tego wszystkiego. Tu jest wszystko możliwe, o ile świadomie działam przede wszystkim na rzecz interesu narodowego Ameryki i o ile moim punktem wyjścia w myśleniu o całokształcie polityki światowej jest interes narodowy Ameryki.

Waszyngton, 16 czerwca 1988 r.
Wywiad autoryzowany.

NAKŁADEM

ANEKSU

Markiz de Custine

LISTY Z ROSJI

„Czytelnik przeciera oczy: oto jakiś markiz, syn Delfiny de Sabran, wyprzedził o wiek krytyków bolszewizmu... To właśnie jest tak niepojęte: w jaki sposób koszmarna wizja z roku 1839 stała się rzeczywistością w roku 1939?”
(ze wstępu).

Str. 210 + XIV

Cena: £ 5,00 – \$ 11,00

Plotr Wierzbicki

STRUKTURA KŁAMSTWA

Nagroda Kulturalna „Solidarności” za rok 1986

Nagroda Niezależnych Dziennikarzy – książka roku 1986

„Dość oceniania, wartościowania, moralizowania. Dość kazań, zrzędzeń i płaczów... Przyszł czas na chłodny opis, na uchwycenie tego systemu kłamstwa w całości”.

Str. 172

Cena: £ 4,00 – \$ 10,00

religia i polityka

Antoni Pospieszalski

ARGUMENTACJA MORALNA W POLITYCE

I

Rzecz dla polityków bardzo pociągająca. Argument moralny, niezależnie od tego czy ma oparcie w systemie moralności religijnej czy świeckiej, ma posmak wartości absolutnej – przynajmniej w oczach tego, kto się nim posługuje, z domniemaniem, że również w oczach jego słuchaczy – stanowi zatem broń polityczną, która w założeniu wprost pozbawia przeciwników prawa do odmiennej opinii. Przeciwnicy są nie tylko w błędzie, są po prostu złymi ludźmi. Ale dla tego właśnie powodu posługiwanie się argumentacją moralną jest zawsze politycznie podejrzane. Widocznie protagoniście brak innych, subtelniejszych racji, skoro ucieka się do tak ciężkiej artylerii. A jeśli tak, to jego argumentacja moralna jest hipokryzją i w formie tego zarzutu wraca, uderzając rykoszetem w jej autora. Tak przynajmniej jest w warunkach wolności słowa, gdzie możliwa jest polityczna debata. Dlatego w demokracjach argumentów natury moralnej używa się ostrożnie. Nośność takich argumentów jest zbyt duża, by można było ich zupełnie unikać, ale są one serwowane zwykle w zawoalowanej formie i pod osłoną argumentów bardziej pragmatycznych.

Ogólnie mówiąc, skłonność do argumentacji moralnej cechuje raczej partie reformatorskie niż konserwatywne, a więc lewicę

raczej niż prawicę. Partie reformatorskie usiłują wykorzenić to, co w istniejącym porządku społeczno-politycznym jest ich zdaniem złe, przede wszystkim moralnie złe, natomiast partie zachowawcze, broniąc tego co jest, wychodzą z założenia, że skoro istniejący porządek dotychczas jakoś funkcjonował, lepiej lub gorzej, to w sumie nie może on być taki zły i zmiany mogą przynieść więcej szkód niż korzyści. Argument natury pragmatycznej. Argumentacja moralna gra tu rolę wtórną i wyraża się w nadawaniu moralnego waloru cechom ustrojowym uświęconym tradycją, takim jak stabilność, pokój wewnętrzny czy praworządność.

W tym schemacie na pierwszy rzut oka nie bardzo mieszczą się takie zjawiska jak faszyzm czy narodowy socjalizm, ruchy radykalnie rewolucyjne, a równocześnie gloryfikujące pewne tradycyjne wartości (patriotyzm, dyscyplinę społeczną, cnoty żołnierskie) podniesione do roli *sui generis* absolutów, w której przemieniają się w karykatury tych wartości (nacjonalizm, serwilizm, militarizm). Natomiast bardzo dobrze mieści się w nim komunizm, który skądinąd jest tylko jeszcze jedną odmianą dwudziestowiecznego totalitaryzmu. Różnica między komunizmem z jednej strony a faszyzmem i hitleryzmem z drugiej polega między innymi na tym, że komunizm nie wyrzekł się argumentacji natury moralnej. Faszyzm i zwłaszcza hitleryzm, zastępując ogólnoludzką moralność ideologią „Herrenvolku”, są otwarcie cyniczne. Komunizm, przeciwnie, głosi wartości aspirujące do powszechności i, jakkolwiek są one osadzone w rzekomych prawidłowościach materializmu historycznego, wyrażają się w terminach bliskich poczuciu moralnemu ludzi wychowanych w tradycjach kultury europejskiej, nawet chrześcijańskiej, bo z niej ostatecznie zaczerpniętych. Są to takie wartości jak sprawiedliwość społeczna, równość, wolność od wyzysku, przezwyciężenie alienacji (wyzwolenie od grzechu), pełny rozwój osoby ludzkiej (zbawienie), dobro społeczne, pokój międzynarodowy i ogólna szczęśliwość (królestwo niebieskie). To że w praktyce realizacja dała nie tyle karykatury tych wartości, co wprost ich przeciwieństwa, nie zmienia faktu, że w ideologii i propagandzie zachowały one swój pierwotny, zgoła dziewiczy kształt. Komunizm nie był nigdy otwarcie cyniczny. Natomiast rozziw między moralizującą ideologią a praktyką wyposażył komunizm w jego najbar-

dziej bodaj specyficzną cechę, którą jest systematyczna kłamliwość i nowomowa, od której inne formy totalitaryzmu, otwarcie cyniczne, są stosunkowo wolne. Jeśli tamte widzą w swych przeciwnikach po prostu konkurentów do władzy, których dla tego tylko powodu należy zniszczyć, a w swych ofiarach takiego czy innego rodzaju pod-ludzi, to komunizm piętnuje zarówno swych przeciwników jak i ofiary jako „wrogów ludu”, wrogów komunistycznego dobra, a więc jako ludzi moralnie złych. Z tej racji ani oni sami, ani ich poglądy nie mają prawa do istnienia.

Ale stosunek totalitaryzmów do argumentacji moralnej jest zjawiskiem marginesowym, marginesowym w sensie logicznym, na pewno nie gdy chodzi o jego praktyczne konsekwencje. Każdy system totalitarny jest wynaturzeniem i niesie z sobą również wynaturzenie polityki. Obserwacje z tego wynaturzonego terenu stanowią nietypowy materiał do rozważań na temat roli argumentacji moralnej w polityce w ogóle, zwłaszcza dla sprawy zasadności i efektywności takiej argumentacji w normalnym życiu politycznym. Mnie zaś ten problem właśnie interesuje. W jakim sensie wolno i warto posługiwać się argumentacją moralną w normalnej debacie politycznej w warunkach demokracji i wolności słowa?

Interesujący materiał stanowi moralistyka prezydenta Reagana. Wydaje się ona jakościowo różna od okazyjnej retoryki jego poprzedników, głoszących ideały moralne amerykańskiej demokracji i prawa człowieka, nawet najbliższych mu pod tym względem Kennedy'ego i Cartera, nie mówiąc już o zgoła surowo pragmatycznym Nixonie. Reagan ma (czy miał) szczególnie mocne i wyraźne słowa moralnego potępienia dla przeciwników, zwłaszcza Związku Radzieckiego, który określił kiedyś jako „imperium zła”. I jego retoryka ma bardziej wyraźny podkład religijny, choć jego wiara w oparte na Biblii prorocтва amerykańskich fundamentalistów i przywiązanie do astrologii są tylko przedmiotem plotki i nie znajdują wyrazu w jego przemówieniach. Niemniej to moralno-religijne zaangażowanie zjednuje Reaganowi tyluż krytyków co gorących zwolenników. Ostatecznie każdy kaznodzieja ma ten kłopot, że sam nie zawsze i nie wszędzie dorasta do glorii głoszonych przez siebie ideałów, i każdy polityk-moralista musi się liczyć z zarzutem, że szermuje ideałami dla realizacji bardziej przyziemnych politycznych celów.

W Wielkiej Brytanii premier pani Thatcher podjęła niedawno religijno-moralną apologię swojej polityki w przemówieniu do Zgromadzenia Ogólnego Kościoła Szkocji w Edynburgu (21 maja 1988). Krytycy natychmiast określili to wystąpienie dowcipnie mianem „Listu do Kaledonian”, na wzór listów św. Pawła np. do Koryntian. Asumpt do tego wystąpienia dała pani premier ostrą krytykę jej polityki fiskalnej i gospodarczej ze strony nie tylko parlamentarnej opozycji, ale nade wszystko ze strony przywódców religijnych kraju, wybitnych biskupów anglikańskich i katolickich, także rzeczników Kościoła Szkocji i tak zwanych wolnych kościołów. Zrzucili oni jej faworyzowanie ludzi i tak już bogatych, a upośledzenie najuboższych, głównie przez obniżenie wysokiej do tej pory stopy podatkowej dla najwięcej zarabiających i ograniczenie świadczeń opieki społecznej oraz wydatków na państwową służbę zdrowia i szkolnictwo. Oskarżono ją o podsyćanie żądzы zysku i brak współczucia dla najbiedniejszych i całą jej politykę gospodarczą określono jako sprzeczną z nakazami Ewangelii, niechrześcijańską i wprost grzeszną. Nawet krytycy jednak byli zmuszeni przyznać, że pani Thatcher potrafi się bronić, właśnie w kategoriach moralności chrześcijańskiej, sygnując w religijnym zgromadzeniu cytataми z Pisma Świętego z równą swadą jak w parlamencie danymi rządowych statystyk. Pani Thatcher nie negowała, że jest obowiązkiem państwa zapewnienie wszystkim socjalnego minimum, z tym jednak, że sieć opiekuńcza państwa nie powinna być tak rozbudowana, by zwalniała ludzi od poczucia osobistej odpowiedzialności za swój los i los rodziny, od zapobiegliwości i od pracy. „Chrześcijaństwo jest doktryną duchowego zbawienia, nie programem reform społecznych”, powiedziała pani premier, przyznając jednak że nie można tych dwóch rzeczy radykalnie rozdzielać. Naczelnym celem wszelkiej gospodarki jest „wytwarzanie bogactwa” i nie ma w tym nic niemoralnego. Najpierw trzeba bogactwo wytworzyć, potem dopiero można je rozdzielać. Nie jest grzechem dążenie do zarabiania jak najwięcej pieniędzy, jest natomiast grzechem nadmierne przywiązanie do pieniądza. Posiadanie pieniędzy pociąga za sobą obowiązek dopomagania innym. „Zarabiaj ile możesz, oszczędzaj ile możesz i rozdawaj ile możesz”. Jest to znowu sprawa osobistej odpowiedzialności. „Nie wolno nam przerzucać prak-

tyki miłosierdzia i hojności na innych. Rzeczą władz świeckich jest prowadzenie polityki, która wyzwala to, co jest dobre w ludziach, a zwalcza to, co jest złe. Same jednak nie są w stanie tworzyć dobra i likwidować zła”.

Debatą prasową, jaką wywołało edynburskie kazanie premiera Wielkiej Brytanii, jest doskonałą ilustracją tego, co argumentacja moralna w polityce może dać i czego dać nie może. Może dać – w tym przypadku dala – wgląd w najgłębsze motywy politycznego działania zaangażowanych stron, w tym przypadku zarówno pani Thatcher jak i jej krytyków. W tym sensie może być źródłem inspiracji. Bo polityka, będąc ścieraniem się grup interesów, jest również ścieraniem się idei; będąc walką o władzę i wpływy, jest również – a przynajmniej bywa – walką o społeczne dobro. Jak nie ma sensu idealizowanie polityków, tak tym bardziej nie ma sensu pryncypialny wstręt do polityki i głupawe porzekadło, że wszelka polityka jest „brudna”. Polityka jest niezbywalnym elementem życia społecznego, częścią *condition humaine* na tym padole płaczu, jest dziedziną życia jak wszystkie inne, w których pomieszane jest z sobą dobro i zło, mądrość i głupota, prawda i fałsz. A więc i argumentacja moralna w polityce ma swój sens. Natomiast argumentacja moralna nie daje rozstrzygnięcia politycznego problemu, nie zapewnia zwycięstwa jednej stronie i klęski drugiej, wcale niekoniecznie otacza jednych aureolą moralnej przyzwoitości, a drugich okrywa zasłużonym wstydem. Wbrew życzeniom politycznych moralizatorów.

Impotencja moralnej krytyki określonej polityki w warunkach demokracji zdaje się być całkowita. Jeśli przyczynia się do zmodyfikowania czy zamiechania jakiejś polityki, to raczej tylko pośrednio jako teoretyczna podbudowa argumentów w istocie swej czysto pragmatycznych. Wypadki zmuszenia politycznego przywódcy do ustąpienia pod presją zarzutów natury moralnej, takie jak Watergate, są niezmiernie rzadkie i zarzuty dotyczą wtedy nie tyle takiej czy innej linii politycznej zdyskredytowanego przywódcy, co raczej konkretnych posunąć, które *vox populi* uznał za nieetyczne. W szerszym kontekście, na arenie międzynarodowej, potępienie moralne jest raczej następstwem politycznego niepowodzenia niż jego przyczyną. Hitler aż do wybuchu wojny zachował status respektowanego męża stanu, a Stalin w dużej mierze

zachowuje go po dziś dzień, przynajmniej w własnym kraju. Po dziś dzień przywódcy argentyńskiej junty mają swoich obrońców, nawet wśród przedstawicieli argentyńskiego Kościoła, a przyczyną jej upadku była nie tyle reakcja społeczeństwa przeciw terrorystycznym rządom co przegrana wojna Falklandzka. Apele papieża pod adresem IRA o zaprzestanie terroru do tej pory nie przeszkadzają wielu północno-irlandzkim katolikom w udzielaniu terrorystom cichego poparcia i jego wołanie w Paragwaju o powrót do rzetelnej demokracji zapewne długo jeszcze będzie kazało czekać na wyniki. Wieloletnia walka z polityką apartheidu w RPA ma za sobą poparcie bardzo niewielkiej części białego, politycznie pełnoprawnego społeczeństwa; walkę prowadzą czarni, których motywacja moralna jest nierozłącznie związana z poczuciem własnej krzywdy.

Wymieniłem tu kilka największych zbrodni politycznych naszego wieku. Jeśli reakcja moralna przeciw tym zbrodniom ze strony bezpośrednio zainteresowanych społeczeństw była i jest tak słaba, a ze strony społeczności międzynarodowej tak podzielona, dwuznaczna i spóźniona, to trudno liczyć na efektywność moralnej krytyki linii politycznej takiej jak rządu pani Thatcher, której nawet najsurowsi krytycy nie określają jako zbrodniczej, a tylko jako nie dość nacechowaną współczuciem i dlatego niechrześcijańską czy grzeszną. W tych bardziej subtelnych kontrowersjach moralno-politycznych jest zaskakujące, że obie strony, wychodząc z tych samych czy zbliżonych założeń etycznych, w tym przypadku etyki chrześcijańskiej, dochodzą do skrajnie różnych ocen polityki będącej przedmiotem sporu. Debatu nad edynburskim kazaniem pani Thatcher i padające z obu stron cytaty biblijnych tekstów, często te same, lecz różnie interpretowane, robią czasem wrażenie tradycyjnej religijnej dysputy, w której, jak wiadomo, rzadko się udaje jednej stronie drugą stronę przekonać. To rzuca niepokojące światło na rolę normatywną religii w nowoczesnym społeczeństwie. Czyżby rację mieli ci, którzy twierdzą, że religia nie jest już nawet opium dla ludu, lecz jakimś kulturalnym luksusem, bez wpływu na realne życie, w każdym razie na życie polityczne?

II

Zdaję sobie sprawę, że to co teraz zamierzam napisać, też będzie w znacznej mierze głosem w religijnej dysypucie, także w tym sensie, że nie jestem w stanie przedstawić rozstrzygających argumentów, które zmusiłyby inaczej myślących do uznania, że właśnie moje stanowisko jest słuszne. Tak samo, sądzę, moi ewentualni krytycy nie będą w stanie przedstawić definitywnych argumentów, że to oni mają słuszność. Bo chodzi tu o przekonania dotyczące wartości, a nie faktów, i to o przekonania fundamentalne, określające cały stosunek człowieka do świata. Takie przekonania nie gardzą faktami, ale podporządkowują je wartościom, którym służą. Ogromna różnorodność podniebnego świata dostarcza faktów, które określonym przekonaniom i wartościom służą lepiej lub gorzej lub bardzo źle; są wśród nich także fakty potencjalnie destruktywne dla wyznawanych wartości. Wszelkie przekonania dotyczące wartości opierają się zatem z konieczności na selektywnym doborze faktów i kryterium doboru stanowi stopień, w którym wyznawanym wartościom służą; fakty potencjalnie destruktywne są albo ignorowane, albo niejako na siłę podporządkowane wartościom. Ze względu na ich stosunek do faktów wszelkie przekonania o wartościach, takich czy innych, stanowią nie wiedzę lecz wiarę. W tym sensie nawet radykalny cynik wierzy; wierzy mianowicie, że nie ma żadnych prawdziwych czy trwałych wartości.

W tym sensie również nie tylko religia (wraz z etyką), ale także polityka należą do sfery wiary. Obie służą pewnym wartościom, które determinują pewne przekonania, które z kolei determinują określony stosunek do faktów. W pierwszej części niniejszego artykułu zebrałem pewne obserwacje (fakty) dotyczące wzajemnego stosunku między religią a polityką, ściślej między etyką religijną a polityką. Mowa była przede wszystkim o efektywności argumentacji moralnej w polityce. Ogólny wniosek wypływający z tego jest taki, że ta efektywność jest na ogół słaba, w każdym razie trudna do uchwycenia i często wieloznaczna. Obserwacje te jednak niewiele nam powiedziały na temat zasadności argumentacji moralnej, a zatem o rzeczywistym wpływie przekonań religijno-moralnych na politykę. Ten wydaje się być bez porównania

większy, niżby to wynikało z częstotliwości *explicite* religijno-moralnych argumentów i ich bezpośredniej efektywności w politycznej debacie. Wynika to choćby z tego, że obie strefy myśli i działania obracają się w sferze wartości, w religii bardziej duchowych, w polityce bardziej przyziemnych, lub zgoła materialnych, ale w obu przypadkach ludzkich – i zdaje się nie ulegać wątpliwości, że muszą one wpływać na siebie wzajemnie.

Normalne życie polityczne funkcjonuje tam, gdzie istnieje sfera wartości, choćby bardzo ogólnych, które są wszystkim wspólne. Tam gdzie takiej wspólnej sfery nie ma, życie polityczne załamuje się i jej miejsce zajmuje wojna (według Clausewitza przedłużenie polityki), w najlepszym przypadku zimna wojna, a w stosunkach wewnętrznych rewolucja, w najlepszym przypadku zimna rewolucja. Kodyfikacja wspólnych wartości w stosunkach wewnętrznych zwykle przybiera formę konstytucji (pisanej lub niepisanej), w stosunkach międzynarodowych jest nią cała struktura prawa międzynarodowego z takimi dokumentami jak Karta Praw Człowieka ONZ na czele, ale wartości same żyją w umysłach i poczuciu moralnym ludzi. Jest to sfera, którą można nazwać w najogólniejszym tego słowa znaczeniu religijną albo, by objąć nazwą również umysłowość laicką, światopoglądową. Jednak świadomość moralną społeczeństw kształtuje przede wszystkim religia, a zatem w mierze w jakiej ta świadomość dotyczy zasad społecznego współżycia, religia kształtuje również świadomość polityczną. Na obszarze kultury zachodniej (choć nie tylko) jest nią tradycja judeochrześcijańska. Osobiście jestem zdania, że historycznie ukształtowała ona również w dużej mierze świadomość moralną i polityczną ludzi znajdujących się dzisiaj poza zasięgiem jej bezpośredniego oddziaływania, ale w kontekście obecnych rozważań nie jest to szczególnie ważne.

Religijnie inspirowana świadomość moralno-polityczna też w ciągu wieków ulegała zmianom – i to zarówno pod wpływem czynników i okoliczności działających z zewnątrz jak i siłą własnej wewnętrznej dynamiki tradycji judeochrześcijańskiej. Ogólnie mówiąc, przemiany te polegały na stopniowym przesuwaniu punktu ciężkości wartości moralno-politycznych ze zbiorowości w kierunku indywidualnej jednostki ludzkiej, a tym samym od ogólnie narzuconej dyscypliny społecznej w kierunku osobistej

wolności i odpowiedzialności. W starożytnym Izraelu ten punkt ciężkości spoczywał jednoznacznie na ludzie izraelskim wybranym przez Boga i twardo kierowanym przez samego Boga poprzez Mojżesza, kapłanów, królów i proroków. Morałna wartość jednostki była w dużej mierze funkcją jej wartości dla zbiorowości narodu izraelskiego. Była to teokracja. Teokracja jest bardzo naturalną pokusą świadomości religijnej: bo któż ma większe prawo do rządzenia niż Bóg i naznaczeni przez Boga przywódcy? Pokusa teokratyczna była również bardzo mocna w historycznym chrześcijaństwie, wzmocniona tradycją imperium rzymskiego, z którą bardzo wczesnie się sprzęgło w basenie śródziemnomorskim. Jej reliktem jest dzisiejsze papieństwo, ale przez wiele wieków świeckie monarchie europejskie też korzystały z legitymizacji sakralnej nadawanej im przez Kościół i koronacja, namaszczenie królewskie, było uważane bez mała za sakrament.

Dzisiaj chrześcijańska świadomość moralno-polityczna jest już bardzo odległa od świadomości teokratycznej (natomiast jest ona nadal bardzo silna w islamie). Początki tej ewolucji są już widoczne w Starym Testamencie, a osiąga ona swoje apogeum w osobie i nauczaniu Jezusa. Z tego punktu widzenia, w kontekście świadomości moralno-politycznej, śmierć Jezusa na krzyżu jest następstwem i znakiem protestu przeciw teokratycznej koncepcji królestwa Bożego na ziemi. „Królestwo moje nie jest z tego świata”. Ale nie oznacza to postawy obojętności wobec tego świata i biernego oczekiwania Drugiego Przyjścia. Przeczy temu dogmat Wcielenia, Pierwszego Przyjścia, że w osobie Jezusa Bóg przyszedł na ziemię nie jako autokratyczny władca, lecz jako człowiek podległy tym samym ograniczeniom ludzkiej egzystencji co każdy inny człowiek. Odtąd człowiek nie jest tylko poddanym Boga, lecz jest Jego partnerem. Człowiek jest wolny. Najwyższą wartością ziemską jest indywidualny człowiek, a nie zbiorowość, a dobro społeczne tworzy się nie wysiłkiem zbiorowości, lecz wysiłkiem poszczególnych ludzi, jej członków.

Wcielenie stanowi zatem radykalną nobilitację człowieka i rzeczywistości ziemskiej, ale rzeczywistości ziemskiej nie znosi. Pozostaje ona taka sama jak przedtem z wszystkimi jej problemami, z ludzką niedoskonałością i cierpieniem. Zostaje jednak wyposażona, wraz z jej niedoskonałością i cierpieniem, w ponad-

ziemski sens. Królestwo Boże nie jest z tego świata, ale realizuje się w tym świecie. Bo Królestwo Boże jest „bliskie”. Pozostają także elementy rzeczywistości ziemskiej, które nazywamy politycznymi, problemy ludzkiej *polis*: organizacji zbiorowości, współżycia ludzi i grup ludzi pomiędzy sobą, konflikty międzyludzkie i międzygrupowe, potrzeba władzy i instytucje władzy. Wyznawcy Chrystusa, Pawłowi „święci”, też nie zdołali się bez tego wszystkiego obyć. Wśród samych chrześcijan powstały instytucje władzy: prezbiterzy, biskupi, papieże, sobory – instytucje władzy duchowej, to prawda, nakierowane z racji swego powołania na rzeczywistość pozaziemską, a jednak operujące na ziemi, poddane ograniczeniom ziemskiej rzeczywistości, a więc instytucje z natury swej polityczne. Myślę, że z tego trzeba sobie wyraźnie zdać sprawę; zwyczajowa alergja ludzi Kościoła wobec słowa „polityka”, udawanie że społeczności wiernych i sam Kościół są jakoś wyłączone z realiów życia politycznego, jest fałszowaniem rzeczywistości. Historia Kościoła jest historią także polityczną, istnieją kościelne polityki wewnętrzne i polityki międzykościelne i międzywyznaniowe i polityki „zewnątrzne” kościołów. Nie jest też Kościół, czy nie są kościoły izolowane od polityk świeckiego świata. Nie zmienią tego faktu swoiste egzorcyzmy polityków wrogich Kościołowi, którzy chcieliby go zamknąć w zakrystii, twierdząc że religia jest „sprawą prywatną”, ani pobożne zarzekania kościelników, że Kościół nigdy polityką swych rąk nie płami. Kościół ma prawo i obowiązek prowadzenia polityki z tego prostego powodu, że jako instytucja ziemska nie może jej nie prowadzić. Ponadto jednak jako rzecznik i gwarant pozaziemskiego sensu rzeczywistości ziemskiej, co jest jego racją bytu, ma prawo i obowiązek szczer, by wszelka polityka, jego własna i podmiotów świeckich, była moralna. Jego powołaniem jest realizowanie tego dynamicznego Królestwa Bożego, które jest „bliskie”, w ludzkich wartościach i motywacjach, także w polityce i poprzez politykę. I to nas doprowadza na powrót do zagadnienia argumentacji moralnej w polityce.

III

Centralną wskazówką Ewangelii dotyczącą moralności politycznej są słowa Chrystusa: „Oddajcie co jest cesarskiego cesarzo-

wi, a co jest Bożego Bogu". Te słowa były przedmiotem wielu głębokich albo zgoła cynicznych interpretacji, choć ich sens jest całkiem jasny i niedwuznaczny. Są one konsekwencją wynikającego z Wcielenia uznania rzeczywistości ziemskiej, w tym przypadku rzeczywistości politycznej, i nakazem realizowania Królestwa Bożego właśnie w ramach tej rzeczywistości. Nie tylko wolno, ale trzeba nam liczyć się z ziemskimi realiami, z faktem istnienia Cezara, ale nigdy kosztem istotnych ludzkich wartości i wartości samego człowieka, które należne są Bogu. Tych nie wolno składać na ołtarzu żadnej polityki i na tym polega polityczna moralność. Innymi słowy, w sformułowaniu pozytywnym, polityka jest moralna, gdy służy człowiekowi i autentycznym ludzkim wartościom.

Trudności zaczynają się z chwilą, gdy chodzi o przełożenie tej fundamentalnej i dlatego bardzo ogólnej zasady na język konkretnych politycznych akcji. Debata dokoła religijnej apologii polityki pani Thatcher jest tego dobitnym przykładem. Okazało się raz jeszcze – jak to powiedział Clifford Longley na łamach *Times'a* – że Biblia ma zwyczaj dawania po łapach tym, którzy ją cytują (oczywiście selektywnie) na poparcie swych tez. Ani Biblia, ani tradycja chrześcijańska nie mają nic do powiedzenia na temat, dajmy na to, właściwego rozdziału kompetencji między rządem centralnym i organami lokalnego samorządu, czy optymalnej stopy podatkowej lub stopy procentowej, lub też na temat państwa opiekuńczego czy form demokracji parlamentarnej. Ma natomiast, moim zdaniem, wiele do powiedzenia na temat demokracji w ogóle, o tyle przynajmniej o ile demokracja jest najlepszą wymyśloną do tej pory formą rządów, która respektuje godność człowieka, także mniejszości, a większości daje jakiś, choćby tylko pośredni wpływ na politykę władzy. Zarówno brak specyficznych recept politycznych, które miałyby za sobą autorytatywną religijną sankcję, jak i szeroko rozumiana demokracja są następstwem dokonanej w ciągu wieków, pod wpływem Ewangelii Jezusa, ewolucji od koncepcji społeczeństwa teokratycznego w kierunku społeczeństwa ludzi wolnych i odpowiedzialnych ostatecznie tylko przed Bogiem. Nie ma danych przez Boga szczególnych przepisów rządzenia, jest rzeczą ludzi, wszystkich ludzi, wypracowanie takich przepisów, które byłyby zgodne z ich osta-

tecznie pozaziemskim powołaniem. Jest to trudne zadanie, wykonywane w warunkach twardych ziemskich realiów, równaj nieubłaganych jak prawa przyrody, w tym zwłaszcza ludzkiej niedoskonałości, niewiedzy, samolubstwa, nienawiści i w ogóle grzechu. Ale właśnie trudność tego zadania jest miarą ludzkiej godności. Rzeczą Kościoła jest stałe przypominanie ludziom tej ich godności i ich pozaziemskiego powołania.

To przypominanie, przez głoszenie Słowa Bożego i posługę sakramentalną, jest zasadniczą funkcją Kościoła. Istotne w obecnym kontekście jest to, że ta funkcja, służąc w założeniu wszystkim aspektom ludzkiego życia, tym samym służy również temu jego aspektowi, który nazywamy życiem politycznym. W wykonywaniu tej części swego zadania Kościół, ten instytucjonalny (którego istnienie samo jest koncesją, konieczną koncesją na rzecz ziemskiej rzeczywistości) proponuje od czasu do czasu konkretne rozwiązania kluczowych politycznych problemów. Te propozycje składają się na tak zwaną naukę społeczną Kościoła. Są to w pierwszym rzędzie encykliki społeczne papieży od „*Rerum Novarum*” po „*Sollicitudo Rei Socialis*” i wielką konstytucję II Soboru Watykańskiego o Kościele współczesnym „*Gaudium et Spes*”. Są to listy pasterskie krajowych episkopatów katolickich i odpowiednie dokumenty kościołów innych wyznań oraz międzywyznaniowej Światowej Rady Kościołów. W kontekście brytyjskiej debaty, która mi służy w tym artykule jako pouczający przykład, należą tu niedawne dwa raporty Kościoła Anglii: „*Faith in the City*” i „*The Church and the Bomb*”, które stały się przedmiotem rozległej kontrowersji. Zauważmy, że wszystkie te mniej lub bardziej współczesne dokumenty, nie wyluczając encyklik papieskich, odbiegają bardzo zarówno charakterem jak i treścią od dawniejszych autorytatywnych wypowiedzi Kościoła, takich jak bulla „*Unam Sanctam*” Bonifacego VIII z r. 1303 o wyższości władzy duchownej nad świecką czy stosunkowo niedawny „*Syllabus Errorum*” Piusa IX z r. 1864 piętnujący takie zjawiska jak liberalizm czy demokracja jako zgubne błędy. Zupełnym ich przeciwieństwem jest wspomniana konstytucja soborowa „*Gaudium et Spes*” z jej aprobującym stosunkiem do wielu wartości społecznych współczesnego świata. (Nawiasem mówiąc, wydaje mi się, że ojcowie soborowi nie docenili, w jakim stopniu te świeckie war-

iości są wynikiem 2000-letniej pracy wychowawczej Kościoła). Ogólnie mówiąc, dawne proklamacje kościelne treści społeczno-politycznej odznaczały się nadzwyczajną pewnością siebie, jak gdyby były nieomylnymi interpretacjami danych Objawienia. Nosiły jeszcze na sobie piętno tradycji teokratycznej. Natomiast żadna z nowych encyklik społecznych nie pretenduje do nieomylności. Jakkolwiek są to autorytatywne dokumenty oparte na Ewangelii, stanowią one raczej wkład instytucjonalnego Kościoła we wspólne poszukiwanie najlepszych, chrześcijańskich rozwiązań współczesnych politycznych i społecznych problemów. Dwa niedawne listy pasterskie biskupów amerykańskich, o broni jądrowej i sprawiedliwości społecznej, podobnie jak wspomniane raporty anglikańskie na te tematy, też wywołały kontrowersje w łonie samej społeczności katolickiej, co oczywiście bynajmniej nie odbiera im charakteru cennego wkładu do świeckiej międzynarodowej dyskusji na te tematy. Dyskusja, nawet kontrowersja, jest najlepszym sposobem budzenia sumień, w każdym razie bardziej efektywnym niż enuncjacje *ex cathedra* (wliczając tu, *sit venia verbo*, ów „List do Kaledonian” premiera Wielkiej Brytanii jak i mniej lub bardziej autorytarne glosy jej episkopalnych krytyków).

Wszystko to ma kapitalne znaczenie dla sprawy efektywności argumentacji moralnej w polityce. Wypływają z tego dwa bardzo ciekawe wnioski. Pierwszy z nich mówi, że jeśli w demokracji debata na temat wyższości moralnej tej czy innej szczegółowej linii politycznej jest na ogół mało przekonująca i nieefektywna, to jest tak dlatego, że jednoznacznie moralnych rozwiązań szczegółowych problemów politycznych nie ma. W rzeczywistości ziemskiej każde konkretne rozwiązanie (czyli akcja polityczna) jest poddane działaniu politycznych realiów, które, będąc same w sobie moralnie obojętne, pozostawiają miejsce na ludzki grzech. Pozytywnie moralne jest właśnie *poszukiwanie* najlepszych rozwiązań, krytyka i debata, gdyż to i tylko to jest żywiołem, w którym może żyć i oddychać ludzkie poczucie moralne i poczucie indywidualnej odpowiedzialności. To w tym poszukiwaniu i praktykowaniu poczucia odpowiedzialności, odpowiedzialności ostatecznie przed Bogiem, realizuje się pionowy wymiar życia politycznego, owo królestwo Boże, które „nie jest z tego świata”, ale

jest „bliskie”. Ale to jest możliwe tylko w szeroko pojętej demokracji, w warunkach wolności myśli i słowa, w warunkach maksymalnej podmiotowości każdego pojedynczego obywatela. Nie-moralne jest przede wszystkim wszelkie sztuczne ograniczanie tej podmiotowości, jak to się dzieje w państwach totalitarnych i w komunizmie. Tym się tłumaczy zaangażowanie polityczne (tak jest, polityczne) Kościoła w krajach komunistycznych. Prawdą jest, że Kościół nie może i nie powinien się angażować w grze politycznej pomiędzy partiami; wynika to z niejednoznaczności moralnej szczegółowych rozwiązań, jakimi są programy różnych partii. I prawdą jest, że Kościół może i powinien realizować swą misję w każdym politycznym ustroju, ale w każdym politycznym ustroju musi być zaangażowany w walkę o zachowanie lub przywrócenie warunków obywatelskiej podmiotowości, która jest fundamentem wszelkiej politycznej moralności.

Drugi wniosek właśnie dotyczy Kościoła jako moralno-politycznego podmiotu i jako rzecznika i stróża politycznej moralności. Oczywiście Kościół to nie tylko hierarchia kościelna, ale formalnie wszyscy ochrzczeni, nieformalnie wszyscy szczerze poszukujący Boga, w sferze politycznej wszyscy strzegący, mniej lub więcej świadomie, owego pionowego wymiaru życia politycznego, który do Boga zmierza i jest źródłem moralno-politycznej odpowiedzialności. W tym sensie członkiem Kościoła jest i prezydent Reagan, i pani Thatcher i ich krytycy, każdy polityk, komentator polityczny i najskromniejszy wyborca – pod warunkiem, że uczciwie poszukują najlepszych moralnie politycznych rozwiązań. Istotne jest, że uznanie faktu tak szeroko rozprzestrzenionej podmiotowości moralno-politycznej jest *implicite* zawarte w soborowej konstytucji „*Gaudium et Spes*”. W tym ujęciu sprawy rola hierarchii jawi się jako czynnik, który w oparciu o żywą tradycję chrześcijańską artykułuje najbardziej dojrzałe moralnie intuicje politycznego *consensus fidelium*. Albo to, co za najbardziej dojrzałe moralnie uważa. Bo przynajmniej w tej dziedzinie kościelne *magisterium* bynajmniej nie jest nieomyłne. Dość pomyśleć o teokratycznych pokusach przeszłości, o inkwizycji, krucjatach, tolerowaniu wojen religijnych, o raczej nie świętych przymierzach ołtarza z tronem. Jeśli w naszych czasach rosyjski Kościół prawosławny przetrwał siedem dziesiątków lat prześladowań i strasliwego

zniewolenia pod rządami komunistycznymi, to przynajmniej tyleż dzięki bohaterstwu bezimiennych „dysydentów” (w pierwotnym religijnym znaczeniu tego słowa) co dzięki zarówno bohaterstwu jak i nadmiernej często przezorności prawosławnej hierarchii. W każdym razie wierni nie bardzo mogli liczyć na wiarygodne kierownictwo moralno-polityczne ze strony tej hierarchii. A jednak ten Kościół trwa nadal. To jest bardzo jaskrawy przykład uwarunkowania Kościoła jako instytucji realiami ziemskiej rzeczywistości. Ale zawsze trzeba się liczyć z bardziej subtelnymi i mniej dostrzegalnymi efektami takiego uwarunkowania. Bo Kościół, niezależnie od swojej duchowej istoty, jest także instytucją ziemską. Nie chodzi tu o to (co się zwykle podkreśla, często tonem apologetycznej wymówki), że ludzie Kościoła jak wszyscy ludzie są grzeszni. Chodzi o coś, co samo w sobie jest całkiem niewinne, a jednak może być w skutkach równie groźne, gdy się tego nie dostrzeże: że Kościół, mając swoje władze, organizację, prawo i swoje grupowe interesy, jest instytucją także polityczną i jako taki nie może stać absolutnie ponad polityką i z tej wysokości ferować wyroków na temat moralności polityki, która się wokół niego toczy. Kościół jako instytucja jest w tej polityce również zaangażowany. A jednak jako instytucja duchowa Kościół ma to zadanie ustawicznego krytykownia rzeczywistości ziemskiej w świetle Ewangelii, w tym także otaczającej go rzeczywistości politycznej. Pierwszym warunkiem wiarygodności tej krytyki jest zatem zdanie sobie sprawy, że on sam jest również politycznym podmiotem. To skłania do pewnej pokory, która może doprowadzić do spełnienia drugiego warunku, którym jest krytyczny stosunek do własnej instytucji i własnych politycznych posunięć. To z kolei wymaga istnienia w Kościele tego, co w toku tych rozważań uznaliśmy za ostoję czy najlepszą możliwą gwarancję moralności politycznej: atmosfery wolnej i odpowiedzialnej debaty. Oczywiście, Kościół musi zawsze być wzorem tego, czego wymaga od innych – także w swoim życiu politycznym.

Antoni Pospieszalski

polska gospodarka

Waldemar Kuczyński

WSPÓLNE PRZEDSIĘBIORSTWA POLSKO-RADZIECKIE 1984-1988 r.

Idea tworzenia przedsiębiorstw mieszanych w ramach RWPG, a szczególnie pomiędzy Związkiem Radzieckim i pozostałymi krajami członkowskimi, jest dzisiaj jednym z elementów programu przebudowy mechanizmów ekonomicznych tego ugrupowania, programu o którym się mówi, że powstaje, ale którego szczegóły ciągle nie są znane. Wtedy jednak, kiedy wystąpiono po raz pierwszy z pomysłem tworzenia takich przedsiębiorstw, nie było jeszcze mowy o radykalnych zmianach. Artykuł niniejszy zawiera krótką historię wspólnych polsko-radzieckich firm od pojawienia się tej sprawy aż do połowy roku 1988. Jest to oczywiście historia bardzo niekompletna, której luki niejednokrotnie wypełnia autorski komentarz. Wynika to z faktu, że władze Polski i Związku Radzieckiego nadal kontrolują ściśle źródła danych o wzajemnych stosunkach gospodarczych jak i wpływ informacji z tych źródeł. W rezultacie dostępne są strzępy, fragmenty – na ogół nie te najważniejsze. W opinii publicznej natomiast obiega dodatkowo wiele informacji trudnych lub niemożliwych do sprawdzenia, które trzeba traktować bardzo ostrożnie. Prawie zawsze są to jakieś fakty wskazujące na wyzysk Polski przez ZSRR i choć można znaleźć wśród nich wiarygodne, to jednak owo jednostronne ukierunkowanie zmusza do zachowania rezer-

wy. Podobnie zresztą jak przy informacjach oficjalnych. Krótko mówiąc praca nad zagadnieniem polsko-radzieckich stosunków gospodarczych przypomina odtwarzanie starożytnego garnka z dostępnej części skorupki. Jest to zajęcie interesujące, ale nieuchronnie obciążone ryzykiem popełnienia błędów.

1. *Geneza problemu*

Do pomysłu tworzenia wspólnych przedsiębiorstw pomiędzy Związkiem Radzieckim a pozostałymi krajami RWPG powrócono w kręgach wysokiej biurokracji radzieckiej pod koniec życia Czernienki. Mówię powrócono, bo przedsiębiorstwa takie zakładano tuż po wojnie i były one wtedy przykładem otwartego wykorzystywania przewagi politycznej ZSRR dla jednostronnych korzyści gospodarczych na szkodę słabszych krajów Europy wschodniej. Píše o tym obszernie jeden z działaczy Związku Komunistów Jugosławii, Władimir Dedijer w swych wspomnieniach¹. Opór Jugosłowian przed tworzeniem takich przedsiębiorstw był jedną z przyczyn ówczesnego konfliktu ze Stalinem. Obecnie podobna idea podjęta została w innych warunkach i w nieco innych zamiarach. Jak powiedziałem, pomysł pojawił się pod koniec życia Czernienki i być może wyszedł z otoczenia Gorbaczowa szykującego się wówczas do przejęcia władzy. Świadczyłoby o tym przywiązanie obecnego szefa na Kremlu do tej idei. W tamtym okresie prezydent Reagan dążył stanowczo do uruchomienia programu Inicjatywy Obrony Strategicznej, a w Europie prezydent Mitterrand wystąpił z ideą naukowego programu „Eureka”. Związek Radziecki, licząc się z możliwością wzmożonej rywalizacji naukowo-militarnej w warunkach zaostrożonej konfrontacji politycznej z Zachodem (odprężeniowe wiatry powiały później), postanowił doprowadzić do większej integracji potencjałów gospodarczych i naukowo-technicznych państw bloku, by stawić czoła rysującemu się wyzwaniu. Taka była przypuszczalnie geneza tak zwanych nowych form integracji w ramach RWPG, czyli bezpośredniej współpracy przedsiębiorstw i instytutów naukowo-badawczych a także tworzenia wspólnych przedsiębiorstw². Odgórna, polityczna inicjatywa radziecka zaczęła nakręcać następnie typową administracyjną kampanię rozpię-

strzeniającą się na całą wschodnią Europę. Jej początkiem była narada gospodarcza RWPG na najwyższym szczeblu w czerwcu 1984 roku, na której podjęto decyzje o opracowaniu tak zwanego „Kompleksowego programu rozwoju naukowo-technicznego państw członkowskich RWPG do roku 2000”. Wtedy również pojawiła się pierwszy raz publiczna zapowiedź tworzenia wspólnych przedsiębiorstw, zjednoczeń i innych organizacji w ramach RWPG³.

2. *Historia wspólnych przedsiębiorstw polsko-radzieckich*

Do Polski te nowe prądy dotarły najwcześniej, bo jeszcze przed wspomnianą wyżej naradą. O nowych formach integracji mówi się już w „Długofalowym programie rozwoju współpracy gospodarczej i naukowo-technicznej do roku dwutysięcznego” przyjętym przez Polskę i ZSRR na początku maja 1984 roku. Ten dokument był pierwszym podpisanym przez ZSRR z innym krajem RWPG, w którym znalazły się owe nowe pomysły integracyjne. W polskiej prasie oficjalnej z tamtego czasu można znaleźć wypowiedzi podkreślające z dumą, że oto Polska staje się wzorcem nowego typu stosunków gospodarczych ze Związkiem Radzieckim i to samo powtarzano czasami po stronie radzieckiej⁴. Mówiąc o nowych formach integracji dokument ten nie wspominał jednak o tworzeniu wspólnych firm polsko-radzieckich, ograniczając się tylko do zapowiedzi rozszerzenia bezpośredniej współpracy przedsiębiorstw. Bezpośredniej, to znaczy dokonującej się z pominięciem jednostek nadrzędnych, które normalnie decydują o każdym kroku przedsiębiorstwa na terenie partnera. Trudno sobie wyobrazić, by na miesiąc przed naradą RWPG, mającą wystąpić z dosyć sensacyjnym pomysłem wspólnych firm, nie mówiono o nich podczas pobytu generała Jaruzelskiego w Moskwie. Pominięto tę sprawę na pewno więc z rozmysłem, ale trudno powiedzieć dlaczego. Nasuwa się przypuszczenie, że być może chciano w ten sposób uniknąć dania do ręki opozycji polskiej silnego argumentu potwierdzającego opinie, że władze oddają gospodarkę polską w pacht ZSRR, które pojawiły się w związku z tak zwanym „przerobem usługowym” wprowadzonym w roku 1982⁵. Ale nie można też wykluczyć, że to pominięcie było

skutkiem braku entuzjazmu strony polskiej do tej idei, co potwierdzałby późniejszy bieg wydarzeń. Tak czy owak po podpisaniu „Długofalowego programu...” przez długi czas nie działo się nic ważnego. Wydarzenia nabrały tempa dopiero od lutego 1986 roku, kiedy to udała się do Moskwy delegacja gospodarza pod przewodnictwem premiera Zbigniewa Messnera. W jej składzie znalazły się najważniejsze osobistości odpowiedzialne za stosunki ze Związkiem Radzieckim, a mianowicie: Władysław Gwiazda, wówczas wicepremier odpowiedzialny za całość współpracy gospodarczej i współprzewodniczący Polsko-Radzieckiej Komisji d/s Współpracy Gospodarczej i Naukowo-Technicznej⁶, Zbigniew Szałajda, odpowiedzialny wtedy tylko za współpracę naukowo-techniczną ze Związkiem Radzieckim, który dzisiaj kumuluje w swym ręku całość problematyki, przejąwszy sprawy wymiany gospodarczej od Gwiazdy. Był tam również Franciszek Kubiczek, pierwszy wiceprzewodniczący Komisji Planowania i przewodniczący Rządowego Zespołu do spraw rozwoju stosunków gospodarczych ze Związkiem Radzieckim⁷. Podczas tej wizyty podjęto decyzje o wybudowaniu wielkiej przetwórci ziemniaków w Woskreszcach w województwie bielsko-podlaskim oraz przyjęto dokument o podstawowych zasadach działania tej wytwórni jako przedsiębiorstwa polsko-radzieckiego. O ile wiem, dokument ten nie został opublikowany. W wyniku wizyty zapadły wkrótce decyzje o powołaniu następnych czterech wspólnych przedsiębiorstw. Trzy miały powstać na bazie istniejących już zakładów polskich, a mianowicie: Zakładów Kosmetyków „Pollena-Miraculum” w Krakowie, Fabryki obrabiarek precyzyjnych i przekładni śrubowo-toczących „Ponar-Avia” w Warszawie i Fabryki Sprzęgów Elektromagnetycznych w Ostrzeszowie. Ponadto miano wspólnie wybudować, a potem eksploatować na terenie Polski wielką przędzalnię bawełny w Białej-Podlaskiej. Od tego momentu temat wspólnych przedsiębiorstw zaczął częściej pojawiać się w prasie przedstawiany w tonie entuzjastycznym. Nie było natomiast zupełnie mowy o najważniejszych konkretnych: dlaczego wybrano akurat takie przedsiębiorstwa⁸, czy poprzedzono to ekspertyzami, czy pytano zainteresowane firmy o zdanie, czy zastanawiano się, jak wspólne przedsiębiorstwa będą działały na styku dwu biurokratycznych systemów. Nie ujawniono też żadnych szcze-

gółów o kosztach przedsięwzięć ani o oczekiwanych korzyściach. Narastał natomiast radziecki nacisk i sztuczny entuzjazm urzędników oraz dziennikarzy. W lipcu 1986 roku odbyło się posiedzenie wspomnianego wyżej Zespołu Rządowego do spraw rozwoju stosunków gospodarczych z jego radzieckim odpowiednikiem, na którym mówiono już o zamiarze stworzenia czterdziestu czterech wspólnych przedsiębiorstw polsko-radzieckich. Pojawiły się zaniepokojone głosy w prasie opozycyjnej i emigracyjnej wskazujące na niebezpieczeństwo włączania gospodarki polskiej w radziecki system prawno-ekonomiczny⁹.

Od wspomnianego posiedzenia zespołów rządowych oficjalny entuzjazm na temat mieszanych firm zaczął jednak, jak się zdaje, słabnąć. W prasie nadal pojawiały się artykuły zachwalające projekt, ale o zamiarze utworzenia czterdziestu czterech wspólnych organizacji przestano mówić, za to można było przeczytać mniej lub bardziej zakamuflowane informacje o trudnościach, jakie wystąpiły w realizacji tej idei. W październiku 1986 roku przybył do Warszawy radziecki premier Nikołaj Ryżkow. Podczas tej wizyty przyjęto szereg ważnych dokumentów na temat współpracy gospodarczej, a wśród nich „Porozumienie między rządem PRL a rządem ZSRR o podstawowych zasadach tworzenia i działalności wspólnych przedsiębiorstw i wspólnych organizacji”. Było ono najprawdopodobniej rozwinięciem podpisanego w lutym porozumienia o zasadach działania przyszłej Przetwórni Ziemiaków w Woskresnicach, a być może również uwzględniało postanowienia Uchwały Rady Ministrów ZSRR o wspólnych przedsiębiorstwach na terytorium ZSRR zatwierdzonej przez Biuro Polityczne KPZR w grudniu 1986 roku¹⁰. Mówię z zastrzeżeniami, ponieważ i ten dokument polsko-radziecki, o ile mi wiadomo, nie został opublikowany. W następstwie wizyty Ryżkova nastąpiło także rozszerzenie listy projektowanych *joint ventures* o dalsze siedem firm, z czego jedną miano utworzyć na bazie polskich Zakładów Hydrauliki Siłowej w Łodzi, a sześć następnych wybudować od podstaw. Na terenie Polski powstać miały: zakład przetwórstwa owoców i warzyw w Polańcu; zakład produkcji pektyny w Jedlińsku oraz przedsiębiorstwo samochodowego transportu owoców i warzyw w Górze Kalwarii. W Związku Radzieckim zaś wybudować miano: przetwórnice granulatu ziemniaczanego, krochmalnię i zakłady

przemysłu tłuszczowego. Część spośród tych sześciu przedsiębiorstw, które miano budować od nowa, związana była niewątpliwie z wielkim kontraktem na dostawy owoców, warzyw i kwiatów do ZSRR do roku 2000 podpisanym z Polską w sierpniu 1986 roku.

W pierwszych miesiącach roku 1987 doszły dwa nowe fakty, które wywarły – jak sądzę – kluczowy wpływ na dotychczasową historię polsko-radzieckich przedsiębiorstw mieszanych. Pierwszy losowy: wiosną 1987 roku wymarzała w Polsce znaczna część sadów owocowych, co postawiło pod znakiem zapytania realizację wspomnianego wyżej kontraktu owocowo-warzywnego. Wraz z tym problematyczna stała się celowość budowy wymienionych wyżej i związanych z tym kontraktem fabryk¹¹.

Drugi fakt, bez porównania ważniejszy, to powrót z Gorki do Moskwy Andrieja Sacharowa. Ten spektakularny akt Gorbaczowa oznaczał przyspieszenie *periestrojki* w ZSRR i początek jej wzmoczonego oddziaływania na kraje satelickie. Był to również moment, od którego *periestrojka* stała się na Zachodzie faktem mediatycznym, a Związek Radziecki zaczął być z powrotem postrzegany jako ewentualny partner, także gospodarczy. Te okoliczności, nasilając się w ciągu roku 1987, a także i w tym roku, zmieniły – jak sądzę – sytuację w punktach istotnych dla omawianego tu tematu. *Po pierwsze*, osłabiły stopniowo czynnik konfrontacji jako jeden z ważnych motywów – po stronie radzieckiej – przyspieszenia integracji w ramach RWPG. *Po drugie*, otwierając się zaczęła dla ZSRR możliwość rozbudowy więzi gospodarczych z partnerami zachodnimi, ekonomicznie o wiele bardziej interesującymi. W tym możliwość zakładania z nimi właśnie wspólnych przedsiębiorstw. Nie twierdzę oczywiście, że w tej sytuacji na Kremlu doszło do jakiejś reorientacji w kierunku Zachodu, bo nie ma na to dowodów, a ponadto zakładanie wspólnych firm w ramach RWPG nie przeszkadza w zakładaniu ich z partnerami kapitalistycznymi. Nie wykluczone jednak, że owa większa atrakcyjność przesunęła siłą rzeczy zainteresowanie ku współpracy z przedsiębiorstwami zachodnimi. W ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy proces ten nabrął rozmachu i choć idea *joint ventures* z Zachodem podjęta została przez Gorbaczowa znacznie później niż wspólne przedsiębiorstwa w ramach RWPG, to już na począ-

tku tego roku formalnie istniało osiemnaście mieszanych firm radzieckich z partnerami zachodnimi i tylko pięć z krajami RWPG¹². Po trzeciej pleriestrojka, oddemonizowując Związek Radziecki, ośmieliła zapewne przedsiębiorstwa jak i władze w niektórych przynajmniej krajach bloku do bardziej stanowczego stawiania kwestii własnych interesów i sprzeciwiania się rozwiązaniom niekorzystnym. W Polsce to ośmielenie było tak wyraźne, że znalazło nawet odbicie publiczne. Na początku lipca 1987 roku w *Trybunie Ludu* opublikowano obszerny stenogram z dyskusji okrągłego stołu, jaka odbyła się nieco wcześniej na temat nowych form polsko-radzieckiej współpracy gospodarczej. W dyskusji wzięli udział dość liczący się przedstawiciele obu stron¹³ i czytelnik polski mógł po raz pierwszy stwierdzić, że ich poglądy oraz interesy różnią się zasadniczo, a strona polska raczej twardo broni własnego stanowiska. W przypadku wspólnych przedsięwzięć główna kontrowersja dotyczyła ich charakteru. Polacy opowiadali się za luźniejszą formą spółki, do której każda ze stron wноси pewien wkład, zachowując jego własność. Jako argument podawali, że w Polsce jest Ustawa o spółkach z zagranicą (z 23.4. 1986 r.) natomiast nie ma ustawodawstwa pozwalającego tworzyć inne typy *joint ventures*. Był to argument prawdziwy, lecz raczej „parawanowy”. Kryła się za nim najprawdopodobniej obawa przed wchodzeniem w ściślejsze związki z radzieckim partnerem prowadzące do „depolonizacji” wniesionego wkładu i co za tym idzie niemożliwe do przerwania. Trudno, moim zdaniem, znaleźć inne wytłumaczenie uporu, z jakim polscy dyskutanci trwali przy koncepcji spółki w przeciwstawieniu do koncepcji przedsiębiorstwa międzynarodowego. Strona radziecka natomiast, opowiadając się za przedsiębiorstwem międzynarodowym, parla do rozwiązań, w których nie istniałby podział kapitału na własność każdego z uczestników¹⁴. O tym, że w rozwoju wspólnych przedsiębiorstw między ZSRR a danym krajem satelickim odgrywa i tym razem ważną rolę stopień ogólnej uległości politycznej, świadczy przypadek Bułgarii, tradycyjnie właśnie bardzo posłusznej. W kwietniu 1988 roku istniało już siedem wspólnych przedsiębiorstw bułgarsko-radzieckich, podczas gdy tylko jedno w Polsce. Tymczasem to właśnie Polska miała torować nowe szlaki integracji, a problemy do rozwiązania powstające przy tworzeniu wspólnych firm

są przecież zbliżone ze względu na podobieństwo systemów ekonomicznych Polski i Bułgarii. Przepuszczalne różnice w podejściu politycznym wyrażające się w ofensywności strony radzieckiej (akcent na przyspieszenie tworzenia *joint ventures*) i w defensywności strony polskiej (akcent na trudności i nierozwiązane problemy) zwiększyły – w dyskusjach i negocjacjach – znaczenie czysto ekonomicznych okoliczności, spośród których pewne nie sprzyjają zakładaniu wspólnych firm. W obecnym systemie rozliczeń dwustronnych na przykład są elementy korzystne dla strony radzieckiej i niekorzystne dla Polski. Mimo dużej dyskrekcji, jaką otacza się kwestie finansowe w stosunkach ze Związkiem Radzieckim, wiadomo, że obecny kurs rubla transferowego w stosunku do złotego jest dla polskich partnerów niekorzystny. W pracach nad *joint ventures* ujawniły się także odmienności stylu podejścia do tej sprawy. Bardziej biurokratycznego strony radzieckiej zainteresowanej wyłączeniem się z odgórnego politycznego polecenia i bardziej ekonomicznego strony polskiej gotowej ewentualnie zakładać mieszane firmy, ale na bazie uzgodnionych interesów.

Wspomniana dyskusja okrągłego stołu nie ruszyła spraw z miejsca i to samo można przypuszczalnie powiedzieć o kilku kontaktach oficjalnych między obydwoma stronami w drugiej połowie ubiegłego roku poświęconych tej sprawie. W tej sytuacji na początku grudnia 1987 Polska Izba Handlu Zagranicznego zwołała naradę dyrektorów zainteresowanych jednostek, by przedyskutować, jak napisano w prasie, „trudności w bezpośredniej współpracy z ZSRR i w tworzeniu wspólnych przedsiębiorstw”.¹⁵ Żadnych szczegółów z tej narady nie podano, ale w lutym tego roku ukazał się zdumiewająco otwarty artykuł informujący wprost o porażce przynajmniej pierwszego podejścia do tworzenia *joint ventures* z ZSRR¹⁶. Autor tego artykułu, po omówieniu problemów, jakie powstały przy próbie zrealizowania wymienionych wyżej dwunastu projektów, poinformował, że z pięciu zrezygnowano, następnie sześć rozpatruje się nadal, ale bez wyraźnych nadziei, że zostaną zrealizowane. Tymczasem powstać miało tylko jedno wspólne przedsiębiorstwo polsko-radzieckie przez nadanie takiego charakteru Fabryce Kosmetyków „Pol-lena-Miraculum” w Krakowie, co istotnie nastąpiło pierwszego

kwietnia tego roku, kiedy zarejestrowano statut tej firmy. Na poinformowaniu o niepowodzeniach historia tematu się nie zakończyła choćby z tego tylko powodu, że strona radziecka pozostała zainteresowana w przyspieszeniu tworzenia wspólnych przedsiębiorstw z Polską. W prasie zaczęły się więc pojawiać – jak zwykle bardzo skąpe – informacje o tworzeniu Polsko-Radzieckiej Komisji Współpracy Gospodarczej i Naukowo-Technicznej ukazała się na przykład wiadomość, że rozpatrywana jest sprawa utworzenia wspólnego przedsiębiorstwa elektronicznego we Wrocławiu. Chodziło przypuszczalnie o zamiar nadania takiego statusu tamtejszym Zakładom Elektronicznym „Elwro”. Na początku kwietnia podczas pobytu w Moskwie delegacji pod przewodnictwem Zbigniewa Messnera strona radziecka dała wprost i publicznie wyraz swojemu niezadowoleniu ze stopnia rozwoju tych nowych form integracji w stosunkach z Polską. Przyjmując Messnera na audiencji, Gorbaczow powiedział, że: „gdy chodzi o nowoczesne formy współpracy produkcyjnej i naukowej, to jak dotąd możliwości te nie są wykorzystywane dostatecznie. Choć bezpośrednio powiązania ustanowiono już między 300 parami przedsiębiorstw polskich i radzieckich, to dostawy kooperacyjne w roku minionym realizowały tylko nieliczne z nich. Wolno przebiega zakładanie wspólnych przedsiębiorstw”. Także radziecki premier Nikołaj Ryżkow był wyraźnie krytyczny stwierdzając, iż: „obie strony słabo wykorzystują istniejące możliwości. Nie opracowano na czas prawnych i finansowych mechanizmów realizacji bezpośredniej współpracy przedsiębiorstw i zespołów naukowych, nie przestrzegano w szeregu przypadków zasady wzajemnej ekonomicznej korzyści... gdy chodzi o specjalizację i kooperację w produkcji, a także wprowadzanie nowych wyrobów, nie jesteśmy zadowoleni z obecnego stanu rzeczy. Trzeba zakasać rękawy i ostro zaktywizować wspólne prace nad dalszym rozwojem nowych form współpracy”¹⁷. Żadna z tych wypowiedzi – przekazanych do wiadomości publicznej przez TASS – nie została, o ile wiem, przedrukowana w prasie polskiej. Podczas tej wizyty uzgodniono jednak wprowadzenie paru ważnych nowości, z których co najmniej część proponowała już wcześniej strona polska dla stworzenia korzystniejszych warunków ekonomicz-

nych i dla rozwoju bezpośredniej współpracy przedsiębiorstw jak i dla zakładania wspólnych firm¹⁸. Tak więc, *po pierwsze*, postanowiono dopuścić w znacznie szerszym zakresie ceny umowne w wymianie między partnerami, ponieważ sztuczne ceny rynków wewnętrznych obu krajów, w tym szczególnie księżycowe ceny radzieckie, na ogół nie gwarantowały opłacalności tej wymiany właśnie dla partnerów polskich. Przykładem może być historia wspomnianej przetworni ziemniaków w Woskresznicach, na której projektowanie wydano siedemset milionów złotych, po czym okazało się, że przedsiębiorstwo, którego 80% produkcji miało iść do ZSRR, nigdy nie będzie rentowne zbywając swe wyroby po radzieckich cenach urzędowych¹⁹.

Po drugie, uzgodniono, że za sprzedane produkty wspólne firmy a także przedsiębiorstwa współpracujące otrzymywały będą zapłatę w walucie narodowej kraju, gdzie towar był sprzedany, a więc w rublach lub w złotych, a nie w walucie przeliczeniowej, czyli w rublach transferowych. Za te pieniądze ich posiadacze będą mogli nabywać odpowiednio na rynku radzieckim czy polskim potrzebne im produkty, w ramach jednak – jak powiedział Jerzy Urban – „rynkowych możliwości obu stron”, to znaczy przypuszczalnie z ewentualnych nadwyżek poszukiwanego towaru, a więc nie całkiem swobodnie²⁰. Wprowadzenie cen umownych oraz płatności w walucie narodowej rynku zbytu pozwala obejść problemy wywoływane przez nierealistyczny kurs rubla transferowego, ponieważ można się w tym przypadku bez niego obejść. Płatności w rublach czy złotych z możliwością ich wydawania na miejscu stwarzają również pewną swobodę w poruszaniu się współpracujących przedsiębiorstw a także wspólnych firm na rynkach obu krajów. Poprzednio ta swoboda nie istniała w ogóle, a jedyną formą wymiany była praktycznie prymitywna wymiana towar za towar wyłącznie z przedsiębiorstwem, z którym się współpracuje, czy z tym, któremu się sprzedawało własne produkty. Wydaje się jednak, że w omawianej tu sprawie pozostała istotna różnica poglądów. Strona radziecka mianowicie nalegała na to, by zostawiając rubel transferowy na boku, ustalić jednak na potrzeby wymiany przedsiębiorstw współpracujących i wspólnych firm specjalny, cząstkowy kurs wymienny rubla i złotego dając przynajmniej formalnie swobodę jednostkom ekonomicznym, by

same wybierały sobie walutę zapłaty, a więc i rynek zakupu. Takie rozwiązanie przyjęte jest dla analogicznych sytuacji w porozumieniach ZSRR z Czechosłowacją i Bułgarią. Polska jednak, jak się wydaje, pozostała przy swym stanowisku, by przyjąć jedynie zasadę zapłaty w walucie rynku zbytu bez wprowadzania dodatkowego fragmentarycznego kursu rubla i złotego²¹.

Po trzecie, strona radziecka, przystała na polski punkt widzenia, by wspólne firmy miały raczej postać spółek, z wyodrębnioną własnością udziałowców niż przedsiębiorstw międzynarodowych, w których własność jest wspólna i praktycznie o wiele trudniejsza do ewentualnego podziału. Gdyby zwyciężyła koncepcja przedsiębiorstw międzynarodowych – lansowana wcześniej przez stronę radziecką i przypominająca, nawiasem mówiąc, tak zwany trzeci, najbardziej socjalistycznie zaawansowany, typ kołchozu z czasów stalinowskich, to przy dużej liczbie wspólnych firm mogłoby to prowadzić w perspektywie do rozmywania się narodowych granic własności gospodarczej. Zważywszy polityczną dominację ZSRR nad krajami Europy wschodniej byłby to więc kurs na wchłanianie małych gospodarek satelickich przez wielką (co nie znaczy bardziej sprawną) gospodarke metropolii.

Po czwarte, postanowiono powołać Polsko-Radziecką Grupę Mieszaną do Prac nad Doskonaleniem Ekonomicznych Mechanizmów Integracji. W połowie maja grupa odbyła swoje pierwsze organizacyjne posiedzenie w Warszawie²². Na jej czele stanął ze strony polskiej Stanisław Długosz, wiceprzewodniczący Komisji Planowania, a ze strony radzieckiej Walerij Sierow pełniący analogiczną funkcję w radzieckiej Komisji Planowania czyli w „Gospłanie”. W skład grupy weszli z obydwu stron przedstawiciele organów planowania, ministerstw finansów i handlu zagranicznego, wreszcie przedstawiciele placówek naukowych i – w roli konsultantów – delegaci z wspólnych firm i bezpośrednio ze sobą współpracujących przedsiębiorstw. Celem Komisji jest w pierwszym rządzie zaprojektowanie konkretnych rozwiązań walutowo-finansowych, które poprawiłyby ekonomiczne warunki dla rozwoju tych nowych form integracji. Dla ich finansowania natomiast ma być stworzony wspólny bank, o którym na razie nie wiadomo nic więcej.

Przyjęcie punktu widzenia strony polskiej, że podstawowym typem wspólnej firmy powinna być spółka, nie zostało nigdzie

potwierdzone wprost, w przeciwieństwie do reszty wymienionych wyżej punktów, o których co prawda nie mówi się w ogólnikowym komunikacie ze spotkania Messnera i Ryżkowa, ale które potem w różnych wypowiedziach z nim się wiąże. O tym, że strona radziecka przystała na zakładanie spółek, świadczą natomiast fakty. Od tego spotkania bowiem utworzono trzy wspólne firmy polsko-radzieckie, wszystkie jako spółki. Tak więc w końcu czerwca podpisano akt notarialny powołujący spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością „Fimbes”. Weszło do niej osiem jednostek, po cztery z każdej strony, w tym Fabryka Urządzeń Mechanicznych „Ponar-Ostrzeszów”, która początkowo miała stać się jednym z dwunastu międzynarodowych przedsiębiorstw polsko-radzieckich. Kapitał założycielski spółki wynosi 200 mln złotych i 1 mln rubli transferowych, co daje razem mniej niż 400 mln złotych. W ramach spółki wybudowany ma być zakład produkcji sprzętów i hamulców elektromagnetycznych prawdopodobnie przy fabryce Ostrzeszowskiej²³.

Parę dni wcześniej powołano „Polsib” spółkę z o.o. w dziedzinie elektroniki i informatyki. Utworzyło ją osiem jednostek, w tym sześć ze strony polskiej z Zakładami Mechaniczno-Precyzyjnymi „Mera-Błonie” koło Warszawy jako głównym polskim udziałowcem. Głównym udziałowcem radzieckim jest Biuro Konstrukcyjne Techniki Obliczeniowej Syberyjskiego Oddziału Akademii Nauk ZSRR w Nowosybirsku (słynny akademgorodok) i tamtejsze Centrum Obliczeniowe²⁴. Celem spółki ma być wspólne tworzenie oprogramowania i produkowanie sprzętu z pewną specjalizacją strony radzieckiej w oprogramowaniu (software) a polskiej w sprzęcie (hardware). Kapitał założycielski wynosi 120 mln zł – z tego 62 mln to wkład polski.

Najwcześniej, bo w połowie maja, podpisano w Warszawie umowę o zawiązaniu Polsko-Radzieckiej Spółki Wydawniczej „Orbita”, pierwszej tego typu w RWPG. Udziałowcami są: „RSW-Prasa-Książka-Ruch”, czyli główne wydawnictwo PZPR oraz Wszeczwiązkowe Wydawniczo-Produkcyjne Zjednoczenie „Sowexportkniga”. Spółka ma publikować głównie literaturę społeczno-polityczną, ale także literaturę piękną, poradniki i książki dla dzieci w językach polskim, rosyjskim, niemieckim i angielskim. Nakład docelowy, po roku 1990 – około 12 mln

egzemplarzy (w roku 1986 łączny nakład książek i broszur wydanych w Polsce wyniósł 249 mln egzemplarzy) rozprowadzanych w Polsce, ZSRR i na rynkach trzecich. Kapitał założycielski w wysokości 200 mln zł i dostawy papieru rozłożone są mniej więcej po połowie.

„Orbita” ma swoją historię. Inicjatywę założenia wspólnego przedsiębiorstwa wydawniczego specjalizującego się w literaturze politycznej wyszła na początku października 1987 od Przewodniczącego Państwowego Komitetu d/s Wydawnictw ZSRR M. Nienaszowa i miało być to oczywiście przedsiębiorstwo międzynarodowe²⁵. Strona polska, nie odrzucając samego pomysłu, zaproponowała utworzenie spółki z ograniczoną odpowiedzialnością w oparciu o Kodeks Handlowy z 1934 roku, na co z kolei nie chcieli się zgodzić Rosjanie. Bezskuteczne wzajemne przekonywanie się a także próby pokonania wielu innych problemów – na przykład odmienności w systemach opodatkowania, w sposobach tworzenia cen i tak dalej – trwało prawie rok i dopiero porozumienie Messnera z Ryżkowem otwierające możliwość zakładania spółek pozwoliło uzgodnić punkty widzenia i interesy.

Z tego co przedstawiłem wyżej wynika, że od spotkania Messnera i Ryżkowa mamy do czynienia z nowym etapem w najnowszej historii przedsiębiorstw polsko-radzieckich. Cechuje go po pierwsze pewne odbiurokratyzowanie polegające na osłabieniu kampanijności i położenie większego akcentu na ekonomiczne uzasadnienie zamierzeń. Najważniejszym tego objawem jest odejście od gigantomanii nie obcej oczywiście polskiej administracji, która jednak tym razem miała orędowników głównie po stronie radzieckiej. Jej przejawem jest wspólna firma „Pollena-Miraculum”, twór prawdopodobnie sztuczny, który albo okaże się fikcją, albo spowoduje, że przedsiębiorstwo dotąd stosunkowo sprawne spadnie na utrzymanie budżetu czyli społeczeństwa, za to kapitał tej firmy wynosi aż 11 mld złotych. W porównaniu z nią trzy założone później spółki, których kapitały założycielskie wahają się od jakichś 90 do 250 tys. dolarów licząc po kursie banku PKO z lata 1988 r., są mikroskopijne. Ich znaczenia nie można jednak mierzyć tylko skalą początkowego i deklarowanego publicznie zaangażowania kapitałowego. Może ono bowiem stać zwiększone i to przez decyzje polityczne, nie liczące się z

kryterium ekonomicznej opłacalności, na co wskazywałaby rozbieżność pomiędzy zamiarami tych spółek a ich skromnymi środkami²⁶. Oddziaływanie czynnika pozaekonomicznego jednakże bynajmniej nie zniknęło, czego przykładem jest postanowienie, by wspólna firma wydawnicza specjalizowała się w wydawaniu akurat literatury politycznej. Literatura ta, jak dobrze wiadomo, nie ma wzięcia u polskiego czytelnika, a zatem jej wydawanie jest po prostu marnotrawieniem papieru.

Drugą cechą tego nowego etapu jest, jak sądzę, pewne wycofanie się administracji centralnej z inicjowania różnych pomysłów i zmuszania potem przedsiębiorstw do ich realizacji, jak to było od samego początku tworzenia tych nowych form integracji. Tym niemniej i przy nawiązywaniu bezpośredniej współpracy między przedsiębiorstwami, i przy tworzeniu wspólnych firm administracja jest ciągle obecna i ciągle ma głos decydujący. Świadczy o tym na przykład fakt, że porozumienie o spółce ostrzeszowskiej, aczkolwiek podpisane formalnie w Ostrzeszowie przez udziałowców, zostało zawarte faktycznie na szczeblu rządowym, ponieważ uprzednio „parafowali” je Szatajdu i Antonow podczas wspomnianego moskiewskiego spotkania w końcu maja. Tak więc w dalszym ciągu tę stronę stosunków polsko-radzieckich, podobnie zresztą jak inne, dzieli daleka droga od chwili, gdy będą one podane klarownym kryteriom ekonomicznym i rygorom rynkowym, przy których lepsze szanse ma ten, czyje przedsiębiorstwa pracują sprawniej, a nie ten, to ma przewagę polityczną.

Zakończenie

W opracowaniu tym pominąłem: (a) obszerniejsze omówienie organizacyjnych zasad wspólnych przedsiębiorstw w ramach RWPG i różnic poglądów na ten temat; (b) charakterystykę problemów jakie pojawiły się w toku ich tworzenia, a które wiążą się w pierwszym rzędzie z brakiem w ramach tego ugrupowania mechanizmów wymieniałości walut i rozliczeń wielostronnych. Do tych spraw jak i do omówienia problematyki innych form integracji, które pojawiły się w RWPG w ostatnich latach, postaram się wkrótce wrócić. Chodzi w pierwszym rzędzie o wspomnianą na początku bezpośrednią współpracę przedsiębiorstw oraz instytu-

tów naukowo-badawczych. W obu tych dziedzinach ogólny obraz stanu rzeczy nie odbiega od tego, jaki czytelnik może sobie wyrobić po przeczytaniu niniejszego szkicu. Gdy chodzi na przykład o bezpośrednią współpracę przedsiębiorstw, to w roku 1987 ogólna wymiana kooperacyjna z tego tytułu wyniosła 20 milionów rubli²⁷, przy obrotach handlowych między PRL i ZSRR w granicach 13-14 miliardów rubli rocznie. Jest to kwota symboliczna, bez znaczenia.

Waldemar Kuczyński

lipiec 1988

PRZYPISY

¹ Władimir Dedijer, *Le défi de Tito*. Paris 1970, s. 83-111. Patrz również blok artykułów zatytułowany „Ekonomia wyzysku”, *Aneks* nr 19, 1978.

² Akcent zagrożenia ze strony „Podstawowych ośrodków siły imperializmu – USA, Europy Zachodniej i Japonii” jako motyw przyspieszenia integracji w ramach RWPG wystąpił wyraźnie w przemówieniu Nikołaja Ryżkowa na 41 Nadzwyczajnej Sesji RWPG w grudniu 1985 r. *Trybuna Ludu* 17.12.1985 r.

³ „Za ważny kierunek doskonalenia ekonomicznego mechanizmu współpracy... uczestnicy narady uważają szeroki rozwój kooperacji produkcyjnej i ustanowienie bezpośrednich powiązań między zjednoczeniami, przedsiębiorstwami oraz organizacjami... Będą także tworzone sprzyjające warunki dla powoływania na zasadach rozrachunku gospodarczego wspólnych firm, przedsiębiorstw i innych międzynarodowych organizacji gospodarczych”. Oświadczenie w sprawie podstawowych kierunków dalszego rozwoju i pogłębienia współpracy gospodarczej i naukowo technicznej krajów członkowskich RWPG. *Trybuna Ludu*, 16-17.6.1984.

⁴ O programie do 2000 r. „To jest pierwszy program, który ZSRR podpisuje w takiej skali i w takich rozmiarach z krajem socjalistycznym. Wydaje się, że jest to wzorcowe rozwiązanie, które powinno być szerzej zastosowane także do innych krajów socjalistycznych”. Prof. Wiesław Grudzewski – podsekretarz stanu w Urzędzie ds postępu technicznego. Polskie Radio Warszawa 1. Radio Free Europe – Monitoring 16.9.85 r.

⁵ Chodziło jak wiadomo o wykorzystanie wolnych mocy produkcyjnych w niektórych gałęziach gospodarki polskiej unieruchomionych z powodu braku dewiz na import surowców i materiałów z Zachodu. Surowce te dostarczał ZSRR w zamian za znaczną część produktów gotowych.

⁶ Polsko-Radziecka Międzyrządowa Komisja Współpracy Gospodarczej i Naukowo-Technicznej (MKWGNT) – powołana w roku 1964 jest główną instytucją koordynującą całość współpracy między obydwoma krajami. Podobne Komisje istnieją między każdą parą krajów RWPG. Kierują nią dwaj przewodniczący; ze strony polskiej wicepremier Zbigniew Szalajda, ze strony radzieckiej wicepremier Aleksiej Antonow. Antonow uczestniczy, jako przewodniczący ze strony radzieckiej, także w niektórych Komisjach ZSRR i innych krajów RWPG, na przykład NRD.

⁷ Rządowy Zespół do spraw rozwoju stosunków gospodarczych z ZSRR jest rodzajem organu wykonawczego MKWGNT i na swego odpowiednika po stronie radzieckiej. W Polsce przewodniczący mu Franciszek Kubiczek. Po stronie radzieckiej przewodniczącym jest Władimir Łachtin zajmujący w ZSRR analogiczne co Kubiczek stanowisko.

⁸ Gdy chodzi o trzy już istniejące przedsiębiorstwa, to o ich przeznaczeniu na wspólne firmy zdecydował zapewne między innymi fakt, że od bardzo dawna znaczna część produkcji przynajmniej „Polleny-Miraculum” i Fabryki Sprężygiel w Ostrzeszowie szła do ZSRR. Ta ostatnia na przykład, wybudowana siedemnaście lat temu na dokumentacji radzieckiej, zaspokaja 70% radzieckiego zapotrzebowania na sprzęgła elektromagnetyczne do obrabiarek. Z 6 milionów wyprodukowanych do tej pory sztuk 5 poszło do ZSRR. Dane przytoczone przez Alinę Grabowską w audycji *Fakty, Wydarzenia, Opinie*, RWE, 19.3.1987.

⁹ Patrz na przykład: Jadwiga Staniszkis „Dynamika uzależnienia”, *Kontakt*, nr 7/8 i 9 z 1987 r.

¹⁰ Uchwała Rady Ministrów ZSRR o Trybie Tworzenia na terytorium ZSRR i działalności wspólnych przedsiębiorstw, międzynarodowych zjednoczeń i organizacji ZSRR oraz innych krajów członkowskich RWPG. *Trybuna Ludu* 27.1.87.

¹¹ O skutkach wynarzięcia sądów rozmawiali najprawdopodobniej radziecki minister rolnictwa Wsiewołod Murachowski i wicepremier Józef Koziol podczas czterodniowej wizyty tego ostatniego w Moskwie w połowie maja 1987 r. Doniesiono wtedy – jak doniosła lakonicznie *Trybuna Ludu* (z 18.5.1987) – oceny realizacji umowy owocowo-warzywnej na lata 1986-1990 i do roku 2000. Mówiono również o sprawie wspólnych przedsiębiorstw, ale żadnych szczegółów nie ujawniono.

¹² „Program pełnej wymienności rubla”, PAP, *Trybuna Ludu* 4.2.1988 oraz TASS 8 luty 1988 w: USSR Today, Radio Liberty Monitoring A-71. Wśród pięciu mieszanych przedsiębiorstw RWPG były wtedy trzy radziecko-bułgarskie, jedno radziecko-węgierskie i jedno radziecko-polskie.

¹³ Okrągły stół *Trybuna Ludu* i *Prawdy*, „Nowe formy polsko-radzieckiej współpracy gospodarczej”, *Trybuna Ludu* 1.7.1988 r. Po stronie radzieckiej najwyższy rangą był Gieorgij Szczukin, przedstawiciel handlowy ZSRR w Polsce, a ze strony polskiej Zdzisław Kurowski – pełnomocnik rządu do spraw bezpośredniej współpracy i wspólnych przedsiębiorstw z ZSRR.

¹⁴ Opowiadając się za spółką Z. Kurowski tak przedstawił różnice stanowisk między obydwoma stronami: „W pierwszej kolejności proponowaliśmy tę właśnie formę wspólnego przedsiębiorstwa nie odrzucając jednakże płaszczyzny międzynarodowego przedsiębiorstwa. Jak do tej pory negocjatorzy radzieccy interesowali się jednak głównie formą międzynarodowego przedsiębiorstwa. Teraz kiedy oceniamy stan rozmów, proponujemy raz jeszcze zastanowić się nad wykorzystaniem rozwiązań prawnych wynikających z ustawy z 23 kwietnia 1986 r. o spółkach z udziałem zagranicznym. *Trybuna Ludu*, 1.7.88 r.

¹⁵ Jan Markusz – „Potrzeba sprawniejszych narzędzi”, *Trybuna Ludu* 3.12.1987 r.

¹⁶ Jerzy Baczyński – „Porażka optymistyczna”. *Polityka – Eksport, Import*, 20.2.1988 r.

¹⁷ TASS cyt. za: USSR – Today, Radio Liberty. A-172, 6.4.88 r.

¹⁸ Szczegóły tych uzgodnień omawiali w końcu maja w Moskwie Zbigniew Szalajda i Aleksiej Antonow. Nowe Formy Współpracy – PAP, *Trybuna Ludu*, 28-29.5.1988 r.

¹⁹ Jerzy Baczyński, *op. cit.*

²⁰ *Rzeczpospolita*, 8.6.1988 r.

²¹ Na istnienie opisanej wyżej rozbieżności – o której nie wspomina się wprost – może wskazywać wypowiedź jednego z członków delegacji radzieckiej uczestniczącej w naradzie banków państw socjalistycznych, jaka się odbyła w Łodzi na początku lipca, czyli w dwa miesiące po podpisaniu porozumienia między PRL i ZSRR o wprowadzeniu rozliczeń w walutach narodowych. Delegat radziecki, ignorując to porozumienie, stawia za wzór Czechosłowację i Bułgarię mówiąc, że: „Związek Radziecki ma międzyrządowe i międzybankowe porozumienia z Bułgarią dotyczące rozliczeń w walutach narodowych w kontaktach między przedsiębiorstwami. Nie sądzę, by były jakieś przeszkody na drodze podobnego porozumienia z Polską. Prawo decydowania o wyborze waluty powinno się przy tym zostawić przedsiębiorstwom”. Radio Warszawa 1. 7. 1988 r. cyt. za: Monitoring Radio Wolna Europa 7. 7. 1988 r.

²² Doskonalenie polsko-radzieckiej współpracy gospodarczej. PAP. *Trybuna Ludu*, 20. 5. 1988 r.

²³ Pozostałe jednostki polskie to: „Metalexport”, spółka z o.o., Przedsiębiorstwo Projektowania i Dostaw Przemysłu Obrabiarek i Narzędzi „Ponar-Bipron”, Biuro Studiów i Konsultingu Inwestycji Proeksportowych „Investexport” spółka z o.o., a ze strony radzieckiej: Badawczo-Naukowy Instytut Budowy Maszyn „Enima”, Wszeczchwłżkowe Zjednoczenie Eksportowo-Importowe „Stankoimport” oraz Ministerstwo Przemysłu Obrabiarkowego i Narzędzi ZSRR. „Finbes – polsko-radziecka spółka w Ostrzeszowie”, *Trybuna Ludu*, 1. 7. 1988 r. oraz Radio Warszawa 1 – 7. 7. 1988 r. Cyt. za Monitoring Radio Wolna Europa 7. 7. 88 r. s. 20.

²⁴ Pozostali polscy udziałowcy to: Fabryka Mierników i Komputerów „Eru”, Przedsiębiorstwo Handlu Zagranicznego „Metronex” spółka z o.o., Przedsiębiorstwo Handlowo-Produkcyjne „Mikrokomputery” spółka z o.o., Zjednoczone Zakłady Urządzeń Jądrowych „Polon” i Centrum Naukowo-Produkcyjne Systemów Sterowania „Meraster”. „Polsib” nowa spółka polsko-radziecka. *Trybuna Ludu*, 22. 4. 1988 r.

²⁵ Pierwsza wersja wspólnego wydawnictwa oraz sporne problemy, jakie się wyłoniły, przedstawiono w: Irina Pirogowa, „Projekt wspólnego wydawnictwa”, *Trybuna Ludu*, 31. 10. - 1. 11. 1987 r. Ostatecznie przyjęte rozwiązanie opisano w: Stanisław Zawiałański. „Czy Orbita podbije świat”, *Trybuna Ludu*, 20. 5. 1988 r. oraz Radio Warszawa 1 – 7. 7. 88 r. Cyt. za Monitoring Radio Wolna Europa 7. 7. 88 r.

²⁶ W jaki sposób spółka „Finbes” z kapitałem w granicach 350 mln zł potrafi wybudować nowoczesny zakład produkcji sprężel i hamulec, kosztujący zapewne sporo miliardów złotych? Kto da jej taki kredyt i czy dając go zachowa rygor, o których deklaruje się przy okazji drugiego etapu? „Orbita” z kolei, mając 200 mln złotych kapitału, chce już w tym roku wydać 4 mln egzemplarzy książki.

²⁷ Patrz Jerzy Urban w czasie konferencji prasowej z 29. 9. 1987, *Trybuna Ludu*, 30. 9. 1987. O nikłym stopniu rozwoju bezpośredniej współpracy przedsiębiorstw polsko-radzieckich pisał też Jerzy Baczyński w: „Góra wyprzedziła dół”, *Polityka* 2. 7. 1988 r. Dodatek: Eksport – Import.

Isaiiah Berlin

O ROSJI I „POKRZYWIONYM DRZEWIE CZŁOWIECZEŃSTWA”*

Enrique Krauze: Jakie były, pańskim zdaniem, główne przyczyny historycznej porażki liberalizmu w Rosji? Dlaczego okazał się intelektualnie i politycznie nieskuteczny?

Isaiiah Berlin: ...Mówi się zwykle, że porażka liberalizmu w Rosji była spowodowana brakiem burżuazji: nie było klasy, której potrzeby liberalowie mogli wyrażać i z której by wyrastali, gdzie byłiby osobiście i intelektualnie zakorzenieni... Nie wydaje mi się to trafne.

To prawda, że klasy średnie były stosunkowo nieliczne, mimo że wzrosły w okresie gwałtownego rozwoju przemysłowego kraju w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku. Jednak wydaje mi się, że słuszność miał profesor Władimir Karpowicz z Harvardu, który twierdził, że liberalowie, zarówno prawnicy, jak i lewicowcy, mieli wpływ i cieszyli się autorytetem w szerszych kręgach społeczeństwa.

Rewolucja Październikowa miała małe szanse na wygraną, a jednak zwyciężyła i z niej zrodził się obecny Związek Radziecki. A liberalowie ponieśli porażkę również i po prostu dlatego, że – w zgodzie ze swoimi zasadami – nie byli gotowi odwoływać się do przemocy i gwałtownych metod, jakie stosowali bolszewicy.

Wydarzenia ostatnich dwustu lat pokazały, że twarda mniejszość często bierze górę nad mięką większością. Nie ulega wąt-

* Fragmenty rozmowy opublikowanej w meksykańskim piśmie *Vuelta* (maj 1982).
Przedruk za *Partisan Review*.

pliwości, że reżym carski ostatecznie się zdyskredytował, że wojna poważnie osłabiła jego rezerwy, że klas średnich nie łączyła jakaś spójna ideologia. Turgieniew był dobrym rzecznikiem tej klasy. Nienawidził reakcjonistów, a zarazem przerażali go ówczesni młodzi radykałowie. Liberalowie zawsze i wszędzie są w trudnym położeniu. Wielu członków postępowej burżuazji rosyjskiej znalazło się w tej pułapce. Nie lubili caratu, nienawidzili tyranii, byli przeciwko ciemnej i gnębielskiej Cerkwi, a jednocześnie uważali rewolucyjnych radykałów za ludzi gwałtownych, bezwzględnych, fanatycznych i pozbawionych skrupułów. Mieli swoje ideały, ale żadnej wyraźnej polityki...

A jeśli chodzi o sowiecką rewolucję, to w dużej mierze zawdzięcza swój sukces geniuszowi Lenina, człowieka czynu. Gdyby Lenina przejechał pociąg, gdyby nie zjawił się w 1917 roku, to wątpię, by Trocki, Stalin, Kamieniew czy Zinowiew mogli skutecznie doprowadzić rewolucję do zwycięstwa. Nie wiem, co by się stało. Mogła być wojna domowa, z której wyszedłby zwycięsko jakiś ustrój prawicowy lub lewicowy, ale na pewno nie leninizm.

Gdyby Churchill nie żył w 1940 roku, to inwazja niemiecka na Wielką Brytanię mogła się udać, przynajmniej na krótką metę, i wszystko potoczyłoby się inaczej. Zarzuca mi się niekiedy, że wyolbrzymiam rolę jednostek w historii. Nie sądzę, żeby tak było. Wydaje mi się oczywiste, że gdyby Hitlerowi nie przyszło do głowy zaatakować Rosję, sytuacja w Europie wyglądałaby dziś zupełnie inaczej. Rzecz jasna, ludzie nie mogą nic zdziałać przeciwko warunkom, których nie są w stanie zmienić, rzecz jasna, muszą istnieć odpowiednie warunki umożliwiające im działanie, a wówczas rolę może odegrać ten, kto w jakiś sposób ogarnie, instynktem lub rozumem, główne czynniki wyznaczające sytuację i istniejące niezależnie od ludzkiej woli. Wszystko to prawda. Ale indywidualny czyn pojedynczego człowieka albo grupy ludzi może spowodować wybuch. Przy czym ludzie ci wcale nie musieli zrobić tego, co zrobili; wówczas do wybuchu by nie doszło...

Większość współczesnych historyków, marksistów i niemarksistów, skłonna jest wierzyć w decydujący wpływ bezosobowych czynników w historii. To, co powiedziałem, uznają za pogląd naiwny, staroświecki i subiektywny, nie posiadający wartości naukowej. Niemniej ja uważam, że są w dziejach punkty zwrotne, kiedy

czyny pojedynczych osób, mających wolny wybór między taką czy inną alternatywą, mogą mieć daleko idące konsekwencje.

Czy jednak w dziejach Rosji, w jej kulturze i mentalności, nie było czegoś, co predysponowało ją raczej do marksizmu niż do liberalizmu?

Niezmiernie interesujące pytanie. Kiedy jakiś raczej prymitywny kraj wchodzi w kontakt z cywilizacją, którą uważa – i która sama siebie uważa – za wyższą, tak jak to było z Rosjanami w zetknięciu z Europą zachodnią, to ludzie oświeceni w tym kraju zdobywają pewną kulturalną samowiedzę i zadają sobie pytanie, czy rzeczywiście są tak barbarzyńscy, zacofani i nie wiedzący, czy rzeczywiście tkwią w nędzy i brudzie, jak sądzą tamci. Oczywiście trudno im się z tym pogodzić. I zaczynają się wtedy zastanawiać, co zrobić, żeby się podciągnąć. Zwykle zaczynają od naśladownictwa wyższej, obcej kultury, co w końcu doprowadza ich do tego, że gardzą sami sobą. Są dotknięci w swej dumie, odrzucają myśl, jakoby mieli być tak zdegradowani, za jakich się ich uważa. Podkreślają, że posiadają coś wyjątkowego i wartościowego, coś, czego inni nie mają ani nawet nie rozumieją. Mamy na to wiele przykładów. W XVIII wieku Niemcy odczuwali coś podobnego w stosunku do Francuzów. Francuzi ów okresie swej chwały patrzyli na Niemców z pogardą, jak na prowincjuszy żyjących poza granicami wysokiej kultury. Niemcy powiedzieli sobie na to, że choć Francuzi niewątpliwie górują nad nimi w sztuce, polityce, wojnie, umiejętności rządzenia, słowem w wielu w sferach, to przecież w końcu naprawdę liczy się jedynie życie wewnętrzne. A to mają oni, Niemcy. Najbardziej liczy się stosunek człowieka do Boga i do samego siebie. Francuzi są chytry, powierzchowni, zimni, materialistyczni, a przy tym ślepi, nieświadomi tego, co jedynie sprawia, że w ogóle warto żyć. Natomiast oni, Niemcy, gotowi są wszystko oddać za to jedno, co wszystkiemu nadaje wartość – za życie duchowe. Oto najwyższa forma cierpkich winogron: czego nie możemy mieć, tego mieć nie warto, posiadamy coś bardziej wartościowego – nasze poczucie boskości, nasze głębokie rozumienie, nasze życie wewnętrzne. Nie zepsuł nas ani nie zaślepił świat i rozkosze ciała, cywilizacja materialna.

Otóż w coś podobnego uwierzyli Rosjanie pod koniec XVIII wieku. Mieli poczucie niższości wobec Zachodu. A kiedy po wojnach napoleońskich weszli do Paryża, zdali sobie sprawę – w każdym razie dobrze urodzeni oficerowie, którzy w końcu byli elementem dominującym i kształtującym opinię w Rosji – zdali sobie sprawę, że zachodnia Europa boi się Rosji, a zarazem nią gardzi. Stało wienczas przed nimi pytanie: czegoż nam brak? co oni mają, czego my nie mamy? Prędzej czy później wszystkie kraje zacofane zadają sobie to pytanie, podczas gdy kraje rozwinięte nigdy.

Literaturę rosyjską XIX wieku nurtują te rosyjskie pytania: Skąd przychodzimy? Dokąd idziemy? Jaką mamy rolę, jaką misję w historii? Co nas gnębi? Kim mamy być? Kim mamy się stać? To są owe słynne rosyjskie „przeklęte problemy”: w jakim kierunku musimy, możemy i powinniśmy iść? Czy kiedykolwiek upodobnimy się do Zachodu? Czy mamy do tego dążyć? Czyż nie posiadamy czegoś najcenniejszego, czego oni nie mają? Czyż nie przewyższamy ich duchowo i nie powinniśmy tej naszej wyższości zachować? Czy nie należy, jak podpowiadają słowianofile, odciąć się od złych, świeckich wpływów Zachodu? A może przeciwnie, jak twierdzą okcydentaliści, prawda leży w nauce, oświeceniu, postępie materialnym, w organizacji, wolności, ideach demokratycznych, w Johnie Stuarcie Millu? Czy tego nam brak i tego powinniśmy szukać? A jeśli tak, to jaką drogą? – Wszystko to jest typowe dla rosyjskich pisarzy i myślicieli. Jane Austen i Dickens nie pytali, gdzie jest miejsce Anglii. Stendhal, Balzac, a nawet Hugo nie pytali, jaką misję ma Francja. Kant i Goethe nie pytali, którędy powinny iść Niemcy. Używali pojęć ogólnych, mówili o istotach ludzkich jako takich. Natomiast literatura rosyjska zaprzętnięta jest niemal narcystycznie samą sobą i przyszłością Rosji.

To samo odnosi się w ogóle do wszystkich krajów zacofanych, do współczesnych krajów Afryki i Azji, a także niektórych krajów Ameryki Łacińskiej, gdzie ludzie mają to poczucie zacofania, które jedni próbują przemienić w cnotę, a inni się go wstydzą. Rosjanom dodawała otuchy wiara w postęp, w obiektywne fazy historii. Mówili sobie: nauczono nas – Herder, Hegel, Comte i inni mistrzowie nas nauczili – że historia zmierza w określonym kierunku. Jesi pewna drabina postępu dla wszystkich ludzi. Gdzie stoi-

my na tej uniwersalnej drabinie, na którą wszystkie narody muszą się wspiąć? Mówili jak ludzie, którzy pytają: czy znajdujemy się na trzydziestym drugim szczeblu drabiny historii, czy dopiero na siedemnastym? A jeśli tylko na siedemnastym i chcemy znaleźć się na trzydziestym drugim – jak Anglia czy Niemcy – to ile czasu nam to zajmie? Czy kiedykolwiek tam dotrzemy? Czy możemy przeskoczyć kilka stopni naraz?

Historycyzm stał się obsesją Rosjan. Profesorowie historii wygłaszali na ten temat wykłady, zwłaszcza okcydentaliści, którzy próbowali wyjaśnić, jak stopniowo dokonał się postęp na Zachodzie i jak Rosja, wbrew pozorom, także wspina się po tej samej uniwersalnej drabinie. Dawało to Rosjanom pewne powody do optymizmu: nie zawsze będziemy tkwić w obecnym położeniu, w brudzie, nędzy, ucisku i braku poszanowania praw człowieka. Któregoś dnia my też podniesiemy się. Któregoś dnia i na naszej ulicy zaświeci słońce.

Kiedy ta sprawa postępu zaczęła Rosjan nurtować? Przecież nie z bolszewikami...

To zaczęło się o wiele wcześniej. Aleksander Hercen, który w latach czterdziestych XIX wieku był osiemnastolatkiem, zastanawiał się na przykład, jaki szczebel osiągnęła Rosja, choć w końcu to odrzucił, w końcu stwierdził, że „Historia nie ma libretta”. Bakunin również nie sądził, by historia miała libretto. Ale inni myśliciele z pewnością zakładali, że istnieje jakiś ład. Granowski, słynny profesor Uniwersytetu Moskiewskiego, uważał, że istnieją obiektywne serie faz rozwoju, nie jakiś jeden określony porządek, lecz jednak porządek. Tak samo starszy Solowiew, historyk. Obaj próbowali wyjaśnić, w pojęciach ogólnych, co to jest. Wraz z zanikiem wiary prawosławnej wśród ludzi wykształconych, zbawieniu zaczęto szukać w Historii przez duże „H”. Odrutką na niewiarę w możliwość skutecznego przeciwstawienia się miażdżącemu systemowi politycznemu, panowaniu niesprawiedliwości i nędzy, było czepianie się nadziei na obiektywny ruch historii, etap, jakie wszystkie społeczeństwa nieuchronnie muszą przejść. Dla ilustracji podam taki oto przykład: Czernyszewski, który był populistą, powiada (a przed nim mówił tak Hercen, a jeszcze

wcześniej Czaadajew), że my, Rosjanie, kroczyliśmy tą samą drogą co Zachód, ale może nie musimy przejść przez piekło rewolucji przemysłowej, może możemy skorzystać z osiągnięć rozwoju przemysłowego Zachodu, nie przechodząc przez ten straszliwy tunel, jaki Zachód musiał przejść, może skorzystawszy bardziej lub mniej bezboleśnie z owoców zachodniego postępu, gotowi będziemy kroczyć ramię w ramię z Zachodem do postępowego, promiennego jutra.

W XIX wieku mamy bardzo typowy spór między neojakobinem Tkaczowem a ewolucjonistą i populistą Ławrowem, który pozostał pod wpływem Marksa. Tkaczow mówił: musimy zrobić rewolucję teraz, musimy zrobić pucz. Chłopi to klasa reakcyjna i będą stawiać opór rewolucyjnym zmianom, toteż musimy zrobić rewolucję dla nich, ale bez nich. Jeśli tego nie zrobimy, jeśli będziemy czekać, aż większość stanie za nami, to w Rosji zdarzy się to, co zdarzyło się na Zachodzie – stopniowe *embourgeoisement*. Skąd wylonią się rewolucyjne kadry? Śpośród sfrustrowanych lekarzy, prawników, specjalistów rolników, którym nie została dana szansa rozwinięcia swoich zdolności. Gdyby rząd carski był choć trochę mądry, to zrobiłby to, co Zachód i otworzył przed tymi ludźmi możliwości. Gdyby naukowcy mieli laboratoria, lekarze możliwości prowadzenia badań i szpitale, gdyby inżynierowie mogli do upojenia budować tamy, drogi i mosty, gdyby specjaliści od rolnictwa mogli wykorzystać swe talenty, to przestaliby być rewolucjonistami, ich protest by zamarł i stalibyśmy się czymś w rodzaju kapitalistycznej III Republiki we Francji. A to byłoby zdradą prawdziwych ideałów człowieka – równości, sprawiedliwości społecznej, wyzwolenia przez ludzi pracy.

Na co Ławrow odpowiadał: jeśli narzucimy nasze rządy siłą, znajdziemy się w sytuacji, jaka panowała w okresie Terroru w czasie Wielkiej Rewolucji Francuskiej, a którą stworzyła konieczność stawienia czoła kontrrewolucji. Jeśli pucz nam się uda, to zmuszeni stłumić opór naszych wrogów – większości – zmilitaryzujemy się sami i nieuchronnie sami staniemy się gnębiicielami i tyranami. Jest bowiem jasne, że jedyną skuteczną bronią przeciw kontrrewolucjonistom jest dyktatura, bez niej rewolucja się załamie. Ale od metod dyktatorskich bardzo trudno później odejść. Nowa elita będzie próbowała zainstalować się na stałe, co w kon-

sekwencji doprowadzi do zastąpienia jednego jarzma drugim. Jest tylko jedno wyjście: wychować klasy pracujące i inteligencję tak, by zrozumiały swe obiektywne miejsce w historii; dopóki nie zmieni się wychowania, umysłów i poglądów ludzi, dopóty nie ma co marzyć o stworzeniu demokratycznego społeczeństwa. Narzucenie nowych porządków narodowi, który nie rozumie, dlaczego tak się dzieje, musi prowadzić do masowego sprzeciwu, a w końcu do despotyzmu.

Wspominam o tym tylko po to, by pokazać, że spór między „pracyzmem” a ewolucjonizmem był prowadzony na gruncie historii. Tkaczow powoływał się na Wielką Rewolucję Francuską, Ławrow na rewolucję burżuazyjną, na rewolucje przemysłowe w Anglii i Francji i wyniki w nich reżymy burżuazyjne. Ludzie tak zaczadzeni ideą obiektywnego marszu historii, jak byli niektórzy Rosjanie, tworzą bardzo podatną glebę dla marksizmu. Toteż kiedy marksizm trafił do Rosji, opinia była gotowa na jego przyjęcie, a w każdym razie część inteligencji była gotowa i uwierzyła w nią, uwierzyła namiętnie, bo cóż innego w rosyjskich warunkach mogło przynieść zbawienie?

Wydaje mi się, że Rosjanie mają większą zdolność wiary w idee niż ludzie Zachodu. Na Zachodzie wiele idei krąży w tym samym czasie i ten amalgamat tworzy to, co nazywamy opinią publiczną. W Paryżu w 1948 roku i przedtem szereg ideologii kolidowało ze sobą, pokrywało się częściowo lub stapiało w jedno. Żadna nie zyskała pełnego posłuchu, żadna nie stała się obsesją ani nie zdominowała pozostałych. W Rosji istniała ideologiczna próżnia i dlatego każda idea zasiana na podatnym gruncie w braku konkurencji mogła stać się bardzo potężna. Nic tak nie zmienia idei, jak traktowanie ich poważnie.

Czy ich pasją były idee czy ideologie?

Nie bardzo pasjonowali się ideami nieideologicznymi. Intellekualiści nie interesowali się specjalnie ideami chemicznymi czy fizycznymi, owszem, trochę, ale nie obsesyjnie. Oni chcieli wiedzieć, jak żyć, jak po ludzku zorganizować swoje życie. Chcieli wiedzieć, jak stworzyć przyzwoite społeczeństwo. Wszystkie powieści Turgieniewa są tym przepojone – jego bohaterowie

myślą o równości, o wolności, wolności jednostki i grup, szukają sprawiedliwości społecznej, wierzą w postęp. Otóż są to kwestie etyczne, społeczne, przede wszystkim ideologiczne.

Kwestie ideologiczne prowadzą nas do wartości. Wartości są rozmaite i nielato je pogodzić. Ale w krajach Ameryki Łacińskiej sądzi się na ogół coś zupełnie innego. Równość rozumie się często jako coś w rodzaju „ryglu wartości”, w którym zawierają się, a w każdym razie powinny zawierać się, wszystkie inne. Czy mógłby pan coś powiedzieć o napięciach między wartościami, w szczególności między wolnością a równością?

„Jak panu wiadomo, sądzę – a jak widzę, niewielu ludzi piszących o kwestiach politycznych i społecznych sądzi podobnie – że najwyższe wartości, do których dążą ludzie, nie zawsze są takie same. W dziejach zachodzą zmiany, ale z grubsza biorąc ludzie dążą w rozmaity sposób do pewnych podstawowych celów. Wszyscy ludzie cenią odwagę. Większość ceni mądrość. Wszyscy szukają choćby odrobiny wolności osobistej – może nie tak namiętnie, jak twierdzą niektórzy myśliciele, ale pragną uwolnić się z kajdanów. Wszyscy jakoś szukają szczęścia, świadomie czy nieświadomie. Niektórzy chcą wiedzy, niektórzy sprawiedliwości, władzy, racjonalnej organizacji. Jedni pragną pełnej samorealizacji, wykorzystania swych zdolności. Drudzy najbardziej nienawidzą swej zależności, materialnej bądź duchowej. Niektóre z tych wartości wydają mi się wartościami ostatecznymi, to znaczy nie są one jedynie środkiem do osiągnięcia innych wartości. Niektóre wydają się nie do pogodzenia ze sobą. Klasyczna wiara jest taka, że tylko wskutek naszej ignorancji sądzimy, iż wartości ostateczne ze sobą kolidują: nie umiemy zrealizować ich wszystkich, ponieważ nie rozumiemy samych siebie, nie rozumiemy natury. Gdybyśmy byli wszechwiedzący, a w każdym razie wiedzieli dostatecznie dużo, to moglibyśmy wymyśleć – a kto wie, może i stworzyć – harmonijne społeczeństwo, w którym wszystkie te wartości szczęśliwie by się urzeczywistniły. Osobiście w to nie wierzę.

Nie wiem, jak można pogodzić pełną indywidualną wolność – co z pewnością było i jest ludzkim ideałem – z, powiedzmy,

niczym nie limitowaną społeczną równością. Nie muszę się rozwodzić nad tym truizmem: gdyby silnym i zdolnym dano nieograniczoną wolność, to mogliby zniszczyć słabych i głupich; a skoro trzeba chronić słabych przed silnymi, to silnych należy kontrolować i ograniczać ich swobodę. A dalej: nadmiar wiedzy może być nie do pogodzenia z maksymalnym szczęściem – może rodzić rozpacz i cierpienie; istnieje konflikt między spontanicznością a skutecznością, chrześcijańską pokorą a „pogańskim zadufaniem” – że użyję sformułowania Milla, jeśli się nie mylę – między pewnymi formami twórczości a doskonałą racjonalnością. I tak dalej.

Innymi słowy, jeśli mamy wartości, które się ze sobą pogodzić nie dają – a te nie dają – to musimy wybierać albo pójść na kompromis między dwiema (albo trzema lub czterema) wartościami, tak by zapobiec nadmiernej erozji jednej przez drugą. Żeby szczupak nie zeżuł karpia, trzeba chronić karpia. Ale też nie wolno wytepić szczupaków, i one mają prawo do życia. Stąd prawa, reguły, kontrola: przeszkody dla pełnej wolności. To są banalne prawdy i nie mówię nic nowego, kiedy tłumaczę, jak niezbędnym jest człowiekowi jakiś kompromis między konfliktowymi celami, kompromis, który ustawicznie się załamuje i który stale trzeba budować na nowo. To może być bardzo nużące zajęcie, ale na to nas skazuje ludzkie życie z jego rozmaitymi potrzebami: nie możemy zmienić naszej kondycji. Ostre poczucie rzeczywistości niekoniecznie daje się pogodzić z pewnymi formami geniuszu, powiedzmy, z matematyczną wyobraźnią. A przecież cenimy i jedno, i drugie.

Czy wiedza jest bolesna?

Jeśli uznać, że wiedza zawsze wyzwała, to nie jest. Ale ja nie uważam, żeby tak było.

Spinoza tak sądził...

A także Freud i wielu wybitnych racjonalistycznych myślicieli – zresztą sporo w tym prawdy. Ale jeśli ktoś jest natchnionym artystą, to jego sztuka w pewnej mierze może się karmić iluzją albo szczególną, w jakiś sposób nienormalną wizją, albo jakąś psycho-

logiczną raną. Jeśli rana się zagoi, to może będzie szczęśliwszy, ale przestanie szukać samorealizacji – czy zbawienia – w sztuce, tak jak to było wcześniej. Oczywiście nie każdy artysta jest nerwicowcem. Są artyści zdrowi i szczęśliwi. Haydn, Goethe, Mendelssohn, powiedziałbym że również Szekspir, nie byli ludźmi głęboko zranionymi czy ofiarami złudzeń. Łatwo sobie wyobrażam artystów nie będących w najmniejszym stopniu neurotykami. Niemniej istnieje sztuka, która tryska z ran: Dostojewski, Kafka, Pascal, Rousseau to skrajne przykłady tego dobrze znanego typu.

Nawet Tolstoj...

Tak, również Tolstoj. Gdyby kompetentny psychoanalityk leczył kogoś z nich, to nie wiem, co by to dało w literaturze. Albo gdyby Beethoven czy Mozart przeszli w młodości przez psychoanalizę... Wiedza nie zawsze rozszerza naszą wolność. Jeśli wiesz, że masz raka, to ta wiedza jest pożyteczna, ale cię nie wyzwala. Realistycznie próbujesz zrobić, co się da, ale może byłbyś szczęśliwszy, gdybyś nie wiedział. Nicowiedza może być błogosławieństwem. Nie mam nic przeciwko wiedzy czy szczęściu, chcę tylko pokazać, że nie wszystkie wartości dają się ze sobą pogodzić.

Nie twierdzą też bynajmniej, że wszystkie wartości najwyższe ze sobą kolidują. Tak nie jest. Ale często stajemy przed dylematem i pojawia się pytanie, co wtedy robić. To się zdarza każdego dnia... Młodym ludziom niezbyt trafia do przekonania idealnie nielatwej równowagi, choć to jedyne, co pozwala uniknąć większych cierpień i niesprawiedliwości. Jak dalece karać, jak dalece przebaczać? Kto ma decydować? Niektórzy twierdzą, że w świecie doskonałym niepotrzebne będzie przebaczenie. Może. Ale w takim razie nie możemy sobie nawet wyobrazić, jaki ten świat miałby być.

Mówił pan o konfliktach wartości na gruncie socjologicznym. Ale są ludzie, którzy jakby ucieleśniają te rozmaite napięcia... Wspomnieliśmy o Tolstoj. Czy rzeczywiście utożsamiał się on z absolutnymi zasadami, które głosił, czy – by tak rzec – iworzył z nimi jedno?

Opowiem panu historię, z której sam pan może wyciągnąć wnioski. Pod koniec 1904 roku Tolstoj uprawiał w Moskwie propagandę antywojenną. Działo się to w czasie wojny rosyjsko-japońskiej, której naturalnie nienawidził. Otaczali go wyznawcy, pacyfiści. Wyobrażam sobie, że pisali pamflety i listy protestacyjne przeciwko potwornościom wojny.

Któregoś dnia do pokoju Tolstoja ktoś wszedł i powiedział (cytuję z pamięci, tę historię znalazłem we wspomnieniach któregoś z jego dzieci): „Lwie Nikolajewiczu, Port Artur poddał się. – Tolstoj zerwał się na równe nogi: Zu moich czasów nigdy by się to zdarzyło – Co by się nie zdarzyło, Lwie Nikolajewiczu? – Walczylibyśmy do upadłego, nigdy byśmy się nie poddali”. Taka była jego instynktowna reakcja. Tolstoj z upodobaniem przyglądał się zgrabnym oficerom w mundurach. Cudownie pisał o bitwach i o wojnie. Jego przekonania czasem kłóciły się z jego nawykami, upodobaniami, najgłębszymi instyktami: próbował je zmienić, ale bez powodzenia.

Inną, równie odkrywczą historię opowiedział mi pewien radziecki naukowiec, którego wuj był uczniem Tolstoja i czasami gościł u niego na wsi. Tolstoj miał zwyczaj czytać listy późnym popołudniem, kiedy przychodziła poczta, i dyktować odpowiedzi, zwykle na dyktafonie, który dostał od Edisona. Listy podawał mu na srebrnej tacy lokaj w białych rękawiczkach. Któregoś dnia przyniósł je nie na tacy, ale w ręku. Tolstoj odezwał się surowo: „Gdzie taca? Do tego przecież służy” i kazał lokajowi wrócić po nią. Był i pozostał rosyjskim arystokratą. Prawda, że arystokratą pełnym poczucia winy: usiłował żyć jak jego chłopci – jadł prostą strawę, nosił chlopską koszulę, orał plugiem – ale to było na nie. Prawdę o tym powiedział Turgieniew w swojej ostatniej powieści *Nowizna*, której bohater, młody idealista z szlacheckiej rodziny, zadaje się z rewolucjonistami i sympatyzuje z ich idealami i sposobem życia. Robi co może, żeby żyć jak oni, ale mu się to nie udaje. W końcu mówi: „Nie mogę stać się prostszym niż jestem” i popełnia samobójstwo...

Tolstoj przeżywał głęboki konflikt wewnętrzny, którego mimo wszystkich pozorów, słów i pism nigdy nie przewyciężył, konflikt między osobowością a przekonaniami; a że był jednym z najmądrzejszych ludzi, jacy kiedykolwiek żyli na świecie, to zdawał sobie z tego sprawę i straszliwie cierpiał.

Ostatnie pytanie: co pan myśli o szerzeniu się w Trzecim Świecie (a nawet bliżej, w Północnej Irlandii) mentalności totalitarnej? Jaką rolę powinien odgrywać, pańskim zdaniem, liberalny intelekt ualista w zetknięciu z tak ostrą ideologiczną polaryzacją?

Myślę, że po kimś, kto wierzy, iż jest tylko jedna prawda i jedna słuszna droga, która do niej prowadzi, tylko jedno rozwiązanie problemów, jakie pojawiają się, rozwiązanie, które trzeba za wszelką cenę wprowadzić w praktykę, gdyż tylko ono jedno zbawi jego klasę, kraj, Kościół, naród, społeczeństwo, partię – ludzkość w ogóle – że po każdym, kto tak myśli, można spodziewać się, że jeśli zdobędzie władzę, to stworzy sytuację, w której krew poleje się, krew łych, co wątpią albo mu się sprzeciwiają, co zaprzeczają możliwość zbawienia. Ludzie tego pokroju twierdzą, że ci, którzy nie obierają słusznej drogi, są albo źli, albo głupi. I w jednym, i w drugim wypadku trzeba im się sprzeciwić. A jeśli są potężni, trzeba im się sprzeciwić siłą. To wydaje mi się jednym z najbardziej zgubnych przekonań, jakie człowiek w ogóle może mieć: nie tylko pewność, że on i tylko on ma słuszość, ale niezdolność zrozumienia, że istnieją wartości konfliktowe, z których każda sama w sobie zasługuje na realizację, a których wszystkich naraz zrealizować niepodobna. Moim ulubionym aforyzmem są słowa Kanta: „Z pokrzywionego drzewa człowieczeństwa nic prostego nie da się wycisnąć”. Ci, co wierzą, że to prawda i stosują się do niej, rzadko zdobywają popularność po tej czy innej stronie w ludzkich konfliktach. Ale tylko dzięki nim nasze życie jest do zniszczenia.

Przełożyła Maria Li

Isalah Berlin

NAKŁADEM

ANEKSU

Irena Ratuszyńska

MÓJ TY KRAJU ZNIENAWIDZONY

Wiersze w wyborze i tłumaczeniu z rosyjskiego

WIKTORA WOROSZYLSKIEGO

Ilustracje TERESY LEWANDOWSKIEJ

Str. 72

Cena: £4,00 – \$8,00

Andrzej Ler

WOKÓŁ REWOLUCJI FRANCUSKIEJ

1.

Jeszcze nie tak dawno temu, bo u schyłku lat siedemdziesiątych, wydawało się że „Rewolucja Francuska dobiegła kresu”, zgodnie z ówczesnym zawołaniem François Fureta.

Istotnie, wydawało się, że odprawiane nad nią msze ideowe różnych kościołów nie tylko nie mają znaczenia, ale są wręcz mszami za dusze zmarłych; częścią odziedziczonego rytuału, który nakazuje takie strzeliste akty wiary w rewolucyjną przeszłość, teraźniejszość i przyszłość za pomocą gigantycznego języka zakłęb Rewolucji Francuskiej bądź jej przeciwników.

Furet głośno wówczas powiedział, że król jest nagi. Że ten czas schyłku osiemnastego wieku jest taką samą częścią profesjonalnego badania historycznego jak każdy inny i „dopisywanie mu gęby” jest albo polityczną szarlatanerią, albo wysprzedażą gestów ideowych i to tym bardziej nagannych im bardziej zmienił się świat.

I oto zbliża się dwusetna rocznica zdobycia Bastylii, a Francja jednak wpada w rewolucyjny i kontrrewolucyjny trans. W rodzaj amoku. Z dawno niewidzianym tu natężeniem wylatują w powie-

trze confetti z wszystkimi zbitkami pojęciowymi, gromadzonymi przez dwa wieki. Znowu jest święto i znowu jest kontrparada.

Czy to oznacza, że Furet mylił się? Czy to znaczy, że Rewolucja Francuska nadal żyje, tylko czasami bywa senna, a racjonałiści biorą jej sen za wieczny?

Odpowiedź jest w istocie trudna, ale zanim wdam się w rozważania, od razu powiem, że w moim przekonaniu diagnoza Fureta zachowuje swoją ważność. W błąd natomiast wprowadzić mogła jego wiara, iż współczesna nieprzydatność hasel Rewolucji prowadzi automatycznie do rezygnacji z samego dyskursu, który pozwala na stosunkowo proste wyłożenie racji politycznych i ideowych w sposób mocno zakorzeniony w europejskiej tradycji, bo przez podstawione racje powszechnie znanego dramatu.

Racjonałiści też miewają swoje wiary, w które nie wierzą z kolei mistycy odzyskujący w momencie konfrontacji poczucie racjonalizmu.

Proces identyfikacji Rewolucji ze światopoglądem trwa przecież nie od dzisiaj. Tak czynili politycy latynoamerykańscy przez cały wiek dziewiętnasty i tak postępowali również politycy rosyjscy nie tylko przed Rewolucją 1917 r., ale i po niej. Tak zachowywali się kontrrewolucjoniści. Różnica polega jedynie na znacznej degradacji potrzeb i celów. Dzisiaj, zwłaszcza we Francji, jest to połączenie obchodów ku czci idei założycielskich Republiki oraz okazja dla polityków wypełnionych tanią retoryką.

Rzecz nie jest zresztą nieciekawa ani też prosta. Ukazuje przede wszystkim, że wcale nie tak prosto być rewolucjonistą u schyłku dwudziestego wieku. Pokazuje, że tak naprawdę, mimo znacznego przecież odejścia zawodowców od mistycznej koncepcji uprawiania dziejów Rewolucji Francuskiej, to właśnie mistyka rządzi nadal powszechnymi odczuciami. Mało tego – że potrafi zawrzeć w sobie elementy w gruncie rzeczy racjonalne.

Oznacza to, że schlebając tej populistycznej mistyce, politycy francuscy wybierają drogę najłatwiejszą. Co się zresztą dziwić; co ich może obchodzić wysiłek E. Labrousse'a, który ukazał skomplikowane uwarunkowania koniunktury ekonomicznej w czasie dziesięcioleci obejmujących także Rewolucję Francuską i pchnął tym samym badania na nowe tory?

Co ich obchodzą badania nad świętecznością albo wyniki prac nad alfabetyzacją? Co ich wreszcie obchodzi próba Fureta i

Richeta, kiedy ci dwaj autorzy spróbowali „odideologizować” fenomen rewolucyjny i spojrzeć nań przez pryzmat nie elektoralny?

W ślad za mitologią rewolucji podąża nieustannie dydaktyka – rewolucyjna bądź kontrrewolucyjna – a za nią wyniki wyborcze: te dosłowne i te przenośne, ogólnoideowe.

I trzeba w tym miejscu wyraźnie powiedzieć, że w pewnym sensie, przykre to, ale tak chyba jest, walka o racjonalne potraktowanie Rewolucji Francuskiej jest walką z wiatrakami, bo właśnie ideowe młyny wyborcze determinowały przez całe dziesięciolecia ogłaszane syntezy rewolucji. Pojęcie wyborów rozumiem na tyle szeroko, by się w owych opcjach zmieścili i Michelet i Thiers, Taine i Aulard, a także Malliez i Gaxotte, Soboul i Chaunu.

Nie znaczy to przecież, że nie prowadzili oni prac badawczych, które rozszerzały wiedzę kolejnych pokoleń. Oznacza to jednak przede wszystkim, że komentarze dyktowane im były przez opcje ideowe i polityczne i że nie ma w zasadzie, w Europie przynajmniej, takiej opcji, której rodowód nie sięgałby czasów Rewolucji.

Ale są też inne możliwości rozważań na ten temat i należy o nich pamiętać. Być może one lepiej tłumaczą fenomen. W Europie wschodniej, gdzie przede wszystkim za sprawą historyków radzieckich Rewolucja Francuska została niemal przypisana do pradziejów państwowości radzieckiej i partii bolszewickiej, analizowanie choćby mechanizmu terroru schyłku osiemnastego wieku staje się w logiczny sposób dлубaniem w terrorze, na przykład stalinowskim. Oczywiście i to prowadzi na pogranicze mistycznego traktowania robespierryzmu, komitetów ocalenia i bezpieczeństwa. Ale zarazem uruchamia niekiedy mechanizmy demistyfikacyjne, a zatem racjonalne. No, na polu racjonalne.

Nie jest to całkowicie bezpieczny proceder, bo grozi klasycznym układem, kiedy to jeden mistycyzm zwalczany jest przez drugi. Trzeba więc stwierdzić, że w tych krajach Rewolucja Francuska jeszcze żyje. Ona żyje, bo na zasadzie pozytywu lub negatywu żyje jej słowo i odwoływanie się do jej czynu. A od zmian społecznych minęło niewiele lat. Wystarczy ją pokazać inaczej niż to czyni marksistowsko-leninowsko-stalinowski schemat, a ona już staje się żywym memento i bodźcem do myślenia. Choć się ją zatem

zapewne w jakiś sposób takimi interpretacjami pośrednio mistyfikuje, to jednak z kolei demistyfikuje się bezpośrednio inne opisy historyczne.

Słowa te nie oznaczają ani potępienia, ani też alibi, są one przede wszystkim rodzajem diagnozy choroby.

Nieszczęście największe przy uprawianiu poletka Rewolucji Francuskiej polega w istocie na niemożności ucieczki przed ideologią. Można próbować, ale ona sama dogania, a nigdy dokładnie nie wiadomo, jak się konkretnie nazywa, z jakich jest rodziców.

Doświadczył tego w sposób chyba najbardziej przejmujący, jeszcze w wieku dziewiętnastym, Taine, który gdy został bezmyślnie okrzyknięty jako konserwatysta i kontrrewolucjonista przez mistyfikujących rewolucję rudykałów, wpadł rzeczywiście w sidła niezupełnie chcianych sprzymierzeńców.

Doświadczył tej przyjemności, w innym wprawdzie warlancie, Cochin i doświadcza, do pewnego stopnia, Furet. Można sobie bowiem precyzyjnie wybrać nieprzyjaciół. Z przyjaciółmi, a właściwie ze sprzymierzeńcami, bywa już rozmaicie.

Nieszczęście francuskiej historiografii rewolucyjnej polega na tym, że nie tylko nie potrafi wyzwolić się z dziewiętnastowiecznych schematów ideowych, ale że ma nadto do czynienia, od czasu Frontu Ludowego, z pewnego typu uzurpacją, która umożliwiła historiografii komunistycznej wdarcie się do obozu tradycyjnej historiografii republikańskiej pod sztandarami nie tyle nawet marksizmu, ile francuskiej sekcji Kominternu. Mamy zatem od tego czasu do czynienia z inwazją monopolistycznego doktrynerstwa i brakiem wrażliwości na próby myślenia obiektywizującego z jednej strony, z drugiej zaś postrzegamy umiarkowaną, lecz jednak aprobatę owego doktrynerstwa, byle się ono mieściło w obozie republikańskim. Wygląda na to, jakbym przez sam fakt wyłączonego atakowania obozu lewicy, bronił pośrednio prawicy. Nic z tych rzeczy. Wydaje mi się wszakże, że po pierwsze, w obozie lewicowej historiografii dokonało się znacznie więcej zmian różnicujących, co stwarza więcej komplikacji, a po drugie lewica ma w tej chwili więcej obowiązków, w tym intelektualnych.

Sfera ideowo niczyja jest przez lewicę zazwyczaj uważana za prawicową. Lewicowość wymaga nadal deklaratywności, dzisiaj

Zresztą w znacznie większym stopniu niż prawicowość. Ale to jest bliskość lewicy, a nie siła prawicy.

Zresztą, przypatrzmy się konkretnym przykładom. I zapomnijmy na chwilę, że był taki wybitny znawca Rewolucji Francuskiej, który dostawał szału, gdy rozmówca nie lewitował na myśl o Robespierze. Nie chodzi mi o konkretną osobę, a o możliwość stwierdzenia, że utrzymywanie stereotypów kontrrewolucyjnych niewiele zmienia w obrazie całościowym, natomiast przechowywanie skamieliny wizji lewicowej niewątpliwie wymowę Rewolucji zuboża.

Zbliżające się dwóchsetcie powinno być stosowną okazją do wyjścia z okopów Św. Trójcy i dokonania weryfikacji, choćby w szablonie, jeśli szablon musi się ostać. Bo na to, by zrezygnowano w ogóle z szablonu – nadziei nie ma.

Zresztą. Nie inaczej, w zasadzie, rzecz się miała przy obchodach stulecia.

2.

Powstanie III Republiki spowodowało, po raz pierwszy od zakończenia Rewolucji 1789-1794 r., iż do władzy doszli przedstawiciele dziedzictwa tamtych lat, niosący zmistyfikowany, nierealnie nadludzki obraz I Republiki. Była to zresztą największa dla nich groźba. Jak słusznie bowiem zauważył Tocqueville, wielkie rewolucje, które zwyciężają, usuwają jednocześnie przyczyny sprawcze ich własnego wybuchu, lecz wtedy właśnie, dzięki własnemu sukcesowi przestają być zrozumiałe.

III Republika nie ma łatwego życia, jest bowiem nieustannie atakowana przez prawicę, ale nie ulega wątpliwości, że począwszy od roku 1880 Francją rządzą republikanie. Bezpośrednią konsekwencją takiej sytuacji jest fakt, że jedynym kryterium podziału politycznego, ideologicznego i historiozoficznego staje się stosunek do dzieła roku 1789. Ale też i sytuacja społeczna jest zupełnie odmienna. Doktrynerzy Republiki nie mogą się połapać w nowych definicjach stanu trzeciego, który był swego czasu zwarty, a teraz wykazuje wszystkie symptomy rozbitcia: jak bowiem ma się klasa robotnicza do chłopstwa, a obydwie grupy do burżuazji? Im więcej na horyzoncie komplikacji, tym mniej się o tym mówi.

Nowe pytania, a zwłaszcza próby odpowiedzi, choćby Jaurès'a, rozbijają mity republikańskiej jedności.

Bowiem ten właśnie mit, funkcjonujący na prawach mitu bardziej już narodowego niż ideologicznego, stał się głównym wyznaniem wiary Republiki, a towarzyszyły mu intensywne przedsięwzięcia mające go utrwalić w sferze symboliki nawiązującej bezpośrednio do schyłku wieku XVIII. Powstaje republikańsko-narodowo-państwowa recepta na obowiązujące rytuały i ich znaczenia w wielu płaszczyznach życia publicznego.

I tak oto, wtedy dopiero 14 lipca staje się obowiązującym świętem państwowym. I tak oto, teraz dopiero państwo przystępuje do finalizowania reformy szkolnej w duchu roku II Republiki, a szkoła przejmuje na siebie podstawowe obowiązki propagandy historycznej. Wszystkiemu przyświeca stałe obecne wspomnienie Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela, która staje się odnowioną legitymacją Państwa. Zmierzch przekazu ustnego o minionej chwale zostaje zastąpiony obowiązkowym przejmowaniem rewolucyjnej instrukcji.

Począwszy zatem od roku 1880 zaczynają się już polityczno-ideologiczne przygotowania do obchodów stulecia Rewolucji. Mają one służyć przede wszystkim skrzyknięciu się wszystkich bezwarunkowych zwolenników Republiki. Mają też służyć temu, by idee republikańskie trafiły pod wszystkie strzechy. W całym kraju powstają kółka i stowarzyszenia, pracujące u podstaw nad propagacją republikańskich cnót i wartości, by wreszcie w 1888 r. połączyły się wszystkie w Stowarzyszenie Historii Rewolucji Francuskiej. Inicjatywy te były przede wszystkim dziełem radykalnej lewicy, która nie miała związanych rąk w przeciwieństwie do rządu, zajętego najpierw groźbą puczu ze strony generała Boulanger, później zaś szykowaniem światowej wystawy.

Przygotowania do obchodów stulecia spowodowały również intensyfikację badań naukowych nad dziejami rewolucji, które w minionych dziesięcioleciach poważnie osłabły. W 1885 r. Rada miejska Paryża powołała do życia katedrę historii Rewolucji Francuskiej w Sorbonie. Jej utworzenie stało się powodem do ożywionej dyskusji między prawicą i lewicą. Prawica uważała bowiem, iż niszczy się tym samym zasadę uniwersyteckiej neutralności; w jej oczach specjaliści od Rewolucji byli nie tyle obiektywnymi bada-

czami i le stronnictwami komentatorami i płatnymi sługami ideologii rewolucyjnej. Taki pogląd został wyrażony na łamach prawnicowego *Le Figaro*. Pierwszym szefem katedry został jeden z największych historyków rewolucji Alphonse Aulard i piastował tę funkcję przez ponad czterdzieści lat. W ten oto sposób Aulard stał się do pewnego stopnia oficjalnym rzecznikiem poglądów państwa na temat Rewolucji. Z punktu widzenia badań profesjonalnych powstała zupełnie nowa sytuacja, dlatego przede wszystkim, iż zbliżające się obchody stulecia dawały Aulardowi sposobność tworzenia w trybie przyspieszonym dużego zespołu badawczego. Zespół ten miał przede wszystkim przystąpić do zwalczania prawicowej mitologii na temat Rewolucji. Miał więc zadanie tyleż naukowe ile propagandowe, a ich realizacji sprzyjały trzy podstawowe czynniki: alians wysokich nastrojów republikańskich z pozytywistyczną wiarą w naukę, korzystna w związku z tym sytuacja finansowa, pozwalająca na gigantyczne prace wydawnicze (przystąpiono na zlecenie władz Paryża do edycji źródeł) oraz narastająca w miarę zbliżania się roku 1889 riposta historyków monarchistycznych wszelkiej maści. Obydwa obozy zwierały szeregi: jeden pod sztandarem trójkolorowym, drugi zaś pod białą lilią.

Biała lilia bowiem również szykuje się do obchodów, a właściwie do kontrobchodów. Patronem ich jest w istocie hrabia de Chambord, ale prawdziwy konflikt rozgrywa się na łamach *Revue de la Révolution française* oraz w *Société d'histoire contemporaine*. Pojawia się też próba ponownego uruchomienia, na prowincji, po stu latach, kajetów skarg, które tym razem miałyby się przeciwstawić republice, apoteozować zaś Dawny Porządek wraz z samym tylko rokiem 1789. Istotną rolę w owych kontrobchodach odgrywały ośrodki naukowe Kościoła katolickiego. Trzeba wszakże przyznać, że dyskusja była dość subtelna: kierownictwo Kościoła deklarowało bowiem swój dwoisty stosunek do dziedzictwa Rewolucji: Republika tak, jako forma rządów – nigdy zaś aprobaty dla Rewolucji. To prawda, że Republika była pochodną samej Rewolucji, ale w takim układzie aprobującym formę rządów, dyskusja stawała się trudna. Prawica atakowała zresztą przede wszystkim na tym terenie, który zapewniał jej relatywne przewagi. I tak oto, w roku 1892, w Paryżu uroczyście obcho-

dzono w kościele des Carmes, rocznicę masakr wrzesniowych. Z tego punktu widzenia minął już czas z pierwszej połowy wieku, kiedy to katolicycy liberalowie i socjaliści głosili, jak na przykład Baudrillart, iż dziedzictwa Rewolucji nie należy niszczyć, lecz je „ochrzcić”. W każdym razie w obrębie katolicyzmu środowiska demokratyczne, akceptujące spuściznę rewolucyjną, były w znacznej mniejszości.

Niezależnie jednak od walki ideowo-propagandowej, między obu obliczami Francji narastała też rywalizacja naukowa: szkoły Taine'a i Aularda zmagaly się w erudycyjnych pojedynkach, które nauce mogły wyjść tylko na korzyść. W dziedzinie demolo-wania mitów przodowała jednak monarchistyczna prowincja, opierając się na chrześcijańskim kanonie dobra i zła.

Po stronie republikańskiej mamy do czynienia z dwiema tendencjami. Pierwsza to jakby dziedzice liberalnego orleanizmu, zwani Oportunistami, tendencja druga to radykałowie. W dziedzinie badań naukowych oportunistom przewodzą Spuller i Avenel, pisujący głównie w piśmie Gambetty *La République française*. Radykałowie mają do dyspozycji organ Aularda *La Révolution française*. Główny nurt myślenia jest z grubsza taki: jesteśmy za zdrowym rozsądkiem w ocenianiu rewolucji, która wszakże jest godna podziwu.

Narasta zwolna rodzaj wzorca retrospektywnej oceny rewolucji. Składa się na nią mieszanka romantycznej wizji Micheleta, co do którego Aulard uważał, iż wszyscy francuscy uczniowie winni znać jego dzieło, co było spowodowane stworzeniem przezeń z rewolucji czegoś w rodzaju żywej legendy narodowej; w tej mieszance wiele było też z pozytywizmu, sporo było nastrojów patriotyczno-narodowych, a wszyscy egzegeci pospołu byli w zasadzie dantonistami.

Do Micheleta stosunkowo łatwo przychodziło złożyć akces nawet bardzo umiarkowanym zwolennikom rewolucji, a to ze względu na jego antyjacobinizm. Dlatego też, przede wszystkim ze względu na ten szczególny splot okoliczności, w 1889 r. parlament uchwala narodowe wydanie jego *Historii Rewolucji Francuskiej*. Tylko Michelet bowiem miał tyle roznachu i charyzmy, by można go było przeciwstawić ponurym refleksjom i wizjom Taine'a.

Wraz z owym natarciem republikańskich historyków do świadomości potocznej rok 1848 wkraczał na zasadzie najświeższego systemu odwołań w panteonie narodowej legendy i mitologii republikańsko-społecznej. Ale to właśnie dzięki, czy też raczej w związku z tymi zabiegami, sama natura badań nad dziejami Rewolucji stawała się w coraz większym stopniu abstrakcyjna, w filozoficznym rozumieniu pojęcia.

Rozpoczynała się zatem dyskusja nie tylko na temat rozmaitych wersji opisu, lecz na temat historiozofii rewolucji, dyskusja o rewolucyjnych wyborach, rodziło się z wolna myślenie o teorii rewolucji, o świecie jej idei. Wpływa na to, m.in. duch kantyżmu mocno obecny w świecie uniwersyteckim.

Rewolucja instytucjonalizowała się coraz wyraźniej. Stosunek do niej stawał się w coraz większym stopniu rodzajem świeckiej wiary, podążającej tropem luickiej mistyki z czasów samej rewolucji. Z każdego punktu widzenia Rewolucja stawała się wzorcem najwyższej próby: czy to ze względu na idealizm jej zasad czy to ze względu na skuteczność pragmatycznej polityki. Rewolucję wyłuskiwano z dziejów na zasadzie jednorazowego olśnienia geniuszu ludzkości.

Ten typ normy w myśleniu zapoczątkował interesujące badania biograficzne: wszak trzeba było ów geniusz rewolucji egzemplifikować losami geniuszy polityki. Dodać trzeba – polityki realistycznej. Republikańska historiografia bowiem mocno nacierała na cięciwę realizmu rewolucji, wysuwając na plan pierwszy formułę rewolucyjnych „okoliczności”. Teza zapoczątkowana przez Thiersa, lecz przejęta i rozwinięta przez Aularda głosiła, iż w Istocie Francja życzyła sobie rewolucji spokojnej i postępowej, lecz reakcja z królem na czele przez swój opór zmusiła siły rewolucji do działań gwałtownych i ryzykownych. Sorel, o tak odmiennych od Aularda poglądach, choć z tego samego obozu republikańskiego, głosił w *L'Europe et la Révolution française*, że instynkt narodowy kazał rewolucjonistom odkryć wielkie zamiary dawnych monarchów i sięgnąć po „granice naturalne” dla Francji.

Kategorie myślenia narodowego ostatniej ćwierci wieku sprzyjały rewolucyjnej egzaltacji i celebrze także w środowiskach w gruncie rzeczy dalekich od hasel społecznych i ideologicznych, na przykład roku 1793. Rewolucyjne spletało się z narodowym w

jedną całość czyniąc z Rewolucji Francuskiej lat 1789-1794 obwiązujący katechizm myślenia solidarystycznego, a patetycznego. Republikański wzorzec dopuszczał do polemik w obrębie generalnej akceptacji; poza nią nie było zbawienia.

Na największego z rewolucyjnych gigantów wyrastał Danton, pokonując całą potencjalną konkurencję; nikt tak bowiem jak on nie przyczynił się do politycznej organizacji zwycięstwa nad wrogiem zewnętrznym. By jednak doszło do owej niemal kanonizacji Dantona, rewolucjonisty-narodowca, trzeba go było przedtem zrehabilitować, by mógł się na powrót znieść w Rewolucji, która go była zgilotynowała. I tak oto Republika stawia swemu zbawcy dwa pomniki. W 1887 w Arcis-sur-Aube, zaś w 1891 roku w Paryżu. Danton staje się świeckim patronem państwa. Tylko on może doprowadzić do powstania republikańskiej jedności wśród wszystkich odłamów ideowych i politycznych. Był rewolucjonistą, lecz w ostatnich miesiącach życia opowiedział się za umiarkowaniem. Ocalił Republikę przed obcą okupacją, a jednocześnie pragnął by państwo stanęło ponad partiami, a państwo to miało być świeckie i światłe. Słowem Danton był samą republiką.

Pozostawały jednak plamy: zarzut korupcji i udział w rzeziach wrześnieowych. Zatem republikańscy historycy mają wyraźny i precyzyjny cel. Aulard zwłaszcza poświęca wiele swych erudycyjnych rozpraw analizie grzechów Dantona, analizie która ma prowadzić i doprowadza do rozgrzeszenia. A towarzyszy mu liczna rzesza historyków-popularyzatorów.

Kult Dantona to wszakże nie tylko jego cnoty republikańskie. To również próba automatycznego dyskredytowania Robespierre'a, doktrynera, zabójcy Dantona, twórcy kultu Istoty Najwyższej, zniechęconego nadto przez wszystkie środowiska klerykałne. To także odnalezienie patrona Republiki politycznej przeciw Robespierre'owi – twórcy Republiki społecznej, patronki dziełnastowiecznych socjalistów.

Na miejsce starego sporu między opcjami – 1789 roku czy też roku 1793 – wkracza spór między zwolennikami Dantona i Robespierre'a, a zatem spór między rokiem 1793 a 1794. Przeciwnicy „wywlekania rewolucyjnych brudów” głośno ostrzegają, każą zwracać szeregi, nie pozwalają dzielić włosa na czworo. Clémenteau, na przykład, wypowiada sławne zdanie: „Czy się to komu

podoba czy też nie, Rewolucja Francuska jest blokiem, z którego nie można wyjąć ani kawałka". Thibaudet natomiast powie: „Radylałem jest ten, kto w stosunku do Rewolucji Francuskiej zachowuje lojalność taką jaką rojalściści mieli wobec króla”. To już rodzaj mistyki.

Trzeba wszakże zrozumieć, że w obliczu koncentrującej się prawicy, na tle narastających nastrojów reakcyjno-klerykalnych, w kontekście licznych skandali, w które było zaplątanych wielu przywódców Republiki, a wreszcie w związku z próbą zamachu stanu gen. Boulangera i w związku z aferą Dreyfusa, zwolennicy Rewolucji zaczęli się nią częściowo posługiwać jako generalnym testem dotyczącym podstawowych wyborów ideowych i politycznych. Stulecie stanowiło apogeum konfliktu nie tylko rocznicowe, lecz i rzeczywiste.

3.

Obchody dwuchsetlecia usiłują tę sytuację przywrócić.

Jak dotychczas, tekstem który poszedł najdalej w wiązaniu problematyki historycznej ze współczesnymi kontrowersjami politycznymi, jest książka autorstwa Max Gallo *Lettre ouverte à Maximilien Robespierre sur les nouveaux muscadins* czyli *List otwarty do Maksymiliana Robespierre'a o nowych rojalistycznych panicykach*. Książka napisana z żarliwym wyznaniem wiary republikańsko-socjalistycznej podejmuje stanowczy i totalny atak na te środowiska, które w oczach autora uchodzą nie tylko za współcześnie reakcyjne, lecz i za takie, które w istocie stanowią przedłużenie kontrewolucji z okresu termidorańskiego.

W pewnym sensie sytuacja ta doskonale odzwierciedla sytuację w obliczu przygotowań do dwuchsetnej rocznicy Rewolucji Francuskiej. Symptomatyczne jest bowiem, że prócz normalnej sytuacji badawczej charakteryzuje ją w znacznej mierze posługiwanie się rewolucyjnymi figurami w celu skuteczniejszego rozgrywania współczesnej partii szachów politycznych. Odnosi się nawet niekiedy wrażenie, że najmniej chodzi w tym pojedynku o samą Rewolucję.

Spróbujmy najpierw odpowiedzieć na pytanie o przyczyny takiej sytuacji. Częściowo można na nie odpowiedzieć odwołując się do

sytuacji, jaka istniała w okresie obchodów stulecia. Z jedną, podstawową różnicą: ówczesne podziały odnosiły się w kontekście tradycji rewolucyjnej do pęknięcia między zwolennikami i przeciwnikami Republiki, do zwolenników i przeciwników konsekwencji rewolucji w życiu instytucjonalnym i ideologicznym kraju.

Dzisiaj taki podział byłby absurdalny. Za Republiką są wszyscy, ponadto hasło wywoławcze Republiki nie oznacza przystania do określonego obozu ideologicznego, tak jak to miało miejsce w wieku XIX. Podziały są zatem inne. Z grubsza rzecz ujmując, w dwudziestym wieku dokonano się wyraźne przesunięcie, które sprawiło, począwszy od ofensywy mathiezowskiej w dziedzinie badań historycznych do ofensywy partii komunistycznej we Francji kroczącej tropem bolszewików w dziedzinie polityczno-ideologicznej, że nie tyle ważne stały się dla lewicy hasła 1789 r., ile apele i ich realizacje z roku 1793 w sensie organizacji narodowej, a niekiedy wręcz z 1794 r. z punktu widzenia propozycji egalitarności wizji społeczeństwa. Jakobini stali się synonimem rewolucyjnej konsekwencji, zaś żyrondyści – wahań i zdrady, a właściwie gorzej, bo renegektwa. Dalej, w tej samej optyce, Danton, gloryfikowany przez cały wiek XIX z pozycji francuskiej wielkomocarstwa i pewnego liberalizmu pod koniec życia i działalności, ustąpił miejsca konsekwentnemu rewolucjonistom Robespierre'owi, symbolowi rewolucji społecznej. Na marginesie dodajmy, że póki trwała wojna domowa w Rosji, Danton był częściej przywoływany w sprawach racji państwowych, a Robespierre znalazł swe miejsce dopiero wówczas, gdy zatriumfowała idea rewolucji socjalnej. A właściwie obydwaj funkcjonowali od początku, lecz z innymi hasłami wywoławczymi.

Tak oto, sądzę, że w przeddzień obchodów dwusetnej rocznicy Rewolucji Francuskiej, punktem wyjścia dla działań lewicy politycznej jest przede wszystkim takie nawiązywanie do punktu wyjścia, które kładzie nacisk na kontynuację społecznie postępowej tradycji. W dziwnym konglomeracie znaleźć można wątki, z których jedne wywodzą się z radykalnej tradycji francuskiej z akcentem na hasła „równość”, inne zaś są kartami Rewolucji Francuskiej przetasowanymi przez Rewolucję rosyjską i interpretację komunistyczną zmierzającą do anektowania terenu Rewolucji Francuskiej. Są zatem dwa wielkie obozy, z których prawicowy

jest chyba bardziej w sumie zwarty. Ułomności rewolucyjnego sojuszu obozu lewicy polegają zwłaszcza na różnicy zdań w odniesieniu do tych spośród fragmentów dziedzictwa, które mogą dzielić komunistów i socjalistów przez pryzmat stosunku do Związku Radzieckiego.

Swoistą zapowiedzią konfliktu generalnego były losy filmu „Danton” Andrzeja Wajdy. Został on przez część opinii socjalistycznej i całą komunistyczną przyjęty jako zamach na rewolucyjną legendę, która mimo upływu czasu rozwija się w duchu dziewiętnastowiecznego gloryfikowania cnót republiki i rewolucji. Dostrzeżono bowiem w filmie, i słusznie, nie tyle pytania o słusność kaźni Dantona, lecz zakwestionowanie niektórych wątków tradycyjnie związanych z etosem Rewolucji Francuskiej. Część francuskiej opinii lewicowej nie dostrzegła zupełnie tego, że film wyływał z doświadczeń ogólniejszych niż z samej tylko Rewolucji Francuskiej, że stanowił próbę wyciągnięcia konkretnych wniosków z francuskiej przecież propozycji traktowania postania rewolucji jako uniwersalnego. Film spowodował konflikt w banalnym stylu: francuski patriotyzm czy też raczej nacjonalizm ze znakiem lewicowym wybrał ślepotę zamiast przenikliwości, która tak bardzo wszystkich cechuje przy oglądzie, na przykład, stalinizmu. Niektórzy komuniści natomiast uważali, że ponieważ jest to opowieść o lipnym procesie, na myśli ma się ich.

W ten oto sposób, z kolei, film zyskał prócz naturalnych, także i dziwnych sprzymierzeńców. Naturalnymi sprzymierzeńcami są w tym przypadku wszyscy, którzy potrafią, dostrzegając wielkie wzloty rewolucji, zauważyć również jej grozę, ale nie po to, by odczuć podniecający dreszczyk, lecz dlatego, by zadać kilka podstawowych pytań. Sprzymierzeńcami nienaturalnymi są w moim odczuciu ci, którzy wykorzystywali film wyłącznie do ataku przeciw współczesnej lewicy, jak na przykład były minister spraw wewnętrznych Poniatowski.

Ale wszystko razem jest i tak bardziej skomplikowane, a odwoływania się do rewolucji niekiedy dziwne.

Jeszcze w roku 1979 prezydent Giscard d'Estaing odwiedził departament Żyromdy i wygłosił przemówienie na temat proponowanego wzrostu samodzielności francuskich władz lokalnych. Giscard był niewątpliwie przywódcą politycznym

bliższym prawicy niż lewicy, nadto podkreślał swoje arystokratyczne pochodzenie. Lecz kiedy znalazł się w Żyromdie i mówił o planowanej decentralizacji, uznał, że czyni krok w kierunku koncepcji żyromdistowskich, przeciw centralizacji, którą wiązał z tradycją jakobińską i dodawał, że pragnie ujrzeć na dwuchsetlecie Rewolucji Francję liberalną, a zatem powrót do 1789 r. i do konstytucji 1791 r. Czyli wszystko ze wszystkim wymieszane. W każdym Francuzie jest jakobin, żyromdysta i liberal.

Na tle tych uwag, warto przyrzeć się nowym pracom na temat rewolucji. Frédéric Błuche, na przykład wydał książkę *Septembre 1792, logique d'un massacre*, w której usiłował udowodnić, że deklaracja praw człowieka i obywatela prowadziła wprost do masakr wrześniowych i namawiał wielbicieli rewolucji, by pili szklankę krwi panny de Sombreuil, którą rzekomo zmuszono do wypicia szklanki krwi swego ojca.

Pierre Chaunu przyznawał ostatnio, że codziennie pluje przechodząc koło liceum im. Łazarza Carnota, bo mało go obchodzi, że przyczynił się tak bardzo do zwycięstwa nad wrogami zewnętrznymi, jest on dla niego symbolem masakr w Wandei.

Książka Maxa Gallo, o której wspomniałem, jest jakby pierwszą dużą ripostą obrażonej cnoty Maksymiliana Robespierre'a. Gallo każe nam zasiąść na ławach Konwentu i bronić Rewolucji wraz z Robespierrem. Rzecz jest w istocie zabawna, bo z dała od analizy naukowej, potomkowie republikańskiej i kontrrewolucyjnej historiografii na nowo postanowili potraktować Rewolucję Francuską jako jeden fakt, blok, monolit, którego barwa zależy od sprzedającego. Przy czym jedni i drudzy sądzą, że kraj jest politycznie, aa dobrą sprawę, nadat podzielony na dwie części ideowe tak jak w końcu wieku XVIII. Dodatkowy paradoks polega i na tym, że skłócone obozy czerpią własne przekonania z zachowania przeciwnika: ponieważ lewica głośno krzyczy przeciw kapitalistom, to znaczy, że mordowała Wandejczyków. Z kolei lewica sądzi, że skoro prawica opluwa Robespierre'a, to nieuchronnie miał on rację we wszystkim.

Gallo powiada, że nienawiść nie jest dobrą doradczynią w badaniach historycznych, ale sam przypomina Stykę, któremu ukazał się Pan Jezus i rzekł: „tym mnie Styka nie maluj na kłęczkach, tylko mnie dobrze maluj”. Adoracja nie jest dobrym doradcą.

Głównym powodem polemiki podjętej przez Gallo, na poziomie nieco infantylnie-entuzjastycznym, jest odpiernanie zarzutów przeciwników, głoszących, że rewolucja skąpała się we krwi. Zadziwia tylko, że w istocie Gallo dobiera się do skóry nie tyle ideologom i politykom, lecz naukowcom i intelektualistom. Bunt przeciw jajogłowym nie należy do tradycji socjalistycznej. Gallo atakuje historyków, nazwijmy ich kontrrewolucyjnych, ale atakuje także i tych, których zwykło nazywać się rewizjonistami w sensie badawczym tego słowa. Określa to pojęcie tę grupę, która nie poddając się, jak sądzę, nastrojom ideologicznym, usiłuje ponownie badać Rewolucję szukając w niej zwłaszcza sprzeczności wewnętrznych. Nie jest to tylko problem ideowo-politycznej interpretacji, bowiem kryje się za tym cały obszar nowych tematów, wynikających z ewolucji metod i możliwości badawczych.

Otóż, skoro są rewizjoniści, to są i doktrynerzy. I oto owi doktrynerzy mniemają, że rewizjoniści, jak np. Furet, Ozouf i inni bezwiednie pomogli prawicy w nieprzebierającym w środkach ataku na istotę rewolucji. Przy czym, zarzut nieświadomości – to jeszcze zwrot elegancki. Przypominają się zarzuty o „wrogu klasowym”, jawnym bądź ukrytym, i nie wiadomo, który jest gorszy.

Zatem dwa obszary sporu: jeden ideologiczny: prawica-lewica, drugi, w moim odczuciu ważniejszy, zmierzający do udowodnienia poprzez rewolucję i stosunek do niej, kto ma większe prawo do republikańsko-narodowej legitymacji. Oba spory mają odmienny charakter. O ile bowiem pierwszy z nich trzyma się blisko zasad uniwersalistycznych Rewolucji Francuskiej, i jako taki jest ważny dla świata, o tyle drugi z nich dotyczy spraw wewnętrznych francuskich, w tym choćby sensie, że ograniczających się w istocie do patrzenia na rewolucję ze względu na jej aspekty państwowe, na rodowód narodowy. Nie oznacza to, że i pierwszy obszar sporu nie odgrywa czasami również i roli wewnętrznej, o ile o ile dotyczy on postaw francuskich partii politycznych.

Zarzut rewizjonizmu w stosunku do ustaleń na temat Rewolucji Francuskiej jest nieporozumieniem; każdy bowiem historyk usiłuje być rewizjonistą, by nie powtarzać zbanalizowanej już prawdy. Zarzut rewizjonizmu należy zapewne rozumieć w ten sposób, jak się go pojmuje w ruchu komunistycznym: kto kwestionuje

nauki klasyków jest rewizjonistą bądź renegatem. W przypadku socjalistów to sama Rewolucja Francuska ma być, jak się zdaje klasykiem, więc nic z jej mitu rozpropagowanego przez socjalistów dziewiętnastowiecznych w kategoriach bloku lat 1789-1794 nie może ulec zakwestionowaniu czy też uszczupleniu.

Książka Maxa Gallo jest jednak w pewnym sensie niedopowiedzeniem: adresowana rzekomo do współczesnej kontrrewolucji, w gruncie rzeczy atakuje „rewizjonistów”, uważających m.in. iż czas już skończyć z mitologizowaniem Rewolucji Francuskiej i badać ją jako część normalnego zespołu faktów z historii politycznej, społecznej, gospodarczej, ideologii itp. nie zaś z punktu widzenia umacniania osiemnastowiecznego wzorca, kanonu, przeniechanego zresztą porządnie przez Rewolucję Rosyjską.

Rewolucja Francuska wiecznie żywa ma bowiem być źródłem inspiracji dla rewolucji nowej, nawet jeśli ma ona wyłącznie charakter retoryczny. Furet powiada natomiast, że współczesne społeczeństwa nie rozwijają się już wedle mechanizmów, do których pasowałaby Rewolucja Francuska. Prawica z kolei ogranicza się wyłącznie do straszenia wizją gilotyny. Jest rzeczą na pewno nieuczciwą identyfikowanie obydwu poglądów: rewizjonistów i prawicy.

Nadużyciem jest identyfikowanie manifestacji za szkołą wolną, czyli nie państwową, czyli wyznaniową, z powstaniem w Wandei. Zadziwiająco jak bardzo argumentacja ta jest zbieżna z argumentacją radziecką; kiedy to najpierw zaatakowano film Wajdy, a potem w lipcu 1987 roku w *Literaturnoj Gazietie* napisano, że rewizjoniści gilotynują Rewolucję Francuską. Z punktu widzenia współczesności politycznej i ideologicznej Rewolucja Francuska w dalszym ciągu funkcjonuje w sferze mitów, w które politycy pragną wierzyć.

Sprawa skomplikowała się niebawem od chwili, kiedy to prezydentem kraju jest „jakobin” Mitterrand, zaś premierem został „nowy rojalista” Jacques Chirac i kiedy, jak to miało miejsce w przypadku studentów, jakobini wyszli na ulicę, a rząd „nowego rojalisty” kazał policji agresywnie bronić instytucji postrewolucyjnej republiki. Ślad tego dualizmu, tego rozchwiania na najwyższym szczeblu, można postrzec w wywiadzie dla *Le Mon-*

de, jakiego udzielił Michel Baroin, wysoki urzędnik mianowany przewodniczącym międzyministerialnej misji do spraw obchodów dwuchsetlecia Rewolucji i Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela. Baroin powiada, że zamierza działać w duchu Zgromadzenia Konstytucyjnego, które nastąpiło po obaleniu Ancien Régime'u wyzwalaając człowieka-jednostkę z okowów prześladowań społecznych i politycznych. A więc rewolucja jako symbol szczęścia jednostki w społeczeństwie. Na to zgadzają się i prezydent, i premier. Zgodzili się też na apolitycznego, a ideologicznego przewodniczącego misji, który zamierza pokierować pracami, mającymi w założeniu przywrócić światu uniwersalny obraz Francji.

Baroin dodaje, że ważne są idee, z których rewolucja się zrodziła i zmierza do tego, by święcić dzień powszechnego braterstwa, zwrócić uwagę na głód i wojnę. Człowiek zgodnie z zasadami rewolucji ma być godny, wolny i odpowiedzialny. Jak to przetłumaczyć na język spraw dzisiejszych, zagrożonego świata?

Z wypowiedzi prezydenta widać też, iż cała oprawa rewolucyjnego święta będzie obecna. Nastąpi ponowna teatralizacja życia politycznego w jego wariancie rocznicowym. „Świat powinien ujrzeć Francję w święcie”.

Czy jednak rzeczywiście? Czy naprawdę nie lepiej, by Francja zadawała Rewolucji inteligentne, choć sprzeczne pytania zamiast udawać, że nie tylko nic się nie zmieniło od XIX w., ale że wręcz — „byczo jest”!

Andrzej Ler

NAKŁADEM

ANEKSU

Teresa Toruńska

ONI

Rozmowy

z czołowymi funkcjonariuszami komunistycznymi:

J. Bermanem, L. Chajnem, W. Kłosiewiczem,
J. Mincową, E. Ochabem, S. Staszewskim i R. Werflem

Str. 368

Cena: £7,00 – \$14,00

Tomasz Łubieński

NEOEMIGRANCI

Czy nie zajmujemy się zbyt wiele naszymi neoemigrantami? W prasie niezależnej, katolickiej, na otwartych panelach i podczas nocnych rodaków rozmów? Więc po co jeszcze jeden (niniejszy) artykuł na ten temat? Otóż właśnie: by przedstawić niebezpieczeństwo dwuznacznego pomieszania kompleksów i osądów moralnych, w jakie wciągają nas rozważania o najnowszej emigracji. A także by zaproponować zajęcie umysłowe zamiast, inne, lecz z tym problemem powiązane.

Wypadałoby mniej zajmować się neoemigrantami, zwłaszcza odkąd w centralnych mediach PRL przez usta autorytatywne i kompetentne dają się raz po raz słyszeć słowa ubolewania, słowa przygany i zgorszenia wobec neoemigrantów. Krokodylc tzy wiewają dyżurni propagandyści, którzy polskie życie rozmaicie już obrzydzali: na krwawo-czerwono, hurra-różowo, szaro-błękitno-stalowo, od pewnego czasu zaś boleśnie ćwiczą społeczeństwo pod czarną nutę ekologiczną i ekonomiczną. Minister Urban, którego specyficzny dowcip („rząd się wyżywi” itp.) wielu już zniechęcił do powrotu i umotywowwał wyjazdowo, podawał groźne liczby, jakimi wyraża się exodus lat osiemdziesiątych, w tonie pogłębionego obywatelskiego zaniepokojenia. Oczywiście skuteczniej niż sama propaganda sprzyjają emigracji konkrety wzmagające ogólnospoleczne poczucie biedy, niepewności i

braku perspektyw. Na przykład wszelkie tymczasowe represyjne regulacje prawne oraz niejasne wewnętrzne okólniki przechodzące w obyczaj administracyjny, tak zwane działania na rzecz ładu i porządku kosztem świętego spokoju, rozmaite upokarzające weryfikacje i przeglądy. I nie tylko zachęcają do wyjazdów lecz, co równie ważne, ułatwiają rozmowy z obcokrajowymi funkcjonariuszami: bo jest na co się powoływać dla uwiarygodnienia, uzasadnienia decyzji wyjazdu albo niepowrotu.

Czy jednak neoemigranci nasi docenią, jak wiele (w tym własnie sensie antyreklamy życia w Polsce) zawdzięczają oficjalnym urzędom, resortom i publikatorom? Wątpliwe, aby złośliwa intencja tego pytania szczególnie ich poruszyła. Skłonni są uważać, że wszystko winni własnym talentom i charakterowi, a to i owo od wolnego świata należy się po prostu. Bo też udało im się trafić na niezwykłą koniunkturę: wszak ostatnia moda na Polaków miała miejsce ponad 150 lat temu, a wówczas musieli Polacy przegrać swoje najważniejsze (listopadowe) powstanie, wojnę właściwie, zastąpić Francję i Belgię przed spełnieniem przez Rosję międzynarodowego obowiązku, przyjętego na Kongresie Wiedeńskim. A dziś wystarczyło, że Polska przez chwilę stała się światowym problemem, aby Zachód, odstępując od swoich liberalnych zasad ekonomicznych, sygnął przez jakiś czas przynajmniej przywilejami. Prawem do pracy, stałego pobytu, ubezpieczeniami, zasiłkami, mieszkaniami nawet. Gesty szlachetne, niezależne od pewnej ich przydatności w wewnętrznych rozgrywkach politycznych. A także jakiejś, być może częściowo podświadomej, kalkulacji: otóż dla spokoju i pomyślności europejskiej opłaca się trochę rozrzedzić i skołować pełnych pretensji Polaków. Tym bardziej że, nie stwarzając przykrych problemów rasowych i cywilizacyjnych, potrafią być gorliwie wdzięczni wobec swojego nowego losu. Tu jeszcze do owej filantropii polityczno-rządowej wypada przecież dodać pomoc prywatną obcokrajowców cudzoziemców oraz mobilizację polonusów zagranicznych, którzy, choć często nie-użyci dla swoich i obcych, zgodnie z charakterem narodowym wrażliwi bywają na szantaż moralny: że oto egzystują sobie dostannie i bezpiecznie, więc mało ich obchodzi los nowoprzybyłych.

Inna sprawa czy aby rzeczywiście wypada korzystać z tych wszystkich okazji, uprzejmości i słabości. Neoemigranci nie wąt-

pię że tak, wyzbywają się solidarnościowego fasonu, kiedy choć trochę zaczyna ich krępować. Krzepią się gierkowskim cwaniactwem i kryzysową drapieżnością. Pouczająca jest historyjka o auouimowym rodaku, który zgłosił się do ambasady RPA deklarując, że chce jechać do tego kraju, ponieważ nie znosi Murzynów.

Pisał działacz opozycyjny, że emigracja stanowi wyzwanie moralne dla „Solidarności”. Dzisiaj można sobie chyba powiedzieć, że „Solidarność” wyzwaniu temu nie sprostała. Apele o wytrwanie, pomoc środowiskowa, przykłady ludzi, którzy oparli się pokusom i nie dali się zastraszyć losem rodziny czy własnym zdrowiem, którzy przedkładali wyroki więzienne nad możliwości urzędzenia się zagranicą, wszystko to robiło i robi wrażenie na ludziach z góry niechętnych wyjazdom. I odwrotnie, skuteczność owych przykładów dla tych, co zdecydowali się wyjechać przy jakiegokolwiek okazji, wydaje się żadna. Stąd neoemigranci nie życzą sobie zbyt wnikliwego zainteresowania krajowców, które prowadzi do wścibskiego wiercenia dziury w brzuchu, zawstydzania, zobowiązania. Podziwiać ich, zazdrościć i żałować zarazem: to tak. Ewentualnie, bo co do owej żulości trochę się pilnują, aby zbyt długo w społeczeństwie konkurencyjnym nie rozczułać się nad sobą. Za wygnańców uważają się najchętniej, najdłużej humaniści oraz artyści rozmaitego autoramentu skłonni do mistyfikowania własnego losu. Oczywiście bardziej niż posiadacz jakiegoś uniwersalnego zawodu powołują się na wielkoemigracyjne tradycje. I w tym podpieraniu się polityką, wyliczaniu doznanych krzywd czy afrontów zbliżają się mocą złośliwego paradoksu do masówki uchodźczej lat ostatnich zaludniającej śródziemnomorskie obozy, gdzie o jakiejś misji emigracyjnej lepiej nie wspominać.

Obozy te są ulubionym motywem straszenia i litowania się nad nową emigracją: tymczasem we Włoszech na przykład wygląda ona mniej dramatycznie, niż by się można było spodziewać. Uchodźcy mają lekarzy (strzykawka jednorazowa nie jest jak w kraju problemem), rodziny łączą się, jeżeli naprawdę tego chcą, ci zaś, którzy myją w Rzymie szyby samochodowe na światłach (tzw. myjka), zarabiają bez szczególnego trudu więcej od włoskiego robotnika, tym bardziej że większość z nich mieszka i je na koszt rządu. Czasem ktoś się upije, kogoś obrabuje czy zgwałci, ale statystycznie biorąc jest tego bardzo mało jak na znaczną ilość

ludzi, którzy znaleźli się (z własnego wyboru) w nienormalnej sytuacji. Niektórzy źle ją znoszą, ale, chociaż mogą, nie wrócą za nic. Inni wracają zarobiwszy i być może mieli od początku taki plan. W każdym razie śmiesznym jest upierać się przy literackiej tradycji tulacza z kijem i z prawdą w oczach wobec tych ludzi już przebranych po zachodniemu, opalonych, którzy zdeterminowani są czekać, aż się spełni ich zamorski plan życiowy. Wobec nich zabawne wydaje się zgorzienie, że oto nie wstydzą się, w miarę potrzeby naturalnie, posługiwać się wolnościową frazeologią dla załatwienia swojej prywatnej sprawy. Kiedy tymczasem nasze cnoty krajowe pozostają bez nagrody i doraźnej nadziei, ale tu już uważajmy na siebie, czy moralizowanie nasze jest wolne od zawiści, czy obrażając się na najnowszych naszych emigrantów sami siebie nie obrażamy.

Bo jednak są naszym problemem: poddają w wątpliwość szansę solidarnościową, sens opozycyjności, prawdopodobieństwo przetrwania do lepszych polskich czasów. To oni stają się krewnymi i znajomymi tych naszych krewnych i znajomych, do których przed kilku laty mieliśmy pretensje, że opuścili nas w nieszczęściu i jeszcze nieszczęściem ogólnym jakoś się podparli, że nie chcą dzielić naszego losu. Wszak byli jego częścią, należeli do otoczki naszego życia i to nas właściwie zostawili, wbrew temu co utrzymują, nas bardziej niż rząd i partię, służbę bezpieczeństwa, wydział kadr. Nas, kolegów czy przeciwników ze szkoły, biura, zakładu, nas dobrych albo złych sąsiadów, nas szefów i podwładnych porzucili. To nam a nie władzy, która na ich wyjazd przystała, pokazali „kozakiewicza”. To nasze sentymentalne, pozytywistyczne konstrukcje zlekceważyli, odkąd dano bardziej lub mniej do zrozumienia, że wszyscy właściwie, którym się nie podoba, mogą sobie jechać w świat. I ci właśnie, którzy prędko co trzeba podpisali, nie dając się zawstydić, którzy wytrzymali bez społecznego podziwu i przekonania, że słuszną sprawą kiedykolwiek zwycięży, ci wygrali wobec tych, co kokietowali, hamletyzowali, radzili się na prawo i lewo, a w końcu też uciekli z jakiejś wycieczki czy konferencji.

Bardzo prędko tych rzeczywiście nędznych i szantażowanych zdominowali uchodźcy z poczuciem humoru. Młoda dżdżownica pyta starej, opowiadali, czemu ma tkwić przez całe życie w czarnej, brudnej ziemi, kiedy tam wyżej słońce, kwiaty, motyle, a na

to stara, że tak trzeba, bo tu jest nasza ojczyzna. To oni tłumaczyli się dowcipnie, że zostawiają kraj komunistom, że między czerwonym i czarnym w tym kraju człowiek nie odetchnie. W związku z własnym, powoływali się czasem na wyjazdy (w kolejności chronologicznej) Chopina, Miłosza, Jana Pawła II. Zdarzały im się wybuchy pożegnalnego radykalizmu: komunizm postanowili zwalczać wygodniej, ostrzegając i ratując Zachód. Albo znów prosili o szacunek dla prywatnej szczerości, z jaką stwierdzają w imieniu własnym i rodziny (zwłaszcza małych dzieci), że muszą, że dłużej nie mogą. I w końcu dziś, po paru latach żadne tłumaczenie nie jest potrzebne. Emigracja stała się jakąś ogólną psychozą polskiego społeczeństwa. Dotknięte jest nią każde niemal miejsce pracy, dom mieszkalny, rodzina. Emigracją podszyta jest nauka języków obcych, kursy komputerowe, handlujące wycieczki, służbowe delegacje, poszukiwanie i odwiedziny krewnych zagranicą, wszelkie staże i stypendia. Można głupio wypaść, współczując na przykład rodzicom pozostawionym przez dzieci, bo ci rodzice bywają zachwyceni. I to właśnie w okresie świąt rodzinnie obchodzonych, kiedy kolejki jak okiem sięgnąć, radują się szczególnie, że ich dzieci kupują sobie wygodnie, na co tylko je stać. Rwą się wypróbowane związki, bo w kimś odezwał się instykt nowego emigracyjnego życia, instykt któremu bez dyskusji ulega się albo opiera. Zostają za granicą debiutujący turyści oraz światowcy nawykli do powrotów. Urodzeni kosmopolici oraz miłośnicy nadwiślańskiego prowincjonalizmu. Zdolni i niezdolni, biedni i bogaci, ci co myślą o podboju świata i ci, którzy pragną tylko spokojnie żyć. Opuszcza posterunek ksiądz i zomowiec z patrolu bezpieczeństwa lotniczego. Wyjazd staje się lekarstwem na zawód miłosny czy niepowodzenie zawodowe. Albo niepokoje moralne: ci co nie lubili nigdy ustroju, ale cenili sobie życie uprzywilejowane, którzy im więcej brali, tym gorzej się czuli, przez wyjazd osiągają zgodę ze sobą. Młodzi nie chcą czekać kilkadziesiąt lat na mieszkanie, służyć w ludowym wojsku polskim, mieć do czynienia z komputerami przestarzałej generacji. A małe dzieci już się bawią w państwa, do których wyjadą jak podrosną. I samba wykrzykiwana w obozie internowanych „z kraju nie wyjeżdża się, kiedy w kraju tym jest źle” wydaje się jakąś tromtadracką piosenką ułańską dalekiej przeszłości.

Co można na to wszystko poradzić? Samemu w miarę możliwości nie emigrować. Nie wypatrywać nieobecnych nudaremnie. Nie martwić się nimi, że oni tak się o nas denerwują. Nie spekulować po próżnicy kto wróci, kto wyjedzie, komu wolno, komu nie, jak sobie bez nas da radę i czy o nas nie zapomni. Uważać na ostrych moralizatorów, bo zdarzało się, że tacy wymyślali innym od zdrajców i dezertarów, mając w kieszeni bilet w jedną stronę. Interesownie, tak jest, liczyć na tych, którym się powiedzie, z których możemy mieć jakiś pożytek. Przyzwyczaić się wreszcie do spotkań z neoemigrantami na szerokim świecie. Które bywają trudne, kiedy po kilku latach nie potrafią oni pojąć krajowego życia. Bardziej niż emigranci sprzed półwieku, co przeżyli zagranicą wojnę, stalinizm, i nie chcą, ani nie muszą nam ani sobie niczego udowadniać. Zresztą nie będzie się nam podobał taki neoemigrant, co nas poucza i rozlicza, ani ten co radzi siedzieć cicho i uszy trzymać po sobie, ani zapracowany, uważający, że to my żyjemy wygodnie nic nie robiąc, ani pytający jak w ogóle potrafimy tam żyć. Artyści szczerzy entuzjasta swojego nowego życia co stwierdza, że tamto tam nic go nie obchodzi, ani nieszczęśnik, który jednak powrócić nie zechce.

Słowem przyzwyczaić się do spotkań z neoemigrantami, ale nie zajmować się tak bardzo ich życiem, cudzym życiem, bo to niezdrowo, bo to znaczy że wątpimy, pytamy o sens naszego życia, a takich pytań nie należy sobie zadawać zbyt często, bez końca. Pamiętajmy raczej – i to jest właśnie ów zapowiadany pomysł zamiast niekończących się rozważań na temat nowej emigracji – o Polsce innej, mniej znanej, o naszych rodakach ze wschodu, którzy najpewniej nie uznają urodzenia się i życia w Polsce za dopust boży, którzy nie pragnęliby chyba za wszelką cenę uwolnić siebie i najbliższych od niewygodnego polskiego losu.

Tomasz Łubieński

Peter F. Sugar

ŹRÓDŁA I TRADYCJE NACJONALIZMU W EUROPIE WSCHODNIEJ

Dla celów niniejszego artykułu zdefiniujemy Europę wschodnią jako część kontynentu położoną na wschód od narodów mówiących po niemiecku lub włosku i na zachód od Związku Radzieckiego. Chodzi o narody, których nacjonalizm rozwinął się później niż na zachodzie kontynentu i które pierwsze były zmuszone zaadaptować tę nową ideę do lokalnych warunków i okoliczności. Już samo to sprawia, że studia nad nacjonalizmem wschodnioeuropejskim mają istotne znaczenie. Porównuje się zwykle nacjonalizmy i instytucje tak zwanego Trzeciego Świata z ich zachodnioeuropejskimi odpowiednikami, co na ogół nie daje zadowalających wyników. Lepsze poznanie wschodnioeuropejskich odmian nacjonalizmu i porównania z nimi mogą się okazać o wiele bardziej owocne, ponieważ ludy zamieszkujące ten region i nie Europejczycy nie byli zwykłymi naśladowcami Europejczyków z Zachodu, lecz tworzyli wszędzie własne warianty importowanych stamtąd idei. Ludzie całego świata więcej się mogą nauczyć na przykładzie sukcesów i porażek Europejczyków ze Wschodu niż od narodów zachodnioeuropejskich.

O ile stosunkowo łatwo jest przedstawić i uzasadnić definicję Europy wschodniej, o tyle nie można tego samego powiedzieć o definicji nacjonalizmu. Jak wszyscy wiemy, nikt jeszcze nie dal

takiej definicji nacjonalizmu, która byłaby powszechnie zaakceptowana. Stosunkowo łatwo możemy ustalić ramy czasowe dla nowoczesnego nacjonalizmu, który jest czymś różnym od patriotyzmu i innych uczuć wiążących z sobą ludzi a wykraczających poza granice rodziny. Boyd C. Shafer był jednym spośród wielu uczonych, którzy kładli nacisk na to, że „używanie słowa nacjonalizm na określenie wypadków historycznych sprzed wieku XVIII jest prawdopodobnie anachronizmem”¹. Miał na myśli wypadki historyczne w XVIII-wiecznej Europie zachodniej. Dlaczego takie było podejście Shafera, wskazuje Ernest Gellner. Twierdził on, że „nacjonalizm jako zjawisko, a nie jako doktryna nacjonalistów, jest nierozłączny z pewnym zespołem warunków społecznych, które są warunkami naszych czasów”². Przez „warunki naszych czasów” rozumie on zurbanizowane i uprzemysłowione społeczeństwa, których życiem codziennym zawiaduje potężna, centralna administracja (demokratyczna bądź nie demokratyczna), niezależnie od tego kiedy i gdzie dane państwo osiągnęło to stadium rozwoju.

Twierdzenie Gellnera odnosi się do nacjonalizmu jako doktryny i nacjonalizmu jako zjawiska. Zjawisko nacjonalizmu łączy on z rewolucją przemysłową, ale wskazuje jednocześnie, że dla niektórych – dla nacjonalistów – było doktryną. Uczeni, którzy się z nim zgadzają, próbują nacjonalizm zdefiniować. Elie Kedourie pisał na przykład, że „nacjonalizm jest doktryną wymyśloną w Europie na początku XIX wieku. Utrzymuje ona, iż dysponuje kryterium określającym grupę ludności, której należy się posiadanie wyłącznie własnych rządów...”³ Inni uważają nacjonalizm za „proces historyczny”⁴, „stan umysłu”⁵ lub za „wytwór czynników politycznych, gospodarczych, społecznych i intelektualnych na pewnym etapie historii... warunkujących myślenie, odczuwanie i uczucia”⁶. Wszystkie te definicje zgadzają się co do jednego, mianowicie momentu historycznego, w którym nacjonalizm pojawił się w Europie zachodniej.

Naturalnie, narody istniały przed nacjonalizmem i mogą istnieć bez niego⁷. Naród trzyma się razem spojony czymś, co nazwać można „naturalnymi”, „wrodzonymi” uczuciami, jakie każdy żywi wobec ludzi, z którymi dzieli życie i do których jest w zwią-

zku z tym przywiązany⁸. Nacjonalizm jednak „nie jest dla człowieka czymś pierwotnym i naturalnym, tak jak jego ciało czy rodzina”⁹. Nie jest to coś „wpisanego w naturę rzeczy, ani ludzkie serca”, powiada Gellner. Nacjonalizm to coś „nabytego”, coś, czego każde pokolenie musi nauczyć się od nowa¹⁰. To, czego się uczy, w dużej mierze zależy od nauczyciela. Toteż nacjonalizm może znaczyć i znaczy rozmaite rzeczy w rozmaitych krajach w tym samym momencie dziejów, a także może zmieniać i zmienia swój sens w danym kraju wraz z biegiem czasu.

Ktoś musi być pierwszym nauczycielem. Tym nauczycielem lub raczej nauczycielami byli członkowie burżuazji przemysłowej, jaka się wyłoniła w starych trwających narodach, jak je nazywał Hugh Seton-Watson¹¹. Idzie o te same zachodnioeuropejskie narody, które nadały kształt „warunkom naszych czasów”, wedle określenia Gellnera. Sprawa jest dostatecznie dobrze znana, by nie trzeba jej tu było powtarzać. Warto natomiast podkreślić, że ta nowa siła społeczna, burżuazja, nie próbowała zająć miejsca dawnej klasy rządzącej, arystokracji, lecz usiłowała zlikwidować jej przywileje poprzez stworzenie takich samych możliwości członkom własnej klasy, tak aby mogli zdobyć w polityce tę samą pozycję, jaką zdobyli już w gospodarce. Nie mogli głosić równych szans tylko dla siebie, gdyż zwiększyłoby to ilość i rodzaj przywilejów, z którymi walczyli. Nie mogli też, z drugiej strony, żądać równych praw politycznych dla każdego. To uniwersalistyczne podejście po raz pierwszy znalazło wyraz w Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela ogłoszonej przez francuskie Zgromadzenie Narodowe 26 sierpnia 1789. Ludzie, w których imieniu chciała przemawiać wylaniająca się klasa średnia i dla których domagała się równości, należeli do owych „starych trwających narodów”, które rozwijały się przez wieki i były dla nich czymś „naturalnym” i dobrze znanym. Kiedy domagali się swobód dla narodu, upolityczniali swe żądanie głosząc równe prawa polityczne, społeczne i gospodarcze dla członków narodu. W rzeczywistości próbowali zdobyć władzę w imię narodu. Kiedy tego dokonali, wymyślili nacjonalizm, ludowładztwo, nowoczesną demokrację, klasyczny liberalizm, pojęcia praw człowieka i obywatela – by wymienić tylko najważniejsze osiągnięcia ich zwycięskiej batalii. Usiłowali stworzyć wstępne warunki sprzyjające rozwojowi „warunków

naszych czasów". W tym sensie marksiści mają słuszność twierdząc, że nacjonalizm pojawił się w chwili, gdy burżuazja przemysłowa odgrywała coraz większą rolę w rządzeniu. Ale już ta krótka prezentacja jej działań świadczy o tym, że marksistowska interpretacja racji, jakimi powodowała się burżuazja, jest historycznie wadliwa. Zarówno Lenin jak i Stalin przedstawiali nacjonalizm jako wymysł klasy średniej służący za narzędzie dominacji nad robotnikami, za nowoczesne opium dla ludu, które wraz ze starym – religią – ma utrzymać klasy niższe w niewoli. Ta interpretacja zasługiwałaby zapewne na uwagę, gdyby nacjonalizm pojawił się na scenie politycznej „starych trwających” bądź jakichkolwiek innych narodów *po* zdobyciu władzy politycznej przez burżuazję i *po* wyłonieniu się świadomie klasowo zdeterminowanych różnic między poszczególnymi segmentami społeczeństwa. Ale tak przecież nie było. Ernest Gellner podkreślał to bardzo mocno stwierdzając, że „nacjonalizm nie jest konfliktem klasowym, który nie osiągnął samowiedzy, za to konflikt klasowy jest konfliktem narodowym, który się rozwinął z braku głębokich i symbolicznych *differentiae*”¹². Dla Gellnera konflikt klasowy, a może nawet marksizm, jest niczym innym jak stłumionym nacjonalizmem!



Powyższe uwagi nie zawierają niczego, co nie byłoby znane każdemu, nawet powierzchownemu badaczowi nacjonalizmu. Uznałem jednak, że nie są bezużyteczne, gdyż zastosowanie ich do Europy wschodniej wymaga, byśmy je mieli w pamięci.

Jeśli nacjonalizm trzeba wpajać każdej nowej generacji, jeśli jego nabycie przez ludzi jako doktryny, drogowskazu czucia i działania jest wynikiem wychowania, to należy zwrócić uwagę na to, kto jest tym wychowawcą. Dziś jest to zwykle nauczyciel lub nauczycielka na różnych szczeblach formalnej edukacji, którzy dzielą się z uczniami tym, w co sami zwykle wierzą, często nawet nie wiedząc, że jest to przyjęta wersja nacjonalizmu służąca uprąwomocnieniu aktualnie panującego w kraju reżymu. Powiem dalej więcej na temat roli formalnej edukacji w propagowaniu przyjętych form nacjonalizmu. Pierwszymi wychowawcami i pro-

pagatorami poglądów nacjonalistycznych nie byli, jednak nauczyciele z cenzurem w krajach zamieszkałych przez „stare trwające narody”, lecz politycznie aktywni i wykształceni członkowie nowej przemysłowej klasy średniej, pierwsza grupa ludzi odpowiadających współczesnej definicji inteligencji.

W Europie wschodniej na przełomie XVIII i XIX wieku nie było przemysłowej klasy średniej, nie było inteligencji. Nie było w tym rejonie narodowych władz państwowych, z którymi „narody” mogłyby się utożsamiać i te władze próbować zdobyć. W wielu wypadkach sama świadomość narodowa była dopiero w powijakach. Narody istniały, ale do jakiego stopnia ludzie do nich należący byli świadomi ich istnienia, to rzecz do dyskusji. Wyjąwszy stosunkowo małe obszary w Czechach i na Śląsku, proces industrializacji nawet się nie zaczął. A przecież wszędzie w Europie wschodniej byli ludzie niezadowoleni ze swego miejsca w społeczeństwie, pragnący zmienić prawa i porządki, które ich w tej sytuacji więziły i szukający nowych argumentów na rzecz pożądanych zmian. Oni to właśnie sprowadzili nacjonalizm do Europy wschodniej. Był on „nowym narzędziem”, które wykazało swoją skuteczność w Europie zachodniej i którego mogli użyć, żeby zaprowadzić wymarzony przez siebie porządek społeczny. Ci importerzy nacjonalizmu musieli być wykształceni, żeby czytać literaturę w języku angielskim, francuskim i niemieckim i wiedzieć, co się na Zachodzie dzieje. Musieli też być gotowi uaktywnić się politycznie – byli pierwszymi, którzy działali jako wschodnioeuropejska inteligencja. Pochodzili ze wszystkich właściwie warstw społecznych i zawodowych, ale nie z praktycznie nieistniejącej klasy średniej. Toteż ich cele, metody, dążenia i filozofia musiały być i były bardzo inne niż nacjonalistów, których prace czytali i których nauki chcieli zaaplikować do własnego narodu i ojczyzny. A zatem nacjonalizm trzeba było nie zaadoptować, lecz zaadaptować.

To, kim byli adaptatorzy, określiło nie tylko pierwsze definicje tego, czego się domagano, kto tego żądał i dla kogo, ale i na całe dziesięciolecie, czasem przeszło stulecie, nadało „ton” rozmaitym wylaniającym się nacjonalizmom wschodnioeuropejskim. Blisko 20 lat temu wyróżniłem cztery typy nacjonalizmów wschodnioeuropejskich, w oparciu wyłącznie o kryterium ich pochodzenia,

programu i trwałych skutków. Nie będę tu powtarzać moich argumentów i wyjaśnień, a przypomnę tylko wprowadzone przeze mnie nazwy, jako że do pewnego stopnia mówią same za siebie. Były to nacjonalizmy: mieszczański, arystokratyczny, ludowy i biurokratyczny. Do pierwszej z tych odmian zaliczyłem wyłącznie Czechów, przykładami drugiej są Polacy i Węgrzy, Serbowie i Bułgarzy ilustrują trzecią, nacjonalizm biurokratyczny reprezentowali natomiast Turcy, Grecy i Rumuni. Sądzę, że ta klasyfikacja sprzed 20 lat nadal ma sens i będę później używał niektórych z tych kategorii, na razie jednak chciałbym spojrzeć na nacjonalizm wschodnioeuropejski z innego punktu widzenia.

Niezależnie od momentu, w którym zaczęli działać pierwsi nacjonalisci wschodnioeuropejscy – odstęp czasu między najwcześniejszymi w jednym a najpóźniejszymi w drugim kraju sięga czasem stulecia – i niezależnie od typu nacjonalizmu, o czym dopiero co była mowa, rok 1848 znaczył koniec pierwszego okresu działalności nacjonalistów w Europie wschodniej. Pomijając liczne i ważne lokalne warianty, nacjonalizm wschodnioeuropejski w pierwszym okresie swego istnienia był *ideologicznie przyswajalny, romantyczny, narodowo- i mitotwórczy, historyczny i optymistyczny*. Głównymi propagatorami tego nacjonalizmu byli reformatorzy języka, historycy, poeci i niekiedy duchowni. Mieli na celu uświadomienie swoim narodom ich odrębności, wpojenie im dumy z przeszłości narodowej i wiary, że niezadowolająca teraźniejszość może się przerodzić i przerodzi w przyszłość równie pełną chwały co przeszłość. Jeżeli język był zbyt zacofany, by wyrazić te uczucia przy użyciu nowoczesnego słownictwa nacjonalizmu i podobnych importowanych pojęć, to trzeba go było zmienić. Jeżeli przeszłość była nie dość wspaniała, by uzasadnić wiarę w wielką przyszłość, to należało stworzyć ją na nowo. Na Bałkanach hajducy, martalose itp. – jakkolwiek ich nazywano – przemienieni zostali w nacjonalistycznych bojowników o wolność. Jeśli bohaterów narodowych było za mało albo nie dość świetni, to trzeba ich było stworzyć. Tam, gdzie to było możliwe, wyposażano postaci historyczne w czyny i idee odpowiadające wczesnym nacjonalistom. Nawet historycy dużego formatu, świadomie popełniali „błędy”, byle by służyć sprawie narodowej.

Wymienione wyżej działania w połączeniu z typem ludzi, którzy je podjęli, zrodziły niemal nieskończoną różnorodność wczesnych nacjonalizmów wschodnioeuropejskich. Wszystkie różniły się wyraźnie od „modelu”, jaki Europejczycy wschodni wprowadzali, przynajmniej teoretycznie, w swoich krajach. Celowo używam raczej neutralnego słowa kraje, ponieważ mówienie o państwach czy rządach byłoby mylące. Nacjonałiści zachodnioeuropejscy ze starych trwających narodów mieli nie tylko narody, ale i własne państwa, gdzie chcieli objąć rządy lub chociaż je zreformować głosząc hasło władzy ludu. Europejczycy wschodni musieli nie tylko stworzyć świadome siebie narody, lecz także ożywić bądź złożyć ze szczątków państwa leżące na ziemiach, które na przełomie XVIII i XIX wieku były częścią dynastycznych imperiów Romanowych, Osmanów i Habsburgów. Polacy mogą wliczyć wśród swych władców również Hohenzollernów.

W pierwszej fazie, kiedy wszystkie narody stały wobec tych samych zadań, choć niekoniecznie w tym samym czasie, nacjonalizm wschodnioeuropejski był bardziej historyczny w podejściu niż ten głoszony na Zachodzie przez Herdera i Rousseau, głównie jednak był *nacjonalizmem kulturalnym*, nie traktującym innych narodowości jako wrogów. Nacjonalizm wschodnioeuropejski w swoim pierwszym wydaniu był z gruntu *narodowo- i mitowórczy*. W drugim okresie, z grubsza między 1848 a 1914, to podejście się zmieniło.

Rewolucyjny rok 1848 w Europie był wielokrotnie i szczegółowo badany jako zjawisko ogólnoeuropejskie i przez różne zainteresowane narody jako ważne wydarzenie w ich dziejach. Jakkolwiek uznaje się i wskazuje jego znaczenie dla historii nacjonalizmu europejskiego, temat ten wciąż czeka na wyczerpujące opracowanie. Najłatwiej pokazać to, co się zdarzyło, na ziemiach Habsburgów. Wydarzenia roku 1846 w Galicji spowodowały ostry rozdzźwięk między Polakami i Ukraińcami, którego nie zlagodziło ustanowienie 3 lata później przez rząd we Wiedniu Bukowiny jako niezależnej prowincji. Konflikt pogłębiał się dalej i praktycznie trwa do dnia dzisiejszego. W 1848 roku Chorwaci, Słowacy, Serbowie i Rumuni żyjący na ziemiach korony Św. Stefana nie tylko bili się z Węgrami, ale ich walka stworzyła podziały z biegiem czasu coraz głębsze i dotyczące również później

powstałych państw rumuńskiego i serbskiego. O ile przed 1848 r. chłopci pańszczyźniani zgadzali się przynajmniej co do wspólnych krzywd, o tyle wolni chłopci okresu porewolucyjnego pamiętali o tym, że w 1848 walczyli ze sobą i nie byli zdolni do współpracy przy rozwiązywaniu nadal istniejących i bynajmniej nie bagatelnych problemów. Odnotujmy też, że I Zjazd słowiański odbył się w 1848 roku w Pradze, że zapoczątkował szereg rozmaitych tego rodzaju ruchów i że świadczył o uprzytomnieniu sobie przez małe narody faktu, iż są niedostatecznie silne, by wywalczyć sobie własne państwo, toteż muszą spróbować dokonać tego grupowo, jako nowy super-naród. A wreszcie rok 1848 znaczył porażkę klasycznego liberalizmu i pojawienie się nowego, twardego i zaborczego podejścia do polityki, które dziś nazywamy *Realpolitik*. Uzyskanie dostatecznie silnej władzy na następną rundę walki stało się ważniejsze niż jej ideologiczne uzasadnienie.

Nie dziwnego, że wszystkie te istotne zmiany odmieniły charakter nacjonalizmu wschodnioeuropejskiego. Przywództwo nie zmieniło się zbyt drastycznie i nadal reprezentowało cztery kierunki opisane przeze mnie 20 lat temu, ale jego cele i, co ważniejsze, metody miały mało wspólnego z tymi z okresu wcześniejszego. Jeśli już nie co innego, to miesiące walki zamknęły fazę budowania świadomości narodu. Działania Habsburgów i Romanowych jasno pokazały, że trzeba skończyć z absolutyzmem i zastąpić go konstytucyjnymi, rewolucyjnymi rządami reprezentującymi wolę narodów. Krótko mówiąc, z pewnym opóźnieniem w stosunku do Zachodu nacjonałiści wschodnioeuropejscy byli już gotowi do walki o rządy reprezentujące wolę ludu. Nie mogli po prostu przejąć steru rządów we Wiedniu czy Petersburgu, ponieważ te miasta nie były stolicami starych trwających narodów, jak Londyn, Paryż i w pewnym sensie Berlin.

Po pierwsze trzeba było zdobyć uznanie dla żądań suwerenności danego narodu na ściśle zdefiniowanym terytorium. Każdy naród miał swoje roszczenia i mógł je uzasadnić na gruncie czy to historycznym, czy kulturalnym, czy etnograficznym. Problem polegał na tym, że, jak wiadomo, te uzasadnione bądź wyimaginowane roszczenia pokrywały się ze sobą praktycznie pod każdym względem. Czy Czechy były niemieckie czy czeskie? Siedmiogród węgierski czy rumuński? Ukraina historycznie polska,

rosyjska czy ukraińska? Jakie były granice chorwackiego królestwa Triune? Które ziemie były bułgarskie, które serbskie lub greckie? Na te i na wiele innych podobnych pytań udzielano moc odpowiedzi w oparciu o wszelkiego rodzaju argumenty i dowody. Argumenty przytaczane przez każdą grupę uważane były przez nią, rzecz jasna, za „nie do odparcia”, natomiast ci, którzy przedstawiali inną interpretację, mało że dopuszczali się fałszerstw, ale chcieli ograbić daną grupę z należnego jej terytorium i niepodległości.

Między 1848 a 1914 nacjonaliści mieli dwu wrogów: dynastyczne imperia, od których chcieli uzyskać przynajmniej autonomiczne rządy, oraz wszystkie inne narody, które chciały tego samego, ale też domagały się niektórych terytoriów, gdzie dana grupa pragnęła uznania swojej władzy. Wynikła z tego postawa *quod licet Jovi non licet bovi*, odmawianie innym praw i przywilejów, poddawanie w wątpliwość ich marzeń, które w przypadku własnego narodu były doskonale uzasadnione. Przyjmowano za coś oczywistego, że własny naród jest „narodem wybranym”, najbardziej uzdolnionym i utalentowanym, a tym samym przeznaczonym do przywództwa na danym terenie. Tę postawę widać w pismach polityków u władzy – np. Ilii Garasanina, u tych, co władzę utracili – jak Lajos Kossuth, a nawet u tych, którzy tylko mieli nadzieję, że ją zdobędą, jak Roman Dmowski. *Nacertanije* znanego serbskiego męża stanu, plany Kossutha z 1850 i 1862 co do utworzenia Federacji Naddunajskiej oraz wczesne *Mysli nowocześnie Polaka* świadczą o tym, że uznawali oni wielonarodowość regionów i konieczność współpracy. A jednak każdy z nich zastrzegal dla Serbów, Węgrów lub Polaków przywódczą pozycję a nawet prawo odebrania nadziei na państwo tym, których uważał za niepożądanych.

Ta ekskluzywistyczna postawa rodziła coraz ostrzejszą wzajemną wrogość i ksenofobię, spowodowała też pojawienie się nowoczesnego, politycznego antysemityzmu. Nacjonalizm tego drugiego okresu stawał się stopniowo coraz bardziej *szowinistyczny, państwowotwórczy, zorientowany na teraźniejszość i przyszłość, ahistoryczny, wojowniczy i ekskluzywistyczny*. Naczelną kategorią dla określenia tego drugiego typu nacjonalizmu wschodnioeuropejskiego będzie *państwowotwórczość*, jakkolwiek w

przypadku Czechosłowacji i Jugosławii był on również *narodotwórczy*.

Trzeci, najkrótszy, ale istotny okres, obejmuje lata międzywojenne. Dobrze znanym i stale przywołanym wynikiem I wojny światowej była likwidacja imperiów i stworzenie, odrodzenie bądź radykalnie przeobrażenie państw w Europie środkowo-wschodniej i południowo-wschodniej. Równie znanym faktem jest to, że z wyjątkiem Bułgarii i Węgier nowopowstałe państwa były równie wielonarodowe jak dawne imperia i że albo były zadowolone i pragnęły utrzymania *status quo*, albo chciały je zmienić w zależności od tego, co po wojnie zyskały bądź straciły. Sprawy te nie wymagają szczegółowego omówienia, gdyż dokonano tego wielokrotnie w przeszłości. Mając je w pamięci, winniśmy położyć nacisk na inne zjawy, które radykalnie zmodyfikowały naturę nacjonalizmu w tym regionie.

Pierwszą z nich było pojawienie się licznej klasy średniej oraz klasy robotniczej, jak też wzrost świadomości politycznej chłopstwa. Spowodowane to było po części gospodarką wójenną, a po części pędem różnych rządów do „modernizacji”, „industrializacji” i „urbanizacji”. W rezultacie zarówno zwycięzcy jak zwyciężeni napisali nowe, demokratyczne konstytucje, płacąc haracz demokracji, reformie szkolnictwa i reformie rolnej, że wspomnę tylko o najważniejszych zjawiskach. Ale te nowe konstytucje i plany nie mogły funkcjonować z dwu głównie powodów. Władze po roku 1920 – z wyjątkiem krótkiego okresu rządów Beli Kuna na Węgrzech i dłuższej ery Stambuliskiego w Bułgarii zwykle nie chciały zmian, a jeśli im sprzyjały, to nie wiedziały, jak je przeprowadzić. Nie dostrzegały tego, że nowy system – demokracja parlamentarna – opiera się na czymś, czego nie da się zdefiniować ani zadekretować, na demokracji jako sposobie życia, demokracji, która rozwijała się wolno i „organicznie” w starzych trwających narodach i u ich bezpośrednich spadkobierców – w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Australii, gdzie była zrozumiała sama przez się, bez potrzeby jej tłumaczenia czy definiowania. Otóż bez demokracji instytucje demokratyczne nie mogą działać, zwłaszcza w państwach wielonarodowych i wymagających drastycznego uzdrowienia gospodarki.

Wynikłe z tego zamieszanie nie tylko zrodziło dyktatury w krajach Europy wschodniej, ale też wpłynęło na zmianę charakteru

ich nacjonalizmów. W 1920 każde państwo, niezależnie od ideologii panującej partii, miało być w założeniu państwem narodowym czy raczej ludowym – niezależnie od narodowości – gdzie suwerenem był lud i prawomocność rządu była wynikiem woli ludu. Krótko mówiąc, cel pierwszych nacjonalistów, wpraw z Europy zachodniej później wschodniej, został osiągnięty. W praktyce, w obliczu powojennych zmian i ustaleń traktatów pokojowych oraz w nowych warunkach społecznych i gospodarczych stare rządy nadal sprawujące władzę nie reprezentowały już woli ludu. Gra została odwrócona: to już nie nacjonałiści próbowali zdobyć władzę, lecz władze wykorzystywały nacjonalizm, żeby zdobyć poparcie ludności. Eksperci zajmujący się nacjonalizmem po II wojnie światowej, skupieni głównie na problematyce tzw. Trzeciego Świata, wskazują na ten kierunek jako na podstawową charakterystyczną cechę nowego nacjonalizmu¹³. Uważany jest za narodotwórcze narzędzie, którym posługują się władze, aby przekonać ludność, że zasługują na jej poparcie. Otóż trzeba sobie uświadomić, że to odwrócenie ról po raz pierwszy nastąpiło w Europie wschodniej w okresie międzywojennym. Argumentacja władz przedstawiała się mniej więcej tak: my wiemy, czego wy (ludność) chcecie. Chcemy tego samego i obiecujemy wam to uczciwie i w najlepszej wierze. W końcu jesteśmy *waszym* rządem. Mamy świadomość, że nasze obietnice jak dotąd nie zostały spełnione. Nie jest to nasza wina, lecz wina wstrętnych wrogów, którzy chcą obalić słuszne ustalenia traktatów pokojowych lub – w wypadku państw przegranych – wina naszych podłych sąsiadów, którzy nie tylko zabrali nam nasze ziemie, ale i uciskają obecnie naszych braci. Dopóki nie zmienią oni swej polityki, dopóty musimy skoncentrować się na obronie i nie możemy sobie pozwolić na większe reformy, gdyż w okresach przeobrażeń państwa są najslabsze. Należąc do „naszego narodu” musimy trzymać się razem, popierać rząd i pracować na rzecz lepszej przyszłości naszych rodaków.

Żądano od ludzi, by w imię celów narodowych i przyszłości zrezygnowali lub chociaż odłożyli na później pragnienie lepszego życia, lepszych warunków pracy itp. Najważniejsze było dobro narodu, które władza rozumiała i doskonale reprezentowała. Jeśli Gellner miał rację – a sądzę, że miał – pisząc o „naciona-

lizmie jako zjawisku... właściwym warunkom naszych czasów" w społeczeństwach zurbanizowanych, uprzemysłowionych i wysoce scentralizowanych, to to, co się wydarzyło w Europie wschodniej w okresie międzywojennym, było po prostu sztucznym wprowadzeniem popieranego przez państwo nacjonalizmu zanim zaistniały uzasadniające go „warunki naszych czasów”.

Toteż nacjonalizm międzywojenny zachował wiele cech poprzedniego okresu. Niewątpliwie nadal był *szowinistyczny, wojowniczy i ekskluzywistyczny*, ale zyskał parę cech nowych stając się silnie *propagandowy, zorientowany na państwo, zadufany i wymierzony przeciwko określonym wrogom*. Kim byli wrogowie – sąsiadami, mniejszościami, Żydami, komunistami itp. – o tym rządy czuły się w prawie decydować. Echa wcześniejszego okresu odzywały się w stwierdzeniach w rodzaju: nie zepsuty chłop jest najlepszym przedstawicielem narodowego charakteru i czystości, albo: szlachta przez całe wieki była kręgosłupem narodu itd. itp. Były one jednak, w najlepszym razie, nostalgicznym przypomnieniem czegoś, co wydawało się niektórym najlepszymi kartami przeszłości. Kiedy populiści czy etnografowie potraktowali te twierdzenia poważnie, władze zwróciły się przeciwko nim uznając ich za niepatriotycznych agitatorów. Mógł być tylko jeden naród, jeden nacjonalizm, jedna interpretacja przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, i tylko rząd wiedział, co to jest. Do charakterystyki nacjonalizmu wschodnioeuropejskiego w tym okresie należy zatem dodać jeszcze jedną cechę, że mianowicie był on nie tylko *ześrodkowany na państwie*, ale też *oficjalnie zdeterminowany*.

Dotyczy to wszystkich nacjonalizmów wschodnioeuropejskich okresu międzywojennego. Trzeba wszakże wyróżnić dwa jego typy. Uznanie *status quo* przez narody łączyło się z samozadowoleniem i obawą, że rewizjoniści mogą znaleźć popleczników. Rezultaty konferencji pokojowych nie mogły podlegać dyskusji, toteż nacjonalizm w tych państwach zyskał tę cechę, że był *domniemanie niepodważalny*. Jednakże inne narody, te które poniosły klęskę, musiały stawić czoło powszechnym międzywojennym problemom, o których już wspomniałem, w o wiele trudniejszej sytuacji niż ich „wrogowie”. Poza wszystkim innym, musieli walczyć z kompleksami niższości czy niewiary w siebie, jakie zrodziła

klęska. Temu celowi służyła nieustająca propaganda na użytek wewnętrzny i zewnętrzny, oskarżająca w nieskończoność paryskich twórców pokoju, i która jednocześnie pogłębiała totalitarne tendencje reżymów. Nadawała to ich nacjonalizmowi znamiona *rewanżyzmu* i *protofaszyzmu*.

Ponieważ nie powiodły się podjęte przez rządy wschodnioeuropejskie próby stworzenia w ich krajach „warunków naszych czasów” i narastał ich niepokój, wzmożły się i zaostrzyły ataki na tych, których można było użyć jako kozły ofiarne, a definicje narodu i nacjonalizmu zawęziły się tak bardzo, że trąciły totalitaryzmem. W okresie międzywojennym preferowane były odmiany prawicowe, ale gdy raz się zaakceptuje takie podejście do rządzenia społeczeństwem, otwierają się szeroko drzwi do totalitaryzmu wszelkiego typu, z lewicowym włącznie.

Lata II wojny światowej, pierwsze wrażenia jakie wywołało zachowanie się armii radzieckiej, rozmaite powojenne doświadczenia, które doprowadziły wszędzie, najpóźniej w 1948 roku, do ustanowienia rządów komunistycznych, były demoralizującą. W żywej pamięci świadków pod koniec II wojny światowej nacjonalizm był jedną z najsilniejszych, jeśli nie najsilniejszą siłą ideologiczną i emocjonalną w społeczeństwie. Nowe reżymy, zajęte przeobrażaniem ludzi, którymi rządziły, w „ludzi komunistycznych”, głosiły, że nacjonalizm to wielkie fałszerstwo i zło współczesnych czasów i że powinien zostać wyeliminowany choćby dlatego, że utrudnia lub wręcz uniemożliwia współpracę z bratnimi narodami i rządami w szybko powiększającej się sowieckiej strefie wpływów. Jednocześnie specjalną troską otoczono mniejszości narodowe dając im żyć własnym życiem w autonomicznych regionach wzorowanych na republikach sowieckich. Nie dostrzegano kryjącej się w tym sprzeczności; zresztą ustanowienie tych regionów miało równie nikły wpływ na usunięcie antagonizmów narodowych jak hasła głoszone przez partie rządzące. Antynacjonalizm i internacjonalizm były ideałami lansowanymi przez rządy, gdy tymczasem nacjonalizm ujawnił się w nowej postaci w sporze między Tito a Stalinem.

Największym grzechem Tito w oczach Stalina była bez wątpienia odmowa podporządkowania się dyktatorowi Moskwy, ale Tito różnił się od władcy na Kremlu również pod wieloma innymi

względami. Coż było złego w podejściu Tito do sprawy reorganizacji Jugosławii i nadziei na utworzenie państwa federacyjnego na całym Półwyspie Bałkańskim? W końcu Związek Radziecki też się składa z wielu rozmaitych krajów. Dlaczego organizowanie tych państw podług linii narodowych było błędem? Nazwy republik radzieckich świadczą o tym, że one również zostały ustanowione wedle linii etnicznych. Nie można było nawet oskarżyć Tito o to, że wymyślił „komunizm w jednym kraju”, gdyż – jak sam przypomniał Stalinowi – był to jeden z najsilniejszych argumentów Stalina przeciwko Trockiemu¹⁴. Wielkim grzechem Tito było to, że odrzucił sposób, w jaki budowano komunizm w Związku Radzieckim. Jego celem – jak Stalina – był komunizm, ale uważał, że każde państwo musi znaleźć własne metody osiągnięcia tego celu, metody odpowiadające realiom gospodarczym i narodowym, wobec których stała jego partia. Miało to ogromne znaczenie dla komunistów na całym świecie i było wyzwaniem dla hegemonii Związku Radzieckiego w komunistycznej rodzinie. Tito twierdził bowiem, że komunizm musi być dostosowany do lokalnych warunków i stworzył coś, co w pierwz zostało nazwane titoizmem, a gdy znalazł naśladowców – narodowym komunizmem. W ten sposób podważył naukowy charakter marksizmu: prawa nauki nie zmieniają się z kraju do kraju, ale prawa marksizmu – według Tito – tak.

Narodowy komunizm pojawił się w Jugosławii wtedy, gdy wszędzie indziej nacjonalizm uważany był przez komunistów za grzech. Nazwą tego nowego *izmu* była prawidłowa: rzeczownik zawsze jest ważniejszy od określającego go przymiotnika. Tito chciał zaprowadzić komunizm w swoim kraju i w tym celu poszedł na taktyczne ustępstwa, bez czego, mimo swych wojennych sukcesów, niewiele mógł zdziałać w kraju wielonarodowym. *Narodowy komunizm* zachował wiele cech nacjonalizmu międzywojennego. Był *propagandowy, pewny swojej racji, ześrodkowany na państwie i oficjalnie zdeteminowany*, ale doszła nowa, najistotniejsza cecha: nacjonalizm był *ideologicznie podporządkowany*, i przestał być celem samym w sobie.

Po roku 1956 tradycyjny nacjonalizm wypłynął na powierzchnię w dwu postaciach – późno XIX-wiecznej i międzywojennej. Początkowo głoszone go raczej nieśmiało i eksperymentalnie, ale z biegiem czasu coraz głośniej. Sprawa spornych

terenów znów stanęła na wokandzie. Dziś w Rumunii przedmiotem sporów jest kwestia besarabska, w Bułgarii bardzo żywa jest kwestia macedońska (sprawę Siedmiogrodu omówię osobno). Wymienione kwestie terytorialne są reminiscencją okresu międzywojennego, oficjalną rządową wersją nacjonalizmu wschodnioeuropejskiego. Albańczycy z Kosovo mogą sobie roić najrozmaitsze rzeczy, łącznie z odrębnym państwem czy unią z Albanią. Cokolwiek mają na myśli, ich cele i działania są te same, co budowniczych państw w drugiej połowie zeszłego stulecia. Stowacy dążyli do podobnych celów, od kiedy powstała Czechosłowacja. Obecnie, w połowie lat osiemdziesiątych, wydaje się, że osiągnęli większość z nich dzięki reformom wprowadzonym w okresie Praskiej Wiosny w 1968/69 roku. Niektóre ze *starych nacjonalizmów* wciąż są żywe w Europie wschodniej, zabarwiają do pewnego stopnia wszelkie inne wersje i niezmiernie utrudniają współpracę „bratnich krajów”.

Trzecia wersja oficjalnego nacjonalizmu w Europie wschodniej zrodziła się po wypadkach węgierskich 1956 roku. Po raz pierwszy wyrażona została w często cytowanej wypowiedzi Janosa Kadar: „kto nie jest przeciwko nam, ten jest z nami”, i na Węgrzech w pełni rozkwitła. Pojawiła się na nowo w okresie Praskiej Wiosny i w ruchu eurokomunizmu, który podjął większość czeskich idei. Jej ostatnim wyraźnym przejawem był ruch „Solidarności” w Polsce na początku tej dekady. Ta trzecia wersja to *komunistyczny nacjonalizm*, będący ciągle mieszaniną dwu teoretycznie wykluczających się idei, z tym że tym razem dominuje element nacjonalistyczny. Takie podejście, raz jeszcze sponsorowane przez rząd i partię, operuje kategoriami państwa, które z pewnością nie obumiera, rządu, który jest prawowity, ponieważ ma poparcie ludności, i celów, które są czysto narodowe i jak najdalej internacjonalistycznym. Od wariantów narodowo-państwowotwórczych z poprzednich okresów różni się tym, że bardziej jest skoncentrowany na froncie domowym niż na zewnętrznych wrogach i że przynajmniej stwarza pozory jedności ideologicznej z innymi socjalistycznymi czy ludowymi republikami.

Komunistyczny nacjonalizm może łatwo współlistnieć z *etnonacjonalizmem* albo „nową etnicznością”, zjawiskiem nie tylko wschodnioeuropejskim, ale występującym bardzo wyraźnie w tej części świata^{1b}. Etnonacjonalizm odwraca w jakimś sensie klasyczną historyczną ewolucję od etniczności do narodu a w końcu

do nacjonalizmu. Jest reakcją na dwa trendy w historii. Mówiliśmy już o tym, że nacjonałiści usiłowali zdobyć i zdominować władzę, uważaną za prawowitą tylko wówczas, gdy szła za życzeniami narodu. Wspomnieliśmy też o fakcie, że ta sekwencja – koń (naród) i wóz (rząd) – w ostatnich 60, a zwłaszcza 40 latach została odwrócona: nacjonalizm jest obecnie formułowany przez rządy, a od ludności żąda się, by akceptowała jako własne cele głoszone przez ludzi u władzy. W tym sensie nacjonalizm nie jest już legitymacją rządów, lecz służy za uzasadnienie tego, czego władze żądają od ludzi. Stary koń nie cieszy się z tego, że został wozem, tym bardziej, że w nowoczesnym państwie centralizacja jest skrajnie rozbudowana. Ludzie czują, że mają bardzo mało wspólnego z odległym, bezosobowym i potężnym rządem. Mogą być posłuszni jego rozkazom, mogą nawet zgadzać się z tymi, co mają władzę, ale uczuciowo nic ich z nimi nie wiąże.

Nowoczesne środowisko miejskie i przemysłowe jest drugą przyczyną pojawienia się etnonacjonalizmu. Stwarza ono otoczenie, w którym przeciętny człowiek czuje się zagubiony, pozbawiony osobowości, a często narażony na niebezpieczeństwo. Otoczenie i państwo nie dają już poczucia bezpieczeństwa i przynależności; „warunki naszych czasów” przemieniły nacjonalizm w doktrynę rządową i zostawiły naród, zmuszając jego członków do szukania czegoś innego, z czym mogliby się identyfikować. Tym czymś jest „nowa etniczność”.

Różni się ona zdecydowanie od tej, która istniała mniej więcej 200 lat temu, kiedy wykształcili się nowoczesne pojęcia narodu i nacjonalizmu. Nie jest ani narodowotwórcza, ani państwowotwórcza, owszem, może akceptować naród i państwo, w które chce się wpasować, jako najzupełniej prawowite i do przyjęcia. Nowa etniczność nie jest secesjonistyczna, żąda jedynie autonomii i często zadowala się autonomią społeczną, kulturalną i gospodarczą, rezygnując z politycznego samokreślenia. Dzisiaj w Jugosławii toczy się wielka dyskusja między autonomistami i centrystami, a Słowacy wydają się zadowoleni z tego, czego dokonali 20 lat temu. Z wyjątkiem paru gorących głów, Słowacy, Chorwaci, Słoweniecy itp. są realistami, którzy zdają sobie sprawę, że w dzisiejszych czasach lepiej im – z powodów gospodarczych i bezpieczeństwa – żyć w kraju większym i silniejszym niż w takim, którego granice wyznaczałyby etniczne linie demarkacyjne.

Nowa etniczność szerzy się nawet wśród mniejszości, których liczebność znalazła wskutek masowych ruchów migracyjnych po II wojnie światowej. W Europie wschodniej Węgrzy są jedyną większą grupą żyjącą poza swoim krajem. Nigdy nie słyszymy o tych, którzy żyją w Wojewodzinie, gdyż władze jugosłowiańskie prawidłowo zareagowały na nową etniczność tamtejszych Węgrów. Natomiast problem Węgrów w Siedmiogrodzie jest stale dyskutowany i to nie tylko w krajach bezpośrednio zainteresowanych. Państwo rumuńskie jest dostatecznie silnie, by utrzymać mniejszości w ryzach, Węgrzy nie są zainteresowani odzyskaniem Siedmiogrodu, ale głęboko obchodzi ich los Węgrów w tym regionie. W jakimś sensie Węgrzy z Siedmiogrodu byłiby szczęśliwi, gdyby żyli tak jak ci z Wojewodiny, a rządowi w Budapeszcie również by to odpowiadało. Rumunia, inaczej niż Jugosławia, najwyraźniej nie odróżnia nowej etniczności od rewanżystowskiego szowinizmu na starą modłę. Tylko to może wytłumaczyć politykę Bukaresztu wobec mniejszości, politykę będącą kontynuacją postawy międzywojennego *status quo*, co ilustruje cała historia związana z wydaniem w Budapeszcie trzytomowej *Historii Siedmiogrodu*¹⁶. Trudno znaleźć lepszy przykład przetrwania do dziś *domniemanie-nieomylnego, wojowniczego* nacjonalizmu okresu międzywojennego od płatnego tekstu na całą stronę atakującego tę pracę, jaki Rumuni zamieścili w londyńskim *Times*¹⁷.

Nowoczesne państwa i rządy mogą koegzystować z nową etnicznością, jeśli rozurnieją jej naturę. Czy etnonacjonalizm jest prawdziwą formą nacjonalizmu? Myślę, że tak, ale przyznaję, że jest to rzecz do dyskusji. Tak czy inaczej pozostaje nam jeszcze kilka innych typów nacjonalizmu w dzisiejszej Europie wschodniej. Nie są one dwoma wariantami tego samego nacjonalizmu, który omówiliśmy odnośnie okresu międzywojennego i wydają się być formami odrębnymi. Wydaje mi się, że są jedynie różnymi przejawami nowego nacjonalizmu typowego *wyłącznie* dla Europy wschodniej. To *nacjonalizm defensywny* jest autentycznym, specyficznym wschodnioeuropejskim nacjonalizmem ostatnich 40 lat, do którego wpasowały się wszystkie inne ekspresje nacjonalizmu. Nie koniecznie jest antyrosyjski, antyradziecki czy antynarksi-stowski w jasno wyłożonym ideologicznym sensie, ale jest wyrazem obrony przeciwko wszystkiemu, co świadomie bądź podświa-

domie utożsamiane jest z zakładanymi, nawet jeżeli nie wyrażonymi publicznie, celami rządu sowieckiego.

Peter F. Sugar

Przełożyła Maria Li

PRZYPISY

¹ Boyd C. Shafer, *Nationalism. Myth and Reality*, New York: Harcourt, Brace and World, 1955.

² Ernest Gellner, *Nations and Nationalism*, Ithaca and London: Cornell University Press, 1983.

³ Elie Kedourie, *Nationalism*, London: Hutchison University Library, 1960.

⁴ Carlton J. H. Hayes, *Essays on Nationalism*, New York: The Macmillan Co., 1926.

⁵ Hans Kohn, *The Idea of Nationalism*, New York: The Macmillan Co., 1948.

⁶ Louis L. Snyder, *The Meaning of Nationalism*, Westport, CT: Greenwood Press, 1954.

⁷ Ważną książkę na ten temat jest: John A. Armstrong, *Nations before Nationalism*, Chapel Hill, N.C.: University of North Carolina Press, 1982.

⁸ Peter F. Sugar, „External and Domestic Roots of Eastern European Nationalism”, w: Peter F. Sugar and Ivo J. Lederer (eds.), *Nationalism in Eastern Europe*, Seattle and London: University of Washington Press, 1969.

⁹ Anthony D. Smith, *Nationalism in the Twentieth Century*, New York: New York University Press, 1979.

¹⁰ Peter F. Sugar, „Ethnicity in Eastern Europe”, w: Peter F. Sugar (ed.), *Ethnic Diversity and Conflict in Eastern Europe*, Santa Barbara and Oxford: ABC-CLIO, 1980.

¹¹ Hugh Seton-Watson, *Nations and States*, Boulder, CO: Westview Press, 1977.

¹² Ernest Gellner, „Ethnicity between Culture, Class and Power”, w: Peter F. Sugar (ed.), *Ethnic Diversity*, op. cit.

¹³ Poza cytowany już pracami Smitha i Gellnera, szereg utworów zajmuje się tym problemem, m.in. American Universities Field Staff (K.H. Silver, ed.), *Expectant People. Nationalism and Development*, New York: Random House, 1963; Glen St. J. Barclay, *20th Century Nationalism*, London: Weidenfeld and Nicholson, 1971; Karl W. Deutsch and William J. Foltz (eds.), *Nationbuilding*, New York: Atherton Press, 1966.; Karl W. Deutsch, *Nationalism and Social Communications*, Cambridge, Mass.: M.I.T. Press, 1966; Anthony D. Smith, *Theory of Nationalism*, London: Duckworth, 1983.

¹⁴ Na temat sporu Stalina - Tito patrz: *The Soviet-Yugoslav Dispute: Text of the Published Correspondence*, London: Royal Institute of International Affairs, 1948.

¹⁵ O ile wiem, Walker Connor był po raz pierwszy pojęcia etnonacjonalizm w: „The Politics of Ethnonationalism”, *Journal of International Affairs*, styczeń 1973. Pisał na ten temat również Anthony D. Smith w: *The Ethnic Revival*, Cambridge-New York: Cambridge University Press, 1981, oraz wielu socjologów, w tym: Hugh Donald Forbes, *Nationalism Ethnocentrism and Personality*, Chicago: Chicago University Press, 1985 i John F. Stack, Jr. (Jed.), *The Primordial Challenge: Ethnicity in the Contemporary World*, Westport, CT: Greenwood, 1986.

¹⁶ Béla Kopeczy (in. (eds.), *Erdely Tortenete*, III, Budapest: Akadémiai Kiado, 1986.

książki

Stanisław Barańczak

ARTYSTA PAŃSTWOWY

Miklós Haraszti, *The Velvet Prison:
Artists Under State Socialism.*

Wstęp George'a Konrada. Przełożyli z węgierskiego
Katalin i Stephen Landesmann z pomocą
Steve'a Wassermana. A New Republic Book.
Basic Books, New York 1987, ss. 165.

W ostatnich doniesieniach prasowych na temat akcji protestacyjnych na Węgrzech coraz częściej przewija się nazwisko Miklósa Haraszti. Nazwisko od lat dobrze znane w Polsce – Haraszti był między innymi węgierskim współredaktorem pisma *Krytyka* – ale dopiero od pewnego czasu zdobywające sobie rozgłos na Zachodzie. Przełomowym momentem stało się tu niedawne opublikowanie w USA angielskiej wersji drugiej książki Haraszti, *Aksamitne więzienie: Artyści pod władzą socjalizmu państwowego*. Książka, dostępna już wcześniej w przekładzie francuskim, spotkała się w Stanach z bezprecedensową falą najwyższych pochwał krytyki i znacznym zainteresowaniem. Rzadkie to zjawisko, aby książka zajmująca się nie ZSRR, lecz któryś z małych krajów Europy środkowej, została w Ameryce do tego stopnia zauważona i doceniona.

Sukces Harasztiego jest tym bardziej imponujący, że w gruncie rzeczy jego książka idzie pod prąd wielu obiegowych na Zachodzie wyobrażeń. Dotyczy to zwłaszcza centralnego w książce problemu socjalistycznej cenzury. Słyszając o wschodnioeuropejskiej cenzurze, zachodni intelektualista wyobraża sobie zazwyczaj układ, w którym cenzor i autor są nie tylko dwiema odrębnymi

postaciami, ale równieŜ naturalnymi antagonistami: rzeczą cenzora jest skreślać, rzeczą autora – burzyć się przeciw skreślaniu. Obywatel Węgier, Czechosłowacji czy Polski wie, że w typowych sytuacjach stan rzeczy przedstawia się nie tak prosto i zarazem – wygląda bardziej złowrogo. Jeśli pominąć wyjątkowe okresy i nietypowe zjawiska, normą jest raczej układ, w którym cenzura i kultura to nie tyle dwa przeciwne i odseparowane bieguny, ile dwa ząbione kółka jednego i tego samego mechanizmu socjalistycznej polityki kulturalnej. Zarządcy i kontrolerzy kultury bynajmniej nie marzą o całkowitym jej zdławieniu czy wyeliminowaniu: przeciwnie, hodują ją troskliwie i pobudzają jej wzrost – pod warunkiem, oczywiście, że jest to kultura odpowiadająca ich wymaganiom i służąca ich celom. Z drugiej strony producenci kultury – intelektualiści i artyści – bynajmniej nie absolutyzują swojego prawa do nieskrępowanej swobody wypowiedzi: przeciwnie, większość z nich świadomie zrzeku się tego prawa w zamian za inne przywileje. Zamiast o wzajemnej wrogości, należałoby raczej mówić o „wzajemnym uścisku” cenzorów i autorów.

Aksamitne więzienie Haraszti, z którego ten zatruwający obraz „wzajemnego uścisku” pochodzi, to niewątpliwie książka, przy której lekturze myślicy czytelnik zachodni jest w stanie doznać nie mniejszego poczucia grozy niż w wypadku książek Solżenicyna, Szalamowa czy Marcenki. Dzieje się tak, mimo że – a może właśnie dlatego, że – książka mówi nie o aresztowaniach i torturach artystów, lecz o kulturze na pozór kwitnącej i cieszącej się dobrym zdrowiem; nie o krwawych prześladowaniach intelektualistów przez aparat władzy, lecz właśnie o ich sprzężeniu we „wzajemnym uścisku”. Dla każdego zorientowanego jest przy tym najzupełniej oczywiste, że Haraszti to ostatni człowiek, którego można by podejrzewać o wybielanie socjalistycznej rzeczywistości na użytek zachodniego odbiorcy. Podobnie jak Vaclav Havel czy Adam Michnik, Haraszti jest w swojej ojczyźnie od lat żywą legendą, symbolem odwagi przekonania i konsekwencji politycznych. Utożsamia się go z tym, co w ramach węgierskiej opozycji demokratycznej najbardziej myślowo niezależne. Urodzony w roku 1945 w komunistycznej rodzinie, spędził całe swoje życie na Węgrzech, większą część tego życia poświęcając nieustępliwej walce o poszerzenie dostępnego jego rodakom marginesu wolności. Ten

„urodzony dysydent”, jak określa go starszy przyjaciel, znany pisarz Georgé Konrád, zaczynał rzeczywiście wcześniej: jego działalność w latach studenckich przyniosła mu wyrzucenie ze studiów. Rozstawszy się z uczelnią, Harasztli podjął – kolejne podobieństwo z biografią Adama Michnika – pracę w fabryce: Doświadczenia i obserwacje, jakie tam zebrał, zaowocowały jego słynną pierwszą książką *Robotnik w państwie robotniczym*, której podziemna publikacja w roku 1973 zakończyła się procesem sądowym autora. Skazany na nieistnienie w oficjalnym życiu publicznym Węgier, stał się w zamian czołową postacią kręgów dysydenckich, rozpowszechniając swoje poglądy głównie na łanach samizdatowego pisma *Bészélő*.

Przy tym wszystkim Harasztli jest jednak nie tylko czołowym dysydemtem: jest również dysydemtem wśród dysydentów. Szczególnie cenną cechą jego umysłowości jest umiejętność krytycznego i pozbawionego złudzeń spojrzenia z boku na sam ruch opozycyjny. Węgierski autor nigdy nie pada ofiarą typowych dysydenckich uproszczeń i samo-wmówień, zgodnie z którymi cały świat dzieli się na „nich”, bezwzględnych totalitarnych przesładowców, i „nas”, niewinne i szlachetne ofiary. Umysł Harasztiego jest dostatecznie wnikliwy i zarazem uczciwy, aby uświadomić sobie niemilą prawdę: „oni” nie utrzymaliby się ani dnia przy władzy, gdyby nie milczące przyzwolenie, którego w tej czy innej mierze udzielamy im „my”. Perfidia posttotalitaryzmu polega właśnie na tym: na niedostrzegalnym zacieraniu granicy pomiędzy uciskającymi a uciskanymi, na wprzęganju w dzieło ucisku samej ofiary ucisku.

Uderzające, że aby dobitniej i skuteczniej przekazać czytelnikowi tę tezę, książka Harasztiego, będąca w zasadzie politycznym esejem, ucieka się do wyrafinowanego chwytu narracyjnego, przypominającego charakterystyczną technikę niektórych środkowoeuropejskich poetów (choćby Zbigniewa Herberta). Tym chwytym narracyjnym jest w *Aksamitnym więzieniu* coś w rodzaju monologu dramatycznego, w którym mówiąca postać prezentuje swoje poglądy i argumenty z pozoru bez żadnej ingerencji ze strony autora – sam natomiast tok i charakter tej prezentacji kompromituje postać i jej poglądy. Inaczej mówiąc, autor jest w tej książce bruchomówcą, który nie otwiera ust, przemawiając wyłącznie ustami manipulowanej przez siebie marionetki. Ironia całej sytuacji polega jednak na tym, że marionetka nie jest *alter*

ego autora, lecz właśnie jego antagonistą: narrator książki to typowy „państwowy artysta” czy intelektualista, na tyle trzeźwy i bystry, aby nie mieć złudzeń co do socjalizmu, ale i na tyle cyniczny, aby uwłóć sobie w socjalistycznym państwie przytulne gniazdko.

Podstawowe założenie narratora jest następujące: Nie da się zaprzeczyć, że ustroj polityczny Węgier w latach siedemdziesiątych jest czymś różnym jakościowo od ustroju ZSRR w latach trzydziestych lub nawet samych Węgier na początku lat pięćdziesiątych. Dni stalinowskiego terroru mamy dawno za sobą. Współczesny socjalizm państwowy, choć formalnie wyrastający z wciąż tego samego ideologicznego fundamentu, udostępnia władzy kompletnie nowy zestaw narzędzi socjotechnicznych służących rządzeniu społeczeństwem. Jednym z najbardziej poręcznych narzędzi tego rodzaju jest zaś „nowa kultura estetyczna”, w ramach której dawne metody komenderowania artystami (i rozstrzeliwania lub zsyłania tych szaleńców, którzy ośmielają się komend nie słuchać lub wykonują je nie dość skwapliwie) zastąpione zostają przez swoistą „symbiozę” społeczności artystów i współczesnego socjalistycznego państwa. W życiu tak kulturalnym jak i politycznym dawne hasło „kto nie jest z nami, jest przeciwko nam” przybrało zmodyfikowaną postać „kto nie jest przeciwko nam, jest z nami”. Jeśli nawet dawniejsze życie kulturalne stało pod znakiem opozycji cenzury i artystów, sytuacja obecna polega na stopniowym zaniku cenzury, zmierzającym do jej całkowitej eliminacji. Ścisłej biorąc, cenzura jako instytucja stanie się wkrótce doskonałe zbyteczna, albowiem artyści będą cenzurować samych siebie. Tego typu cenzura ma prawo „głosić, że jest w istocie wolnością, ponieważ – jak moralność – działa w myśl wspólnych założeń duchowych rządzących i rządzonych”.

Sylogizm ten pozwala narratorowi Harasztiemu puścić się na szersze rozważania dotyczące natury związku między sztuką a wolnością. Ze szczególną lubością podważa tu narrator obiegową opinię, zgodnie z którą bez wolności nie ma prawdziwej sztuki. Po pierwsze, przeczy temu doświadczenie historyczne: sztuka egipska czy średniowieczna dawała sobie radę bez wolności całkiem nieźle. Może zatem służebność socjalistycznej kultury jest niczym innym jak powrotem do naturalnej kondycji sztuki? Po drugie, w nowoczesnym państwie socjalistycznym sama potrzeba autonomii

artystycznej uległa prawie całkowitemu wykorzenieniu. Niezależna sztuka jest dziś praktycznie niemożliwa, ponieważ nie istnieje niezależna publiczność. W obecnym społeczeństwie jakikolwiek przejaw sztuki prawdziwie niezależnej spotkałby się z automatycznym odrzuceniem, zostałby bowiem uznany za anty-sztukę. Co za tym idzie, artysta jest świadom, że pojęcie niezależności jako takie jest właściwie równoznaczne z „przepisem na to, jak stracić wszelkie znaczenie dla społeczeństwa”. Wynikiem tego wszystkiego jest zjawisko, które narrator nazywa prawdziwym „wyzwoleniem sztuki” (mając, rzecz jasna, na myśli wyzwolenie w duchu Engelsowskiej definicji wolności jako uświadomionej konieczności). Można rzec, że kultura w dzisiejszym państwie socjalistycznym osiągnęła ostateczną dojrzałość, a nawet wkroczyła w okres swego rodzaju menopauzy: trzeźwa odpowiedzialność zajmuje miejsce młodzieńczego upojenia nieodpowiedzialnym buntem.

Jak do tego doszło? Narrator Harusztiego nie szczędzi starań, aby przekonująco objaśnić historyczne powody tego stanu rzeczy. Obecna kultura państwa socjalistycznego przyznaje się otwarcie do tradycji radykalnego zaangażowania, cechującego sztukę ubiegłego stulecia. Przyjemna różnica polega wszelako na tym, że w epoce kapitalizmu zaangażowanie artysty równało się jego alienacji; socjalizm natomiast czyni artystę składnikiem państwa, które właśnie za zaangażowanie ceni go, sławi i nagradza. W rzeczywistości, po dostaniu się wschodniej Europy pod rządy socjalizmu państwowego, wszystko to okazało się jeszcze rozkoszniejsze niż w początkowych zapowiedziach i obietnicach. Narrator przyznaje wprawdzie, że nieraz trzeba było użyć kija, aby opornych artystów przekonać do uroków nowego systemu. Większość artystów jednak od początku z entuzjazmem żuła marchewkę. A marchewka była spora i smaczna: państwo domagało się określonego typu sztuki – sztuki, która indoktrynuje, wychowuje, lub przynajmniej wzmacnia spójność społeczną – ktokolwiek wszakże takiej sztuki dostarczał, był za swoje wysiłki sowicie wynagradzany. Co więcej, sztuka mogła odtąd czerpać satysfakcję z obu stron społecznego równania jednocześnie: odczuwać dumę ze swego statusu służebności wobec społeczeństwa i cieszyć się zarazem przywilejami władzy.

Doprowadziło to do sytuacji, w której interesy artystów stały się stopniowo zbieżne z interesami państwa. Po skorygowaniu sta-

linowskich błędów i wypaczeń, artystom w znacznym stopniu popuszczono smyczy, oczywiście w dalszym ciągu trzymając ją krzepko w rękę: wolność to, bądź co bądź, uświadomiona konieczność. W dziedzinie sztuki uświadomione konieczności oblekły się w kształt rozmaitych tabu, których istnieniem każdy artysta jest w pełni świadom. Tabu najistotniejsze to założenie, że sztuka musi być afirmacją rzeczywistości; co za tym idzie, nie tylko sztuka opozycyjna czy politycznie niesłuszna, lecz również artystyczny „solipsyzm” wyłączony jest z kręgu tolerancji państwa, nie mówiąc już o jego poparciu. Ale czy do wprowadzenia w życie owych tabu potrzebna jest jakakolwiek formalna cenzura? Skądże znowu: artysta w państwie socjalistycznym – argumentuje narrator Harasztiego – jest kimś w rodzaju pracownika przedsiębiorstwa, zorganizowanego w duchu korporacyjnego kapitalizmu. Pracownik taki zdaje sobie sprawę, że to, co dobre dla przedsiębiorstwa, jest dobre i dla niego. Zjawisko, zasługujące na miano „cenzury postępowej”, jest więc w istocie formą świadomej samokontroli zatrudnionego przez państwo artysty. Jego umiętność „autokorekcyj” i „twórczości kompromisu” sprawia, że otwarta ingerencja państwa w sprawy sztuki staje się zbędna.

Artysta w nowoczesnym państwie socjalistycznym pogodził się więc dawno z żądaniami państwa; więcej – zinternalizował te żądania. Doszło nawet do tego, że artysta staje okoniem, ilekroć mający przed nim perspektywa przecięcia więzi łączącej go z państwem. Bodaj najbardziej dającym do myślenia fragmentem książki Harasztiego jest rozdział „Sztuka i gospodarka”, relacjonujący niebywałą historię dyskusji, która rozpełtała się w latach siedemdziesiątych w węgierskiej śródcechu przekazu. Poszło o to, że w pewnym momencie rząd – mając dość bezustannego łożenia na deficytową kulturę – wpadł na niby-kapitalistyczny pomysł przejścia niektórych instytucji kulturalnych na własny rozrachunek: dano im wolną rękę w wykorzystywaniu zachodniego, więc z założenia atrakcyjnego, modelu kultury masowej, w zamian zaś oczekiwano, że ich działalność zacznie się wreszcie opłacać. Pomysł spotkał się z natychmiastowym protestem społeczności artystów, który przybrał nieoczekiwanie neostalinowską formę obrony kontroli państwa nad sztuką. Autorzy protestów obawiali się nie bez racji, że oparcie kultury na mechanizmach gospodarki rynkowej

odbierze artystom ekonomiczne zabezpieczenie ich egzystencji. Pies ugryzł zatem rękę, która próbowała połuznić mu obrozę: sami artyści wykazali naocznie, że miłsza im opieka państwa niż wolność.

Cyniczny narrator Harasztiego zna przedmiot swojej analizy na wylot i coraz to wyciąga z rękawa kolejne dowody na poparcie swoich tez. Potrafi być równie szczegółowy i dokładny w opisie estetyki „cenzury postępowej” z jej konkretnymi zakazami i wytycznymi, jak i w rozbiórce tego, co można by nazwać infrastrukturą państwowego życia kulturalnego (np. oparty na staranym planowaniu i zuniformizowany system kształcenia artystów, lub tak zwany artystyczny ruch amatorski, w którym, ma się rozumieć, „amatorem może być tylko ten, kto ma pozwolenie na bycie amatorem”). Narrator pokłada też całkowitą ufność w przyszłości opisywanego przez siebie systemu. Obiegowej opinii, która w zjawiskach języka ezopowego i „pisania między wierszami” widzi symptomy rozkładu socjalistycznej kultury, przeciwstawia z całym spokojem obserwację, iż te same zjawiska cechowały cywilizacje starożytne, które mimo to okazały się dosyć długowieczne. Inne złudzenie, które narrator wyszydza, to przekonanie, że w kulturze krajów socjalistycznych istotną i autentyczną rolę odegrać mogą dysydenci. Jego zdaniem, nawet obecność tych ostatnich to element „dobrze obmyślanej strategii” państwa: to, co dysydentów zwykle spotyka, służy znakomicie jako przestroga pod adresem „państwowych artystów”, którym przypomina, co mają do stracenia.

W tym właśnie punkcie wywodów narratora zdajemy sobie już ostatecznie sprawę z ogromu dystansu, jaki dzieli głos marionetki Harasztiego i głos samego Harasztiego. Przytaczane fakty są oczywiście faktami; lecz to, co w zwierzeniach narratora – tego skończonego przykładu „artysty państwowego” – pobrzmiewa cyniczną pewnością siebie, stanowi tylko odwrotną stronę pesymizmu i desperacji autora. Harashti jest właśnie jednym z tych dysydentów, z których narrator pokpiwa w ostatnim rozdziale książki: jednym z tych, którzy na przekór wszelkim dowodom przeciwnym i wbrew własnemu zniechęceniu uparcie bronią wolności artysty. Wolności rozumianej jako po prostu wolność – nie jako „uświadomiona konieczność”.

Czytelnik *Aksamitnego więzienia*, pisanego jeszcze w latach siedemdziesiątych, czerpie przy tym przewrotną satysfakcję ze świadomości, że historia zadała kłam nie Harashtiemu, ale właś-

nie jego cynicznemu narratorowi. Przede wszystkim narodziny niezależnej kultury w Polsce, ale także i podobne, choć mniejsze zasięgiem, procesy dokonujące się na Węgrzech wykazały dobitnie, że jakiegokolwiek bezwarunkowe ustalanie perspektyw kultury w warunkach państwowego socjalizmu nie ma większego sensu. Nieodwracalne przemiany społeczne, jak w wierszu Artura Międzyrzeckiego, „Objawiają się nie wiadomo kiedy / Jakby krą pękła nagle” i z prognoz politologów niewiele pozostaje. Sam Harashti przyznaje (w posłowie, dodanym do książki w roku 1987), że najnowsza historia podważyła, przynajmniej częściowo, tezy jego narratora. Można by dorzucić, że jest to zarazem podważenie ogólniejszej wizji przyszłości – wizji wypływającej z obaw Orwella, który zadawał sobie niegdyś pytanie, czy totalitaryzm nie wyprodukuje w końcu nowego „gatunku ludzi, nie pragnących wcale wolności”. Choć wielu myślicieli politycznych, z Aleksandrem Zinowiewem na czele, odpowiedziałoby na to pytanie twierdząco, rzeczywistość lat osiemdziesiątych dostarcza coraz to liczniejszych dowodów na to, że Homo Sovieticus, jeśli nawet jego istnienie jest obiektywnym faktem, nie zdominował jeszcze życia duchowego Europy środkowej i zapewne nieprędko uda mu się to uczynić.

Ale też nie znaczy to wcale, że ta błyskotliwa, jadowita i ponura satyra, jaką jest *Aksamitne więzienie*, stała się w latach osiemdziesiątych już tylko dokumentem historycznym. Przeciwnie, książka Harashtiego z pewnością długo jeszcze nie straci swojej aktualności jako analiza „ucieczki od wolności” państwowych artystów w warunkach wschodnioeuropejskiego posttotalitaryzmu. Posunąłbym się nawet do przewidywania, że właśnie ta książka dostarczy nieza długo najsprawniejszych narzędzi do analizy procesów dokonujących się obecnie w kulturze ZSRR pod rządami ekipy Gorbaczowa. Myślę też, że przekład *Aksamitnego więzienia* byłby – choćby jako ostrzeżenie – czymś bardzo pożytecznym w dzisiejszej Polsce, w której coraz częściej słychać głosy artystów zalecające „rozsądny kompromis” pomiędzy kulturą a państwem. Lektura książki Harashtiego przekonuje, jak łatwo ów „rozsądny kompromis” przechodzi we „wzajemny uścisk” – uścisk dla kultury dławiący i zabójczy.

Stanisław Nowicki

**MARKIZA DE CUSTINE'A
PODRÓŻ DO BRZUCHA LEWIATANA**

Astolphe Louis Lénor markiz de Custine:

Listy z Rosji. Rosja w 1839 roku.

Z francuskiego przeł. K. Czerwińska.

Aneks, Londyn 1988, s. 210.

Niedawno byłem uczestnikiem nader pouczającej rozmowy. Z wycieczki do Związku Radzieckiego powrócili dwaj wybitni uczeni: pierwszy, Amerykanin, jest wybitnym specjalistą od „nadprzewodników”; drugi, Francuz, reprezentuje wysokie wtajemniczenie socjologiczne. O swoich wrażeniach opowiadali z głębokim przejęciem. Pierwszy tydzień w Leningradzie: twierdza Petropawłowska, Giełda Morska, prospekt Newski i Woźniesiński, pałac Zimowy, Marmurowy, Senatu i Synodu, Ermitaż, sobór Kazański i św. Izaaka, muzeum Rosyjskie i Kirowa. Później już cuda Moskwy: Kreml, Plac Czerwony i mauzoleum Lenina, cerkwie Wasyla Błogosławionego i Matki Boskiej Włodzimierskiej, wieża Suchariewska, uniwersytet im. Łomonosowa, Bolszaja Sadowaja, Teatr Wielki, Galeria Trietiałkowska, klasztor Nowodiewiczy, Car Kołokol. Z rosnącą irytacją słuchałem o pięknie zabytków i galerii, o wspaniałości taniej wódki rosyjskiej, o punktualnym metrze, cudownym balecie, dobrodusznym i

mitych milicjantach, a wreszcie o hotelowych restauracjach, w których można kupić wszystko, łącznie z najtańszym na świecie kawiozem. Krainu mlekiem i miodem płynąca, wcielenie współczesnej arkadii.

Kolejni uwledzeni i ślepi, oddzieleni od rzeczywistości szybanami autobusów, prowadzeni rytualnymi tunelami eksportowych tras, upojeni krasą ikon i płócien, upupieni żarem powitań i pożegnań, zamknięci w kunsztownej szkatule przejazdów, posiłków, wyjaśnień, muzealnych ścian i uśmiechów. Każde słowo jest jak kamień rzucony o ścianę. Pojechali, by poczuć podniecający dreszczyk tajemnicy mrocznego imperium. Wrócili ukolysani idyllą: „białyje nozi” i „Błętyj Aist”, kulakolczak i królewski jesiotr w półmisku, prisiudy i publiczki, starocerkiewne chóry i złote papachy soborów. Demon zła okazał się zmyślny przez zachodnią propagandę.

Kiedy 150 lat wcześniej wyruszał tą samą trasą markiz de Custine, miał znacznie więcej szans, by dać się omotać fikcji. Rozgoryczony niedoskonałościami swej cywilizacji jechał do Rosji po argumenty przeciwko demokracji, „przeciwko rządowi przedstawicielskim”. I nie brakowało pokus, które winny były całkowicie odgrodzić go od rzeczywistości: oszalałymi bogactwem bale w Peterhofie, przychyłność cara i carycy, wymakowane konwersacje salonowe, przyjaźń książąt, usłużność dworaków, kapiące złotem ściany pałaców, zręczność podstawionych przewodników, paraliżujące poczucie wdzięczności za wykwintną gościnę. A jednak stało się inaczej. Jeszcze nie dotknął stopą ziemi cesarstwa, a już jego wrażliwe, nieomyłne anteny zaczęły wychwytywać pierwsze symptomy despotyzmu. W ciągu trzech miesięcy pobytu odnotował w swych *Listach* niemal wszystkie objawy śmiertelnej choroby trawiącej Imperium. Trzy lata wahał się z publikacją swojego dzieła. Kiedy wreszcie ukazało się, przyjęcie było zaskakująco przychylnie: „cztery wydania w ciągu niecałych trzech lat – nie licząc wydań pirackich – 200 000 egzemplarzy sprzedanych za granicą w ciągu dziesięciu lat (...). Jeden z bestsellerów XIX wieku”. Hercen uznał je „za najinteligentniejszą książkę, jaką kiedykolwiek cudzoziemiec napisał o Rosji”.

Oczywiście w Rosji wzbudziła dziką wściekłość, car wpadł w furję. Wydano ją dopiero po upadku cesarstwa, lecz rychło oka-

zała się równie świetnym studium tyranii komunistycznej, więc znowu ciśnięto ją między dzieła zakazane. Swej atrakcyjności i aktualności nie utraciła do dziś. Oto jak pisał o niej George Kennan:

„(...) nie jest to może bardzo dobra książka o Rosji 1839 roku, ale jest to z pewnością doskonała książka, niewątpliwie najlepsza ze wszystkich, o Rosji Stalina, i całkiem niezła książka o Rosji Breżniewa i Kosygina”.

Nie mniej entuzjastycznie pisał Pierre Nora, autor przedmowy do francuskiego i polskiego wydania, obwołując autora niemalże XIX-wiecznym Solżenicynem:

„(...) wyprzedził o wiek krytyków bolszewizmu, przed Suwariem i Trockim, przed *Ciemnością w południe* Koestlera, przed opozycjonistami i samizdatem potrafił wszystko lub prawie wszystko o nim powiedzieć. Niejeden passus jego książki należałoby porównać z tym, co pisali Amalrik, Marczenko, Eugenia Ginzburg i Nadieżda Mandelsztam”.

Kim był ten zdumiewająco przenikliwy autor? Przyznać trzeba, że postać to rzeczywiście niezwykła. Syn generała armii północnej i pięknej Delfiny de Sabran. Po zgilotynowaniu ojca i dziadka spędził dzieciństwo w opustoszałym zamku Calvados, w cieniu głośnego romansu matki z Chateaubriandem, który stał się z czasem jego duchowym przewodnikiem. Młodość spędził w podróżach. Niepowodzeniem skończyły się próby kariery wojskowej u księcia d'Artois i służby dyplomatycznej (brał udział w Kongresie Wiedeńskim), podobnie zresztą jak kolejne próby arystokratycznych mariaży. Tragedią zamknęło się jego małżeństwo z prostą szlachcianką, która umarła w połogu. W krótki czas potem na zapalenie opon mózgowych umarł również synek. Niemal równocześnie ujawnione zostaną jego skłonności homoseksualne, co raz na zawsze zniweczy reputację markiza w kręgach salonowych. Zwiedzając sporo krajów (Niemcy, Hiszpania, Włochy, Rosja) prowadził interesujące, utrzymane w tonie konwencji listów z podróży itineraria (*Listy do markiza de la Grange* (1825), *Hiszpania pod rządami Ferdynanda VII* (1838), *Rosja w 1839 roku* (1843), *Listy do Rafała* (1870)). Wybitnie inteligentny i czytany, niezmiernie bogaty próbował skupić wokół swych apartamentów przy rue La Rochefoucauld oraz w komnatach zamku Saint-Gratien najwybit-

niejszych pisarzy tej doby (Hugo, Lamartine, Balzac, Stendhal, Sand, Gautier, Baudelaire), jednakże znamię występku i inności na zawsze pogrzyżyło go w cichej pogardzie *beau-monde'u*. Otoczony ludźmi z najlepszych sfer pozostał w istocie dojmująco samotny w 35-letnim związku z Anglikiem de Saint-Barbe. Jego powieści *Aloys* (1829), *Świat jaki jest* (1835), *Ethel* (1839), *Romuld* czyli *powołanie* (1848), podobnie jak dramat *Beatrice Cenci* (1833) nie doczekały się nigdy publicznego uznania. W oczach współczesnych oraz opinii potomnych utrwalił się jako prototyp literackiego dandysa, „d'idéal de la négligence” (Beaudelaire), a jego życie i twórczość stały się modelem tematów proustowskich. *Listy z Rosji* pozostały bodaj jedynym, wciąż jeszcze żywym dokumentem jego talentu, daru obserwacji i przenikliwości.

Utwór ten w wydaniu polskim (opartym na edycji Gallimarda z 1975 roku) zyskuje sporo w porównaniu z oryginałem, gdyż dzięki poważnym skrótom i pominięciu licznych partii poświęconych wspomnieniom rodzinnym, rozbudowanym porównaniom z innymi krajami oraz odwołaniom do innych dzieł, otrzymujemy książkę zwięzłą, pasjonującą, skupioną przede wszystkim na opisie i analizie ówczesnego życia Rosji. Tą metodą również celne diagnozy autora rozsiiane na niemal 1600 stronach ulegają zagęszczeniu, tworząc kondensat poglądów i obserwacji o nader dużej sile ekspresji, zaskakując tak precyzyjnym – od pierwszych praktycznie zdań – rozpoznaniem mechanizmu funkcjonowania imperium.

Markiz de Custine niemal natychmiast zrozumiał, że istnieją dwie Rosje: ta, którą jej mieszkańcy pragną ukazać Europie, i ta rzeczywista, od której odgradzają go milczeniem, uprzejmą dezinformacją, wyrachowaną obłudą, manią sekretu, udaną gościnnością. „Dogodzić gościowi przy jak najmniejszym nakładzie szczerości” – oto główną dewizą gospodarzy. Podróżnik rekonstruuje zatem wizerunek cesarstwa nie z podsuwanych mu usług informacji, lecz z tego, co obserwuje sam, co usłyszy poza słowami, co udaje mu się dostrzec pod niezbyt szczelną maską. Z pełną dociekliwością drąży właśnie to, co chciano by przed nim ukryć, od czego próbowano odwrócić jego uwagę. Kto inny olśniony monumentalnym pięknem Petersburga poprzestałby na zachwycie, natomiast markiz docieka po co i jakim nakładem

środków zbudowano stolicę w tak okropnym odludziu. Patrząc na Kronsztad i flotę bałtycką dostrzega w ich potędze nie grozę i przepych, lecz przejaw wojskowej manii, chęć epatowania siłą. Studiując ołsniewające sale Palacu Zimowego docieka, jaka była śmiertelność wśród budowniczych skazanych na codzienne doznawanie różnicy temperatur rzędu 60^o, dowiedziawszy się zaś, że padło ich tysiące, nie potrafi już spokojnie oglądać tego pomnika zbrodniczej pychy tyra. Biorąc udział w gigantycznym balu w Peterhofie nie daje się ukolysać zapierającym dech w piersi widokom i smakowi rozmów z imperatorem, lecz gorączkowo zastanawia się, co stało się z ławicą wypełnionych gośćmi łodzi i statków, które gwałtowna burza schwytała na brzegu zatoki, dlaczego nie odbywa się akcja ratunkowa, dlaczego katastrofę otacza tak szczelne milczenie. Zamiast radować się uroczymi trasami i zabytkami podsuwanymi przez podstawionych przewodników, ima się kolejnych podstępów, by ujrzeć twierdzę w Szlisselburgu; bardziej interesuje go mroczne więzienie stanu niż unikalne źródło podwodne i oryginalny system służ.

I tak jest ciągle. Zwodzony, oszukiwany, mamiony podejmuje swą małą grę, by przebić się przez tę skorupę pozorów. Im bardziej lukrowane i gładkie odpowiedzi, tym większa docieklivość markiza. Jego myśli i spojrzenia nieustannie biegają nie w tym kierunku, w którym powinny. Niestrudzenie kontrastuje relacje, porównuje odpowiedzi, zestawia z zaobserwowanymi scenami, studiuje historyczne dzieła, zadaje chytre pytania, a wszystko to pod maską wielkopańskiego znużenia, arystokratycznej beztroski, zwodniczego udania. Demonstrując bezkrytyczny zachwyty, wodzi czujnym okiem jak kamerą, symulując migreny zamyka się w swym pokoju, by gorączkowo spisywać spostrzeżenia, które ukryje starannie przed światem. Mamiony przepychem, dyskretnie obstawiony agentami, okrążony usłużnym fałszem, osaczony gotowymi formułkami konsekwentnie, krok po kroku przedziera się ku własnej prawdzie o Rosji – prawdzie groźnej, przejmującej dreszczem trwogi, tragicznej.

Trzeba powiedzieć, że mimo całego kamuflażu i cywilizacyjnego poloru Custine niemal natychmiast ujrzał nagi kontur tyranii paszaryjającej na ciele własnego narodu, przeżerającej go, niszczącej i deformującej w sposób nieodwracalny. Zrozumiał jednak

równocześnie, że od wieków trwa w Rosji proces zdumiewającej akomodacji, przystosowania się społeczności do narzuconych jej nieludzkich form bytu. Nowotwór przemocy tak głęboko wgrzył się w system nerwowy narodu, że nie jest on już w stanie żyć bez swego mordercy.

Bezmiernie nieszczęście tego ludu pisarz uświadomił sobie z pełną jasnością już od pierwszych godzin w Rosji. Jeszcze statek nie podniósł kotwicy w Kronsztadzie, a już wygłosił swe słynne pytanie: „cóż takiego człowiek uczynił Bogu, aby sześćdziesiąt milionów jego bliźnich skazanych było na życie w Rosji?” Młodzi od wielu pokoleń przez bezwzględny ucisk, przyuczani do służalczej pokory, obłudy, sprytu, bezwzględności i pogardy dla słabszych zatracają bezpowrotnie takie cechy jak godność, honor, poczucie solidarności z innymi cierpiącymi. Całkowicie odcięci od jakichkolwiek kontaktów z wolnym światem nie są nawet w stanie wyobrazić sobie innych norm egzystencji. Dokonuje się potworna inwolucja, w której stopniowemu przestrojeniu ulegają ludzkie odruchy, aspiracje, uczuciowość, obyczaje i moralność. W kuźni wieków wykuwa się z generacji na generację model człowieka rosyjskiego: bezwzględnie podporządkowanego władzy, pozbawionego instynktu buntu, oporu, wolności, całkowicie plastycznego, niezdolnego do jakichkolwiek wyborów jednostkowych, przyzwyczajonego, że wszystko, każda wartość jest zrelatywizowana do interesów państwowych, z dumą praktykującego religię poddaństwa. Sto lat później „człowiek radziecki” i „homo sovieticus” zmieniają tylko symbole, nazwy i kolory. Reszta pozostanie bez zmian.

Sporo stron poświęca Custine rozważaniom wokół religii. Prawosławne świątynie, cudowne klasztory, starocerkiewne śpiewy i obrządku, celebrowany spektakl zaślubin księżniczki Marii niejako automatycznie ślagały uwagę tego wlerzącego głęboko markiza. Rychło jednak dostrzegł on, że kościół ten, opanowany i podporządkowany władzy świeckiej, nie jest niczym innym jak tylko przedłużeniem dławiącego ramienia tyranii, aparatem duchowej indoktrynacji ubranej w liturgiczne szaty. Widząc cara Mikołaja całującego publicznie rękę arcybiskupa, nie miał już najmniejszych wątpliwości, że obserwuje komedię, mającą uprzytomnić ludowi konieczność pokory. Z odrazą więc i oburze-

niem pisał o polityczno-narodowym kościele rosyjskim, który pozwolił uczynić z siebie marionetkę w rękach tyranii. Wstawiając cura w miejsce Boga, wyrzekając się roli przewodnika moralnego, przestał być opoką życia nadprzyrodzonego. W opinii pisarza, pozbawienie narodu duchowego oparcia jest nader istotnym czynnikiem ogólnej deprawacji. „Kapłan Kościoła greckiego – pisze – nie daje ani życia, ani śmierci, gdyż sam jest martwy”. Markiz nie mógł wiedzieć, że w pełnoletniość wchodził już ten, który miał wygłosić epokowe zdanie: „Boga niet, otcu w mordu można”; nie miał jednak najmniejszych wątpliwości, że właśnie w Rosji dojrzewa grunt pod przyszły wybuch, który zmiecie wszystko. Pisał o tym w sposób nader przejrzysty:

„Kto władcę ma za Boga, za jedyny raj uważa cesarską łaskawość. Wyprowadzony z błędu, taki człowiek stanie się fanatykiem wolności. (...) Te okrucieństwa i wzajemne niesprawiedliwości zapowiadają konwulsje końca i pozwalają przewidzieć, jaka będzie ich natura. Jednakże w narodzie rządzonym tak, jak naród rosyjski, namiętności długo wrzą, nim nastąpi wybuch. Niebezpieczeństwo wzmagą się z godziny na godzinę, lecz zło trwa wciąż, a konflikt się opóźnia. Nawet nasze wnuki nie ujrzą być może wybuchu, który już dzisiaj można przepowiedzieć, choć nie sposób przewidzieć, kiedy nastąpi”.

Autodezacja despotyzmu uderza autora *Listów* na każdym kroku. Monstrualne miasta, gigantyczne twierdze, uginające się od przepychu pałace wznoszone z kaprysu władcy kosztem niewiarygodnych ofiar ludzkich to – pisze – przerażające pomniki, które absolutyzm wznosi własnej nieśmiertelności. Nie poprzestaje on jednak wyłącznie na przetwarzaniu materii i demonstrowaniu mocy zdolnych przekreślać życie całych narodów. Ingeruje bowiem w przeszłość i historię, mistyfikuje prawdziwy obraz rzeczywistości, kwestionuje zdrowy rozsądek, „za nic ma wszelkie myśli i uczucia, (...) przekształca fakty, walczy z oczywistością i w walce tej zwycięża”: Mocą słowa i wszechwładnego kłamstwa dekretuje uniwersum pozorów, ustanawia oficjalną atrapę rzeczywistości. Dekoracja zastępuje rzeczywistość, interes państwa staje się dobrem najwyższym i prawdą absolutną. Jednym zarządzeniem kłeski zostają przemienione w zwycięstwa, bohaterowie w zdrajców, błędy w zasługi. Na próżno markiz zagląda do gazet, by

dowiedzieć się o los setek (może tysięcy?) potopionych w drodze na bal. Ani burza, ani ofiary nie zostały włączone w porządek ilustrującego rosyjską idyllę przyjęcia. W kraju powszechnego dobra, porządku i dyscypliny nie może zdarzyć się nic, co kwestionowałoby raz na zawsze ustalony boskim słowem władcy porządek. Jego wszechwiedzące oko – pomnożone o zastępy agentów – przenika wszystko: co szeptem wieśniak w gospodzie, co zapisuje cudzoziemiec w swoim kajecie, dokąd jedzie oficer służbową kibitką, jaka jest zawartość bagaży wracającego do kraju księcia. Od niego tylko zależy przerwanie czyjejs katongi, strącenie w otchłań miłości, ocalenie lub zagłada armii, los ościennych krajów. Rosyjski Bóg uosabia w oczach swojego narodu wszystko: najwyższe prawo, dobro, wiedzę, prawdę, religię, potęgę. Tylko francuski markiz nie ma wątpliwości, że znajduje się w państwie, gdzie wartością najwyższą są lch przeciwieństwa: skrajne bezprawie, rozpasane zło, wszechobecność aparatu przemocy, tryumfujące kłamstwo, uświęcone niewolnictwo i goły terror.

Trzy miesiące spędzone w imperium napelnia Custine'a tyleż litością dla nieszczęśliwego ludu, co i najwyższym lękiem i respektem przed tą państwową machiną. Nie jest na tyle naiwny, by nianiemać, że to właśnie władca jest jedynym źródłem zła. Znacomie pojnuje, że każdy despotyzm i tyrania powołuje do życia system, który z czasem zdobywa własną autonomię, wpuszcza korzenie we wszystkie formy życia, w myślenie, odruchowość, moralność. To on ostatecznie warunkuje postawy władzy i poddanych, określa politykę wewnętrzną i zewnętrzną. Stanowi sieć wiązań przenikających cały organizm państwa. Nie można go w żaden sposób zmienić i z roku na rok zreformować, gdyż pracowały nań całe wieki, przypieczętowały go góry cierpień, napoiły morza łez i krwi. Markiz z przerażającą jasnością uświadamia sobie, iż obserwuje sprawny i drapieżny system, który został jakby stworzony do niszczenia tego wszystkiego, co stworzyła cywilizacja Zachodu. „W Rosji rządzi dyscyplina obozu, która zastąpiła państwowy ład; stan obłączenia stał się tutaj normalnym stanem społeczeństwa”. Każde spostrzeżenie, każdy nowy tydzień upewnia go w przekonaniu o rzeczywistym zagrożeniu, jakie ten kraj stanowi dla istnienia wolnego świata. „Widok tego narodu – pisze – którego wszystkie sprężyny są napięte jak mecha-

nizm przygotowanej do strzału broni, budzi we mnie takie przerażenie, iż dostaję zawrotu głowy”.

Przejmujące, głęboko dramatyczne są te fragmenty jego rozważań, w których próbuje ostrzec swoich współczesnych przed tą starannie zamaskowaną, odgródną murem pozorów tyranią. Dokonując nieustannych porównań widzi bowiem, że to, co jest okropieństwem Rosji, równocześnie stanowi jej najwyższą siłę, natomiast to, co konstytuuje wolność i permissyjność Zachodu, może stać się dla niego śmiertelne. „Zamiast przezornie ukrywać nasze słabostki, co dnia namiętnie je odsłaniamy, podczas gdy polityka rosyjska, równie skryta jak bizantyńska, starannie ukrywa, co się w Rosji myśli, co się czyni i co budzi obawy. My kroczymy naprzód otwarcie, oni skrycie – walka nie jest równa. Nas oślepia niewiedza, w jakiej nas pozostawiają, ich oświeca nasza szczerłość”.

Nie przypadkiem autor tak często odwołuje się do opracowań historycznych i statystyk (np. Karamzin, Schützler, Lévesque), spisując fakty i opinie charakteryzujące wschodnią mentalność. Zbyt dobrze zdaje sobie sprawę, jak głęboką ignorancją spowite są dzieje i współczesność Rosji, zbyt dobrze wie, jak łatwo było „żandarmowi Europy” i jego poprzednikom mumić świat rzekomym „postępem”, „nowoczesnością”, „liberalizacją”. Oglądając cesarstwo własnymi oczami, pojmuje z całą wyrazistością, że cele i aspiracje tej wschodniej tyranii od wieków pozostają takie same, rozumie już, że despotyzm, obłudność, okrucieństwo i zaborczość nie są żadną historyczną zmienną, lecz przerażającą stałą tej cywilizacji. Pozornie uspiomy olbrzym cierpliwie czeka na kolejny żer.

Ten wrażliwy, pozornie oderwany od świata arystokrata nie ma najmniejszej wątpliwości, że czas nie odgrywa tu żadnej roli, i prędzej czy później ta potworna, zorganizowana, nienawidząca wolności masa musi runąć na oślepię i ukołysany poczuciem bezpieczeństwa Zachód. I że winna będzie tylko naiwność, głupota i brak samozachowawczego instynktu jego obywateli i polityków. W *Listach* znajdujemy zdania, które mimo upływu 150 lat nie straciły nic ze swej aktualności, wciąż brzmią proroczo i ciągle jeszcze niosą zapowiedź dziejowego dramatu.

„W oczach Rosji Europa jest łupem, który wcześniej czy później, dzięki naszym niesnaskom, wpadnie w jej ręce. Rosja sieje

w naszych krajach anarchię w nadziei, iż wykorzysta popierany przez siebie i zgodny z rosyjskimi zamiarami rozkład: to powtórzenie dziejów Polski – tyle że w większej skali. Od wielu lat Paryż czyta (...) opłacane przez Rosję gazety. «Europa – mówi się w Petersburgu – kroczy tą samą drogą co Polska, niszcząc przez próżny liberalizm, podczas gdy my pozostajemy potęgą właśnie dlatego, iż nie jesteśmy wolni. Znośmy cierpliwie nasze jarzmo, a inni zapłacą za naszą obecną hańbę».

Gdy nasza kosmopolityzmem przesiąknięta demokracja wyda ostatnie owoce i zożydzi wojnę w oczach narodów, gdy najbardziej rzekomo cywilizowane ludy wyczerpią rozkosze walk politycznych, gdy staczając się coraz niżej popadną w bezruch i okryją się pogardą, gdy niemożliwym się stanie wszelkie przymierze ze znurowionymi w swym egoizmie społecznościami, wówczas pękną tamy Północy i Europę zaleje ostatnia fala najeźdźców. Lecz tym razem nie będą to prymitywni barbarzyńcy, a przebiegłi władcy, bardziej niż my rozważni, gdyż nasze własne szaleństwa nauczą ich, jak można i należy sprawować nad nami rządy.

Nie jest przypadkiem, iż Opatrzność gromadzi takie ilości bezczynnych sił na wschodzie Europy. Pewnego dnia uspiomy olbrzym powstanie i gwałt położy kres panowaniu słowa. Na próżno przeróżna równość przywoływać będzie starą arystokrację na pomoc ginącej wolności; broń – zbyt późno pochwycona zgnuszną w bezczynności ręką – okaże się bezsilną."

Czytając przenikliwie, dalekowzroczne rozważania Custine'a trudno nie odczuwać szczególnego rodzaju rozgoryczenia. Więc jednak byli ci, którzy widzieli i rozumieli. I to od tak dawna. Przecież już w rok po *Listach z Rosji* powstała ostra *Tajemnica Rosji* Lacroix. I wszystko na nic. W jałową glebę. Bo przecież kiedy przychodzą wiadomości, że odbywają się deportacje całych narodów, że milionami padają ludzie z głodu, że więźniów w syberyjskich obozach jest więcej niż mieszkańców niejednego państwa, Zachód nie wierzy. Nie czuje się przekonany nawet wtedy, gdy potwierdzone to zostaje z najwyższych komunistycznych trybun (referat Chruszczowa na XX Zjeździe KPZR). Odczuwa przykre zaskoczenie, gdy oszustwem okazują się kolejne pokojowe traktaty i porozumienia, gdy kolejne połacie świata padają ofiarą odwiecznej żarłoczności Wschodu. Znowu okazuje się, że nikt „nie

wiedział", nie domyślał się, nie przeczuwał. A przecież karty były rozłożone, prześwietlone, rozpoznane.

Już ponad dwa wieki trwa ten dziwny flirt zachodniej Europy z Rosją. Flirt niebezpieczny, pełen dwuznacznej fascynacji siłą i tajemniczością imperium, absolutnie ślepy i głuchy na wszelkie ostrzeżenia. Od dwóch ponad wieków słuchamy ze zdumieniem głosów otumanionych Wolterów, Diderotów (ten jednak zrozumiał) czy Sartre'ów: „To już inna Rosja, postępową, humanitarną, europejską”.

I tak było chyba zawsze. Kiedy zza ściany sąsiadów słysząc jęki, krzyki i wycie rozpaczy, najlepiej jest udać, że się nie słyszy, nie wolno wszak wkraczać w czyjeś rodzinne sprawy. Cóż może wrażliwa, subtelna kobieta przeciwko agresywnemu sąsiadowi? Trzeba cierpliwie czekać, aż się ucywilizuje. Przecież trudno obijać drzwi blachą, wprawiać nowe zamki i antaby, kruche palce mozolnie wdrażać do pałki i karate. Najłatwiej kokietować go eteryczną urodą, nie zadrażniać, nie prowokować, czarować powabnym uśmiechem, czasem pożyczyć na wódkę. Z czasem nawet uwierzyć w szlachetność tej dzikiej i pierwotnej duszy. Najstarsza na świecie metoda bezbronných kobiet. Najstarsze na świecie samooszustwo słabych, którzy nie chcą wiedzieć, że przy najbliższej sprzyjającej okazji zostaną odwiecznym zwyczajem Wschodu obrabowani, zgwałceni, opluci, skopani i okaleczeni.

I wreszcie przyjdzie czas, gdy wtrąceni zostaną między innych niewolników. Ze źle zrosniętymi kośćmi. Złamana wola. Z nieusuwalnym piętnem poddania. Okuci niewidzialnym łańcuchem strachu i niskiej ugody. Nocami schodzić się będą potajemnie ich dzieci, by studiować pomyłki i winy ojców. Znowu kolejni pokonani zdumiewać się będą, że nikt nie chce słuchać ich desperackich głosów ostrzeżenia. I ze zdumieniem odkrywać będą zmurszałe księgi, które od wieków były na alarm, których nie chciał rozumieć nikt. Wśród nich, gdzieś na wierzchu znajdą *Listy z Rosji* markiza de Custine.

Stanisław Nowicki

noty o autorach

STANISŁAW BARAŃCZAK – ur. w 1946 r. Profesor na Uniwersytecie Harvarda. Najnowsze publikacje: *Atlantyda i inne wiersze z lat 1981-1985* (1986), *Przed i po. Szkice o poezji krajowej przelomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych* (1988), *Josif Brodski, 82 wiersze i poematy* (1988) – wybór i opracowanie.

ISAIAH BERLIN – filozof, emerytowany profesor Uniwersytetu Oksfordzkiego. Autor książek: *Four Essays on Liberty* (1969), *Concepts and Categories: Philosophical Essays* (1980), *Against the Currents: Essays in the History of Ideas* (1980), *Personal Impressions* (1981), *Russian Thinkers* (1981).

ZIHONIEW BRZEZIŃSKI – ur. w 1928 r. Profesor nauk politycznych na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku oraz w Centrum Badań Strategicznych i Międzynarodowych w Waszyngtonie. W latach 1977-1981 doradca prezydenta Stanów Zjednoczonych do spraw bezpieczeństwa. Ważniejsze książki: (wraz z C. J. Friedrichem) *Totalitarianism: Dictatorship and Autocracy* (1956), *The Soviet Bloc: Unity and Conflicts* (1960), *Ideology and Power in Soviet Politics* (1962), *Between Two Ages. America's Role in the Technonronic Era* (1970), *Power and Principles* (1983), *The Game Plan* (1986).

ENRIQUE KRAUZE – współredaktor meksykańskiego pisma *Vuelta*.

WALDEMAR KUCZYŃSKI – ur. w 1939 r. Pracownik naukowy w École des Hautes Etudes en Sciences Sociales w Paryżu. Autor książek *Po wielkim skoku* (1980), *Obóz* (1983).

ANDRZEJ LER – pseudonim.

TOMASZ LUBIEŃSKI – ur. w 1938 r. Poeta, eseista, autor sztuk teatralnych. Członek redakcji pisma *Res Publica*. Jego książka *Bohaterowie naszych czasów* ukazała się w 1986 r. nakładem Wydawnictwa Aneks.

STANISŁAW NOWICKI – autor *Pół wieku czyścicu. Rozmowy z Tadeuszem Konwickim* (Wyd. Aneks, 1986).

ANTONI POSPIESZAŁSKI – ur. w 1912 r. Autor licznych esejów publikowanych na łamach londyńskich *Wiadomości*, *Aneksu* oraz katolickiego tygodnika *The Tablet*. Zbiór jego esejów pt. *Wiara szukajca zrozumienia* wydany został nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej.

ALEKSANDER SMOLAR – ur. w 1940 r. Pracuje w Centre National de la Recherche Scientifique w Paryżu.

PETER F. SUGAR – autor *Industrialization of Bosnia-Herzegovina 1878-1918* (1963). Pod jego redakcją ukazały się książki: *Nationalism in Eastern Europe* (1969), *Native Fascism in the Successor States 1918-1945* (1971), *A History of East-Central Europe* (1974), *East Central European Society and War in the Prerevolutionary Eighteen Century* (1982). Publikujemy tekst referatu wygłoszonego w marcu 1988 r. w Woodrow Wilson International Center w Waszyngtonie.

NAKŁADEM ANEKSU

Tadeusz Nyczek

EMIGRANCI

W TOMIE: Bach na dachu Lubianki (Aleksander Wat);

Od egzystencji do esencji (Jan Kott); Obrona tradycji
(Sławomir Mrożek); Kot w mokrym ogrodzie

(Adam Zagajewski); Strony obcości (Stanisław Barańczak).

Str. 152

Cena: £4,00 – \$10,00

Stanisław Barańczak

PRZED I PO

Szkice o poezji krajowej

przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych

Str. 176

Cena: £4,00 – \$10,00

Adam Zagajewski

JECHAĆ DO LWOWA

wiersze z ilustracjami JÓZEFA CZAPSKIEGO

Str. 80

Cena: £3,00 – \$7,50

500 zł

3500,-